

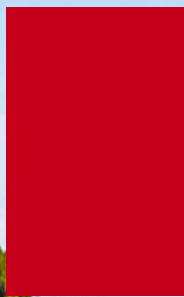
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Do seminariów nie chodzą
półnioły • Co jest eko?
W UE decydują o tym
politycy • Hiszpańska
lewica idzie na dno • Powrót
smoków, czyli wojna o widza



WYSOKIE OBCASY
Kuszelewiez: Nie ma
odwrotu od pomagania
Caldwell: Pokolenie
ucieczki z domu



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

MARTWA ODRA

Ile lat zajmie
odbudowa życia?
► 3-9



FOT. FRANK HAMMERSCHMIDT/AP

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**250. rocznica
pierwszego rozbioru
Rzeczypospolitej,**
czyli kim był Tadeusz
Rejtan?

Jan Grabowski:
Dla rządzących Polską
nacionalistów uczciwi
badacze historii
to „wrogowie narodu”

**Marcin Matczak mówi
Ewie Kalecie:** Czy ta
wyższość młodych nad starymi
to nie jest „youngsplaining”?
► 10

Dominika
Wielowieyska

To Kaczyński działa na rzecz Niemiec

Prezes PiS oskarża opozycję z Donaldem Tuskiem na czele o działanie na niemieckie zamówienie. W tygodniku „Sieci” stwierdził, że Niemcy walczą „o realizację konstrukcji niemiecko-rosyjskiej, która dałaby im pełnię władzy w Europie”, a lider PO im w tym pomaga. Opis roli Tuska jest kłamstwem i podłością.

Nawet niezbyt wnikliwa analiza postępowania Kaczyńskiego pokazuje, że jeśli ktoś działa w interesie Niemiec, to właśnie prezes PiS i jego otoczenie.

Przyjmijmy na chwilę ich założenia – nawet jeśli uważamy, że są absurdalne: Niemcy są zagrożeniem, bo silne gospodarczo mają wpływ na decyzje Unii Europejskiej. Najpierw więc wypada przypomnieć, że to PiS doprowadził do wyboru niemieckiej kandydatki na szefową Komisji Europejskiej. Zrobił to, bo liczył, że w zamian Ursula von der Leyen przymknie oko na łamanie praworządności w Polsce. I miała nawet takie chęci, ale reszta komisarzy i kraje członkowskie na to nie pozwoliły. Jeszcze raz podkreślmy: PiS doprowadził do wyboru kandy-

datki z Niemiec, choć w UE wyznawano zasadę, że najważniejsze funkcje powinni pełnić przedstawiciele mniejszych państw. Właśnie po to, aby równoważyć wpływ największych graczy.

Tu dochodzimy do sedna. Jeżeli Niemcy są zagrożeniem, to głównym instrumen-

tem, aby ich ekspansję powstrzymać, są mocne instytucje unijne. Polska powinna więc uczynić KE swoim sojusznikiem, tworzyć koalicje z mniejszymi państwami na rzecz rozwiązań, które równoważą wpływy poszczególnych państw członkowskich. To KE i w ogóle UE jako wspólnota mają instrumenty, by pilnować interesów także mniejszych państw.

Gdy patrzymy z tego punktu widzenia na działania PiS, widzimy, że ta partia chce nas skłócić ze wszystkimi instytucjami, które z założenia stanowią zaporę przed dominacją dużych graczy, także Niemiec. Zamiast wykorzystywać unijne mechanizmy, skłóca nas z KE. Żądając ograniczenia kompetencji UE, Kaczyński de facto działa – wedle logiki PiS – na rzecz Niemiec, ponieważ w konsekwencji doprowadzi do tego, że silni gracze nie będą mieli już żadnych ograniczeń. ●

Wlk. Brytania Wstążka na medal



FOT. PAUL ELLIS/AFP/EAST NEWS

Dziewiąty dzień Igrzysk Wspólnoty Narodów w Birmingham w Wlk. Brytanii. Australijka Alexandra Kiroi-Bogatyreva występuje podczas ceremonii wręczenia medali w zawodach gimnastyki artystycznej ze wstążką w Arena Birmingham.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

Polski zastój



FOT. SHUTTERSTOCK

Według szacunków Głównego Urzędu Statystycznego PKB Polski w drugim kwartale wzrósł o 5,3 proc. w ujęciu rok do roku. Znacznie ważniejsze są jednak dane w ujęciu kwartał do kwartału – z nich wynika, że nasza gospodarka praktycznie stoi.

Czytaj ► Wyborcza.pl

Wszechświat Kosmosy, których nie znamy

Kiedy spojrzymy w nocne rozgwieżdzone niebo, to gołym okiem zobaczymy tysiąc, może trzy tysiące gwiazd. Drobną ulamek tych, które świecą we Wszechświecie. Według najnowszych szacunków Droga Mleczna ma ponad 200 mld gwiazd, a jest zaledwie jedną z ponad 200 mld innych galaktyk w kosmosie, które możemy dostrzec za pomocą najlepszych teleskopów, m.in. teleskopu Webba.

Przy tym „najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”, jak proroczo mówił lis w „Małym księciu” Antoine’a de Saint-Exupéry. Bo aż 95 proc. masy i energii w kosmosie nie świeci i jest dla nas niewidoczne.

Ten ciemny Wszechświat zaczęliśmy odkrywać dopiero niedawno, m.in. za pomocą detektorów fal grawitacyjnych i teleskopów neutronowych. Wciąż jednak nie wiemy, czym jest ta ciemna substancja. Może tworzy światy alternatywne wobec naszego?

Niewiadomych jest więcej. Rozmiar kosmosu dostępny nasze-



FOT. SHUTTERSTOCK

mu poznaniu wynosi 13,8 mld lat świetlnych, ale nie wiemy, co jest dalej. Czy Wszechświat jest ograniczony jak powierzchnia kuli ziemskiej, czy rozciąga się nieskończenie dalej i być może przyjmuje tam formy inne niż te, które znamy?

Natykamy się też na granice, których nie sposób pokonać – horyzonty czarnych dziur. One otaczają obszary dla nas niedostępne, gdzie może – są takie hipotezy – rodzą się całkiem nowe Wszechświaty. ●

Piotr Cieśliński

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Taksówka dla kobiet

Miałam pasażera dowcipnisią, który stwierdził: „Jak się dwie kobiety dobiorą, to będą trzy godziny jechać, z czego dwie i pół – parkować”. Przez rok usłyszałam wiele idiotycznych żartów.

Reportaż
Anny Kiedrzynek



Ekonomia +

Zarobki minimalne

Oszczędzanie pieniędzy jest dla bogatych. Biedny kupuje na zapas, póki go jeszcze na cokolwiek stać. Jak się żyje w Polsce za pensję minimalną?

Sprawdza
Marta Piątkowska

16 sierpnia 2022 roku zmarł

*Prof. nzw. dr hab. inż.
Leszek Kudła*

Przez ponad 50 lat związany
z Wydziałem Mechatroniki Politechniki Warszawskiej
Niezastąpiony i Nieodżałowany Mąż, Tata i Dziadek

Pożegnanie odbędzie się w czwartek, 25 sierpnia 2022 o godz. 11:30
na Cmentarzu Północnym „Wólka” w Warszawie w sali B.

Żona, Syn, Synowa i Wnuki

www.nekrolog.wyborcza.pl/34198619



ODESZLI.PL

Umieść wspomnienia o Twoim bliskim,
dodaj zdjęcie – niech pamięć trwa

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Muzyka na bulwarach

1 Dwie sceny i gwiazdy polskiego rocka, popu, alternatywy, hip-hopu i elektroniki oraz Park Świąteł, czyli zaczyna się muzyczne lato w Rzeszowie na Bulwarach nad Wisłokiem. Już 20 sierpnia zagrają: Pezet, Mrozu, Natalia Przybysz, Fisz Emade Two-rzywo, Igo, Szczyl; a w niedzielę: Brodka, Organek, Margaret, Baranovski, Arek Kłusowski, Zdechły Osa. Będzie również scena tanecz-na, a na niej Novika i Baasch.



FOT. KRZYSZTOF HADRIAN / AGENCJA WYBORCZA.PL, MATERIAŁY PRASOWE, GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Piątek

Premiera kinowa

2 Na ekrany kin wchodzi „Cicha ziemia”, która może być polskim kandydatem do Oscara. Adam (Dobromir Dymecki) i Anna (Agnieszka Żulewska) mają poukładane życie, ale ich małżeństwo zionie pustką. Rozłoży się jeszcze bardziej na włoskiej wy-spie, gdzie spędzają wakacje. Film Agnieszki Woszczyńskiej zdobył już nagrodę w Salonikach.



Piątek

Siatkarze po medal

3 Meczem z Bułgarią Polacy rozpoczną mistrzostwa świata. Impreza odbywa się w Polsce i w Słowenii, ponieważ z powodu ataku na Ukra-inę jej organizację odebrano Rosji. Polacy są faworytami do medalu – złoto zgarnęli na dwóch po-przednich mundialach. Drużyna nie wystąpi w najsilniejszym składzie, bo kontuzja wykluczyła Wilfreda Leóna, Kubańczyka z polskim pasz-portem, uważanego za najlepszego siatkarza świata.



Cytat dnia

Patrząc z perspektywy ostatnich lat, można powiedzieć, że ochrona polskich rodzin jest naszym znakiem rozpoznawczym. Najpierw przypilnowaliśmy, by (...) rósł poziom życia wszystkich Polaków, by bezrobocie było jak najniższe. I to się udało. Teraz, gdy przyszedł kryzys, robimy wszystko, by ten dorobek nie został zniweczony



JACEK SASIN

minister aktywów państwowych z PiS (w tygodniku „Sieci”)

Zatruta Odra

Ktoś tu mataczy

Władza milczała, bo jej lokalne struktury są niekompetentne, opanowane przez ludzi, których jedynym atutem jest partyjna legitymacja

Wielński



W Moskwie początkowo nikt nie miał pojęcia, co w nocy 26 kwietnia 1986 r. wydarzyło się w elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Gdy po wybuchu nad płonącym gruzowiskiem, które przykryło szczątki reaktora nr 4, unosił się wysoki słup dymu pełen radioaktywnego pyłu, przywódca Związku Radzieckiego wiedzieli jedynie, że doszło do „jakiejs” awarii. Kierownicy elektrowni zataiło prawdę o rozmiarze katastrofy i jej skutkach. Strażacy rzuceni na miejsce byli przekonani, że pożar, który gaszą, nie ma nic wspólnego z reaktorem. Ot, potężne zwarcie instalacji elektrycznej. Nie mieli żadnej ochrony przed promieniowaniem...

Przysłani z Moskwy urzędnicy również milczeli w sprawie tego, co zobaczyli, katastrofy, która doprowadzi do potężnego skażenia radioaktywnego. A gdy sprawy nie udało się ukryć przed kierownictwem sowieckiego państwa, Moskwa kłamała, że na terenie ZSRR doszło do awarii w elektrowni atomowej, nie informując innych krajów o nadciągającej chmurze radioaktywnego pyłu. Jednocześnie zaczęto szukać kozłów ofiarnych. Przyznanie, że zawiodła konstrukcja sowieckiego reaktora, nie wchodziło w grę. Byłoby ciosem w wizerunek ZSRR i rządzącej nim partii. Analiza katastrofy czarnobylskiej

to odczytywanie wielopoziomowego kłamstwa, które mogło zaistnieć tylko w państwie autorytarnym.

Marek Suski, czołowy intelektualista Prawa i Sprawiedliwości, po analogii do Czarnobyla sięgnął latem 2020 r., gdy doszło do awarii w warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka. W efekcie do Wisły spuszczonego tysiące litrów odpadów komunalnych. Politycy PiS i Solidarnej Polski przy wsparciu pracowników TVP straszili zatruciem Wisły i Bałtyku. Suski na poważnie oskarżał rządzącego Warszawą Rafała Trzaskowskiego o tuszowanie katastrofy ekologicznej. Tyle że w 2020 r. żadnej katastrofy na Wiśle nie było, rządzący stawiali na głowie, by wykreować skandal, uderzyć w opozycję. Dwa lata później karma do nich wróciła.

Na Odrze mamy do czynienia z tuszowaniem prawdy w czarnobylskim stylu. Informacje o masowym śnięciu ryb docierały od wędkarzy z Dolnego Śląska pod koniec lipca. Lokalni namiestnicy PiS milczeli. Wbrew procedurom nie informowali o sytuacji odpowiednich instytucji w Warszawie. Władza milczała, bo jej lokalne struktury były niekompetentne, opanowane przez ludzi, których jedynym atutem była partyjna legitymacja lub koneksje z którymś z partyjnych bonzów. W chwili, gdy zatruciu rzeki można było przeciwdziałać – chociażby spuszczać wodę ze zbiorników retencyjnych – sparaliżował je strach przed podejmowaniem decyzji i wzięciem na siebie odpowiedzialności. Partyjni nominaci liczyli, że sprawa rozwiąże się sama, substancja zabijająca ryby w Odrze się rozcieńczy, ludzie nie zauważą, bo są przecież wakacje. Ludzie faktycznie

nie zauważyli. Korzystali z umierającej rzeki, kąpali się w niej, łowili ryby. Gdy sprawy nie dało się już ukryć, urzędnicy centralnego szczebla zapewniali, że o żadnej katastrofie nie ma mowy, a jeden z wiceministrów zapowiedział, że wykąpie się w zatrutej rzece. Pierwszy alert Rządowego Centrum Bezpieczeństwa rozesłano dopiero w drugim tygodniu sierpnia i to tylko do mieszkańców kilku nadodrzańskich powiatów w województwie lubuskim.

Służby specjalne wyposażone w wartość miliony złotych oprogramowanie do totalnej inwigilacji nie są w stanie namierzyć podejrzanych o zatrucie rzeki

O zabójczej fali na Odrze nie zaalarmowano Niemców (wzdłuż rzeki przebiega granica). Gdy zauważyli tysiące śniętych ryb, było za późno, by zamykać śluzy i odcinać od Odry jej starorzecze i kanały. Trucizna się do nich wlała i zabiła.

Premier Mateusz Morawiecki dowiedział się o katastrofie dopiero 9 sierpnia. Zareagował ze wściekłością, wskazał kozły ofiarne, dymisjonując urzędników związanych z wrogimi mu frakcjami w Zjednoczonej Prawicy.

Jego złość i desperacja są zrozumiałe. Doprowadzenie do katastrofy ekologicznej takich rozmia-rów – przywracanie życia Odrze potrwą przy dobrych wiatrach kilkana-

ście lat – to potężna kompromitacja PiS, dowód na ignorancję, niekompetencję partii. Dlatego władza centralna wikła się w kolejne kłamstwa. Mi-ja kolejny tydzień i dalej nie ustalono przyczyny śmierci Odry. Skoro nie dało się rzucić winy za zatrucie rzeki na Niemców, posłuszne rządowi media coraz nachalniej suflują hipotezę, że śnięcie ryb na Odrze to naturalne zjawisko, za które nikt nie odpowiada. Ryby najwyraźniej postanowiły się utopić.

Dowody, z których można by odczytać, co się stało, zwierzęta wyłowione z rzeki w pierwszych dniach katastrofy, zostały dawno spalone. O tym, co znaleziono w kolejnych pobranych na rzece próbkach, rząd informuje w sposób szczątkowy, kładąc nacisk na to, czego w nich nie znaleziono. Ministerstwo Środowiska odmawia podania tak podstawowych informacji jak daty, kiedy dowiedziało się o katastrofie. Trudno nie odnieść wrażenia, że ktoś tu mataczy.

Służby specjalne wyposażone w wartość miliony złotych oprogramowanie do totalnej inwigilacji nie są w stanie namierzyć podejrzanych o zatrucie rzeki. Policja prosi o wsparcie obywateli, oferuje rekordową nagrodę za informacje. Cały milion złotych!

PiS, przejmując władzę, zapowiadał walkę z „imposybilizmem państwa”. Teraz, podczas odrzańskiej katastrofy, widać, jak bardzo państwo PiS jest niezdolne do działania. Tworzone przez partyjnych funkcjonariuszy i pracowników rządowych mediów wielopoziomowe kłamstwo – przypominające sowieckie kłamstwo z Czarnobyla – nie jest w stanie tego przykryć. ● **Bartosz T. Wielński**

DEPRESYJNE CIERPIENIE SŁONECZNIKÓW

Źródło Odry to najmniej upiorna część tej ziemi,
którą dziś tylko duchy zamieszkują,
bo wszyscy mieszkańcy zniknęli, a dalej to już śmierć

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI



1

Źródło Odry znajduje się na czeskim poligonie pod Olomuńcem i szczerze mówiąc, o wiele ciekawsze od tego zarosłego ciecorku tryskającego spod starej wiaty są pozostawione tam czeskie, betonowe, zmurszałe zapory wojskowe w kształcie szczerbatych zębisk.

A to i tak najmniej upiorna część tej ziemi, którą dziś tylko duchy zamieszkują, bo wszyscy mieszkańcy wszystkich miejscowości w całej okolicy zostali, jako Niemcy, wysiedleni, i dziś po lasach i wycinkach straszą ruiny domów, trupy kościołów i starych cmentarzy. Tak, Odra, druga rzeka Polski, wypływa z trupiarni. To Góry Odrzańskie, najbardziej na wschód wysunięta część Sudetów.

Więc zaczyna się trochę jak w horrorze.

POLOWANIE NA KROKODYLA

Ale zaraz potem, gdy tylko kończą się zębate, betonowe zasieki i wyludnione wsie, rozpościera się mały, czeski, nadodrzański raik. Odra, świeżutka i młodziutka jak cherubinek z ołtarza, płacze się między pagórkami i wioszczkami z takim urokiem, że chce się jej dać cukierka. Na trawiastych albo wyłożonych kamieniami brzegach rozkładają się półgole czeskie ciała. W malutkich Odrach, reklamujących się jako „pierwsze miasto na Odrze”, rzeka jest już większa, dość krzypka. Siedzą nad Odrą lokalni Romowie i palą papierosy. Nadodrzański rdzenny, ciemnoskóry naród. Tak, rdzenny: są tu już przecież setki lat, dłużej niż Anglosasi w Ameryce i Australii – i co, niby nadal są nie u siebie?

Czesi liżą zmarzlinę na ryneczku. W upalnym letargu snują się między straganami sprzedawców lokalnych pamiątek i wyrobów. To Odersko. Tak się nazywa mikroregion. Czesi umieją w budowanie lokalnych tożsamości. W pustym kościele św. Bartłomieja, tego, z którego zdarli skórę i teraz jest patronem bodajże rymarzy, pod ołtarzem stoją rowery, niby tureckie konie w Hagii Sophii. Przyjechały na nich panie sprzątające i gdy próbują wejść do środka, wrzeszczą na mnie:

– Po mytym?!

W powietrzu upał i spokój i tylko z tych słynnych poczechosłowackich głośników, które zwykle wiszą na słupach smętne i wyłączone, wydaje się zawsze – na wieki – dziś dźwięk jednak dobiega. Kobięcy głos czyta program regionalnego festynu.

– I klaun, ulubieniec dzieci, też będzie – mówi głos, a dzieci na ryneczku biją brawo.

Dalej, w Ostrawie, Odra jest już szersza, ale niska, rozlana po kamieniach, jak Olza w Cieszynie w suche lato. Albo jakaś górską rzeka. Zresztą właściwie nie tyle w Ostrawie, co pod Ostrawą.

Odra wije się tu jak oszalała: raz pomiędzy starymi, śląskimi autostradami i wielopasmówkami, raz – drózkami rowerowymi, po których opancerzeni po zęby – kaski, rękawiczki, nawet jakieś specjalnie usztywniające wdzianka – niedzielnii czescy rowerzyści. Ledwo ją widać, taka susza. Na kamienistej łasze pośrodku płyciutkiej tu rzeki, w pełnym słońcu, leży goły chłop w samych majtkach. Prawie słychać, jak skwierczy w tym upale. Gdy już się nagrzej – wpelza, jak waran, na brzuchu do płytkiej wody i się schładza. Zapala papierosa. Wypala i znów wypelza na rozgrzane kamienie. Obok siada jakiś typek w kapelutku w liście marihuany, takim, co u nas się nosiło chyba za Palikota. Młody taki, ni to skejciak, ni to blockers, ni to alternatywa, tak w dość czeskim stylu, i też zapala papierosa. No i jakoś tak sobie zaczynamy gadać. Ja mu opowiadam, co się w Polsce z Odrą stało. Że za truta. Że otrawena řeka, pełna mrtwych ryb. I mrtwych bobrów. I że klęska żywiołowa, Odra nie żyje, zamieniła się w truciznę.

Typ patrzy na mnie oczami jak bile bilardowe.

– O ty pičovole – ogłasza z przejęciem.

– No – mówię. – Grubo, nie?

Chłopaczek opowiada mi coś o krokodylu w Odrze i nie bardzo wiem, o co mu chodzi.

– Jaki krokodyl, pičovole? – pytam.

On mówi, że wielki, że straszny, żebym sobie w internecie sprawdził, ale żebym się nie lękał, bo już go „chytli”. Dopala i odchodzi, a ja wpisuję w Google’a „krokodyl” i „Odra” i czytam artykuły sprzed roku z czeskich brukowców opisujące historię „krwiożerczego” krokodyla żyjącego w Odrze, który przeszedł już do miejskiej legendy. Uciekł z prywatnej hodowli. Dobrze, myślę, że go złapali, zanim popłynął do Polski i się tam, powiedzmy, osiedlił. Teraz, kto wie, może też by pływał brzuchem do góry razem z rybami i bobrami.

KTO WINIEN?

Tym bardziej że miałby niedaleko. Już w pobliskich Chałupkach pod Bohuminem Odra wpływa do Pol-

ski. I na krótkim odcinku Odra jest polsko-czeską graniczną rzeką. Dobrze jest się pokręcić tam i z powrotem. Przez Odrę w tę – i nazad. Po polskiej stronie – jak to po polskiej. Niby podobnie jak po czeskiej, bo historyczna tkanka tu mniej więcej z jednej parafii, ale gdy się przechodzi przez most na Odrze z polskich Chałupek do czeskiego Bohumina, to po czeskiej stronie od razu jakoś wszystko zaczyna służyć do tego, do czego jest przeznaczone. Widać długie, mieszczańskie trwanie. Ryneczek nawet w takim Bohuminie to jest jednak ryneczek, z tym całym siedzeniem w kawiarenkach i powidokiem Cekanii, a nie dziwna dziura w strukturze miasta, z którą nie bardzo wiadomo, co robić, jak to często wygląda w polskich miasteczkach. Pustać w środku miasta, którą rewitalizuje się betonem, na której stoją samochody i gdzie otwierają swe podwoje głównie instytucje takie jak sklep Alkohole24 i ewentualnie kebab Izmir albo Sultan.

Ale nie ma co narzekać. Czechy są nieco zapyziałe, a u nas jest energia, każdy to potwierdzi – i to prawda. W Czechach żyćko płynie powoli i zacie, a u nas – ruch, energia, interes, dzieje się, wiatr dziejowy. A tam, gdzie energia, to i musi być i chaos, wiadomo. I chaos jest, co robić.

Działacze i aktywiści ekologiczni, na przykład, od dawna zgłaszali tym czy innym urzędem problem zatrucia odrzanej wody – i odbijali się od drzwi. Wędkarze, którzy pierwsi zauważali problem, byli odsyłani od instytucji do instytucji. Nic.

Na moście nad Odrą między Chałupkami a Bohuminem, w miejscu, w którym Odra wpływa z czeskiego Śląska na Śląsk polski, stoją rodziny. Pano wie spluwają sobie w wąski jeszcze, ale konkretny dość odrzany nurt i obgadują kwestię zatrucia. Na podstawie tego, co czytali w internecie, zadają sobie piękne i tradycyjne polskie pytanie: „kto winien”?

– To w Oławie – mówi pierwszy. – Tam fabryka papieru zrzuca.

– To niekoniecznie w Oławie – mówi drugi. – Myślisz, że jedna fabryka by całą Odrę zatrula? To Azoty w Kędzierzynie.

– Fabryka papieru sama by nie zatrula, a Azoty by same zatrula, tak? – Obraża się trochę pan od papierni.

Wspólnie dochodzą do wniosku, że być może winne są i Azoty, i papiernia. I jeszcze Kanał Gliwicki. I wszystko razem.

AŻ SIĘ PIANA ROBIŁA

Za polską granicą w każdym razie, wzdłuż Odry płynącej przez Górny Śląsk – koniec już sielanki. Zaczynają się obsesyjne plakaty Fundacji Kornice, jak z jakiegoś szaleńczego snu fanatyka religijnego. Dzieci, Jezus, błogosławiona Alexandrina da Costa, postać jak z horroru o opętaniu, tylko z Jezusem w roli wyobrażonego demona. I tak w kółko. Dzieci, Jezus, Alexandrina. Dzieci, Jezus, Alexandrina. Koniec sielanki.

Nie było szybkiego przepływu informacji między WIOŚ a sanepidem, bo oni kontaktują się listami poleconymi

I koniec kąpieli, łowienia ryb. Czasem na brzegu widać rowerzystów. Spacerowicze podpierają się pod boki i konfrontują to, co widzą, z tym, co widzieli przed chwilą w telewizyjnych wiadomościach. Na razie to jeszcze nie wygląda tak źle jak w wiadomościach. Bo w wiadomościach rybnie truchła, fetor i zastępy strażaków. A Odra w górnym biegu nawet nie śmierdzi. Pływanie coraz szerzej, rozlewa się po Śląsku. Jest już wieczór, więc znad szuwarów wstają mgły. Odra wpływa na Śląsk Opolski: zaczynają się niemieckie tabliczki z nazwami miejscowości przykręcane pod polskimi, coraz więcej aut na niemieckich blachach i – czasem – dwudziestokilkulatkiwie poubierani bardziej jak Niemcy niż polscy dresiarze. W Ciężkowicach (Czienskowitz) śmierdzi jak diabli, ale to jeszcze nie Odra: to tylko cukrownia. W Polskiej Cerekwi (Gross Neukirch) też fiołkami nie pachnie. Po-

licjanci przyczajeni za radarem wyglądają, jakby im twarze w tym smrodzie kisły. To weekend, i to długi, więc z tych śmierdzących oparów i nastrojowych mgieł co jakiś czas wylania się stojący pośród pól palacyk weselny i w żółto-pomarańczowym świetle widać tańczące w środku pary, wirujące tiule i pastelowe suknie. Wyglądają w tej mgłę i smrodzie jak pograżające się w szaleństwie widma. Pola słoneczników ciągną się wzdłuż drogi. Słoneczniki są już dojrzałe, główki mają ciężkie i wszystkie opadają na dół, co sprawia, że wyglądają, jakby cierpiały na zbiorową depresję.

W Oławie, przy służbie, niedaleko zakładów pierniczych firmy Jack-Pol, jednego z głównych oskarżonych o zlewanie ścieków do Odry – też śmierdzi. Pan Ryszard Gawron, lokalny wędkarz i aktywista, nie upiera się, że to wyłącznie Jack-Pol truje Odrę. Ale że truje, to nie ma wątpliwości. Opowiada, że sam razem z innymi wędkarzami własnymi rękami wyłowili z Odry na tej wysokości trzy tony ryb. I to jeszcze pod koniec lipca. I sami musieli je zawieźć do firmy utylizacyjnej.

– Jakoś daliśmy radę – mówi pan Ryszard. – Podbieraki, butospodnie. Było nas, wędkarzy, ponad 50 i zbieraliśmy. Od ósmej do szesnastej.

– Pierwsze ryby padnięte zobaczyliśmy we wtorek 26 lipca – mówi pan Gawron. – W środę 27 pojechaliśmy do sanepidu. Sanepid powiedział, że to nie ich kompetencja i ich to nie interesuje. Idźcie, mówią, do wojewódzkiego inspektoratu ochrony środowiska. Kolega w środę wysłał więc do WIOŚ list i dzień później, co prawda, przyjechali i pobrali próbki, ale ryby musieliśmy ściągać z rzeki sami. We wtorek tych ryb było kilkanaście, ale w środę – już kilkaset – mówi pan Ryszard. – A potem coraz więcej. No to co mieliśmy robić, jak nikt nic nie robił.

– A kto powinien się tym zająć?

– Wody Polskie, WIOŚ... A 3 sierpnia znów zrzucono ścieki do rzeki...

– Z Jack-Polu?

– No tak. Więc znów zgłosiliśmy to do WIOŚ, a ci za parę dni poinformowali, że sami nic nie mogą, więc przekazali sprawę Wodom Polskim, bo to oni są kompetentni, a nie WIOŚ.

– A Wody Polskie?

– Bez reakcji w ogóle. Więc właściwie nie wiadomo, kto w tym kraju ma się tym właściwie zajmować – mówi Ryszard Gawron. – Ja od 2017 zgłaszam te problemy. Widzi pan ten kanałik? To jest odwodnienie łąk, które są tam dalej, a na nich kiedyś była jednostka Armii Radzieckiej. Jack-Pol tamtędy właśnie spuszczał ścieki. Aż się piana biała robiła.

Siedziba Jack-Polu wygląda nieco apokaliptycznie. Ogrodzona, rozległa, ze starym radzieckim czołgiem celującym lufą w stronę bramy. Zabytek, pamiątka. Jack-Pol uważa się nie za truciciela, ale za poszkodowanego. Za ofiarę kampanii oczerniania. Szef firmy mówi o tym, że owszem, spuszcza ścieki, jak inni, ale nie jakoś specjalnie.

– Jakoś nie słyszałem o padłych rybach przed Oławą – mówi pan Gawron. – Ani w Brzegu, ani

w Opolu. A jest tak: ryby wyłowiliśmy, zresztą martwe rybnie truchła mogą przepłynąć maksymalnie 20-30 km, ale fala toksyn poszła dalej. Na Wrocław, Szczecin, Bałtyk.

SPADŁ PARAWAN

Wrocław, wiadomo: to odrzana metropolia, jedyne – poza Szczecinem – wielkie miasto, które mit Odry wpisuje w swoją tożsamość. Które Odrę kontempluje i celebruje. Viadrus – bóg wymyślony po to, by mógł patronować Odrze (po łacinie Odrę nazywa się Viadriną) – puszy się dumnie na fresku w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

We Wrocławiu na wyświetlaczach drogowych migocze informacja: zakaz kąpieli w Odrze, bo za-

ZIEMOWIT SZCZEREK

.....



truta. Ale ogólnie, żeby nie panikować, wyświetla się też informacja, że woda w kranach jest okej.

Zresztą ludzie nie panikują. Na Odrze pływa rower wodny, w knajpie z ogródkiem na nabrzeżu – pełno ludzi. Na bulwarach – spacerowicze.

– Może to Czesi? – zastanawia się kilku panów kręcących się po malowniczych mostkach i wysepkach, dzięki którym Wrocław stał się kolejnym miastem uzurpującym sobie tytuł „Wenecji Północy”.

– Ostrawa – kombinują – to przecież miasto przemysłowe...

W ogródku opodal mostu z kolei obgadywana jest nieco sensowniejsza teoria: wody jest coraz

problem. Po dobrych dwóch tygodniach od momentu, w którym ten problem się pojawił.

A w teorii, mówi Suligowski, popijając piwo, powinni się dziać rzeczy piękne: według przewidzianych zasad to powinna zostać powołana międzynarodowa komisja polsko-niemiecko-czeska, która ma zresztą przygotowane odpowiednie procedury reagowania na takie wydarzenia, plany wzajemnej komunikacji. Ale nie powstała. Bo nie zadziałała ustawa o zarządzaniu kryzysowym.

– Dopiero gdy Niemcy porobili próbki – mówi Suligowski – to się okazało, że w wodzie mamy rtęć, nadmierne zasolenie. Niemieccy naukowcy opubli-

Może jeszcze da się coś z tego sezonu uratować, może do września jakoś sytuacja choć trochę się poprawi

mniej, bo susza. Toksyn jest tyle, co zawsze, tylko że nie mają się w czym rozpuszczać. W innych europejskich rzekach jest tak samo, tylko katastrofy mniejsze, bo toksyn mniej. Słowem: spadł po prostu parawan, który do tej pory zasłaniał paskudną rzeczywistość.

– Kanał Gliwicki to raz, potem Azoty w Kędzierzynie, dalej w Brzegu – PTT Rokita, duży zakład chemiczny, i dziesiątki pomniejszych zakładów – wylicza Piotr Suligowski, prawnik i działacz Zielonych, z którym siedzę we Wrocławiu na piwie. – To jest po prostu koktajl chemiczny. Wisła ma łachy piasku, zakola, toksyny mają gdzie się zatrzymać po drodze. Odra tego nie ma. Poza tym mamy niski stan wody, jest wysoka temperatura. A nadmierne zasolenie, o którym mówią niemieccy naukowcy, powoduje uwalnianie się metali ciężkich. Poza tym w województwie lubuskim odbywają się na rzece roboty budowlane, więc unosi się mul z dna rzeki, a on jest zanieczyszczony od ponad wieku, od kiedy tu działa przemysł... no i stąd te wyniki rtęci, zaraz się pewnie olów pojawi...

– No a instytucjonalnie? – pytam. – Wędkarze mówią, że się ich zgłoszenia odsyła od Annasza do Kajfasza.

– No, tak to wygląda. Na przykład w Lubuskim: przyrodniczka Ewa Drewniak zgłaszała sprawę najpierw do WIOŚ, a potem do sanepidu. No i okazało się, że sanepid dopiero dowiedział się od niej o zatruciu. Nie było szybkiego przepływu informacji między WIOŚ a sanepidem, bo oni się ze sobą kontaktują, ale za pomocą listu poleconego. To jest kilka dni przecież. Poza tym tak: teoretycznie istnieje w Polsce ustawa o zarządzaniu kryzysowym. W jej ramach wojewoda powołuje sztab kryzysowy na poziomie województwa, potem starosta na poziomie powiatu, potem jest gmina i tak dalej. Ale takich sztabów nie powołano. A jeśli wojewoda nie powoła sztabu, to nic się nie dzieje: mechanizm nie rusza. Nie ma działań, nie ma obiegu informacji, bo to właśnie wojewoda ma to wszystko koordynować.

– A wojewodowie wiedzieli? – pytam. – Dostali informacje już 3 sierpnia – mówi Suligowski. – I Małgorzata Tracz, posłanka Zielonych, informowała, i Generalny Inspektorat Ochrony Środowiska wysłał do wszystkich wojewodów nad Odrą informacje na ten temat. No i właśnie główny problem polega na tym, że wojewodowie nie zwołali tych sztabów. Bo gdyby zwołali, to by wszystko ruszyło: inspekcja weterynaryjna, sanepid, wojewódzka inspekcja ochrony środowiska, państwowa straż rybacka, państwowa straż pożarna, ochotnicza straż pożarna, starości – i tak dalej. A tak, to co – rozkłada ręce Suligowski – uruchomił się tylko Polski Związek Wędkarski. System, co prawda, potem zadziałał, ale za późno.

– A jak to wygląda w Niemczech? – pytam. – No cóż: bazą działań, tak u nas, jak i w Niemczech czy Czechach, jest Ramowa Dyrektywa Wodna. To dyrektywa UE, która nakłada na państwa członkowskie obowiązki monitorowania wód. I Niemcy mają na Odrze poustawiane swoje stacje badawcze. I zanim zostali w ogóle przez nas poinformowani o czymkolwiek, ich stacje badawcze same wykrywały nieprawidłowości w stanie chemicznym wody. Potem dotarły do Niemiec martwe ryby, a potem dopiero wpłynęła informacja z Polski, że mamy

kowali dokumenty – zresztą w kraju, gdzie wszystko, co oficjalne, jest przejrzyste, publiczne, te dokumenty publikowane są właściwie automatycznie, od razu jak powstają. Niemieckie grafiki cały czas latają w sieci, a badań i dokumentów WIOŚ jakoś nie widziałem.

– A czy to nie jest ich obowiązek? – pytam. – Czy oni nie powinni publikować takich rzeczy?

– Cóż. TSUE sześć lat temu uznało, że Polska po prostu nie wdrożyła tej dyrektywy ramowej. Monitoring też nie ma. I to jest właśnie jeden z postulatów koalicji Ratujmy Rzeki, zrzeszającej fundacje i stowarzyszenia ekologiczne: żeby ten monitoring się pojawił.

KONIEC SEZONU?

No i tak: dalej wzdłuż Odry. Na północny zachód. W radiu słychać głos rzecznika PiS Radosława Fogla, który niechętnie przyznaje, że gdzieś tam rzeczywiście „zawiodła koordynacja i komunikacja”, i informacje o tym, że Komenda Główna Policji w iście westernowym stylu wyznaczyła nagrodę miliona złotych za wskazanie sprawcy zatrucia. Przy drodze nadal obsesja Fundacji Kornice, słoneczniki w głębokiej depresji i początek linii śląskich miast pastelowych. Najpierw Polkowice, wyremontowane w słodko-cukierkowym stylu tak, że wyglądają jak spełniona wizja Polski przyszłości. Polska dumy i chwały III i IV RP, gdzie poniemieckie kamienice oblepiono wszechpolskim ociepleniem i pastelowymi barwami. Robi to wrażenie, szczególnie że jest niedziela i snują się po pustym centrum miasteczka ludzie ubrani jak do kościoła. Pastelowe suknie pasują do tynków, dopieszczzone fryzury pasują do idealnie utrzymanych chodników i nawet tyły kamienic wyglądają tak porządnie, że przy narzekaniu więzną słowa w gardle. Fundacja Kornice ryczy z billboardów, że ufa Jezusowi. A później – nadodrzański Głogów: w czasie II wojny zniszczony w grubo ponad dziewięćdziesięciu procentach, dziś – odbudowywany praktycznie od zera. Podobnie jak, na przykład, Elbląg – w miejscu zrównanego z ziemią starego miasta powstaje tutaj nowe. Też pastelowe, jak Polkowice, ale o wiele większe: nowe polskie miasto idealne, nowy Zamość, tylko naśladujący nie włoskie, ale zachodnie, bardziej niemieckie wzorce urbanistyczne. Urbanistyczne, bo jeśli chodzi o te architektoniczne – to trudno powiedzieć jakie. Najpewniej wyobrażone zachodnie. Ale tak: tu jest Polska. Słowiański korzeń, germańska tkanka, polski pustak i polski pastel. Rodziny w rowerowych ciuchach pocą się w kawiarniach. Trochę to wszystko wygląda jak inwestycja deweloperska, która, tak się składa, wpisała się w wielki proces historyczny o nazwie „polski styl urbanistyczny adaptuje się do zachodnioeuropejskich wzorców”.

Dalej, w Lubuskim, jest już tylko gorzej. Bytom Odrzański, kiedyś, za niemieckich czasów, śliczny i stylowy, jest trochę upastelowiony w centrum, ale im dalej, tym więcej dawnej chwały i dzisiejszej zapaści. A Krosno Odrzańskie – to miasteczko już w ogóle wygląda jak trup. Pozamykane na trzy spusty interesy na głównym deptaku. I auta na sprzedaż na samym jego środku. Wygląda jak miasto w likwidacji. Piękny widok na zatrutą Odrę spina to wszystko w całość.

Po żyjących z Odry Cigacicach pod Zieloną Górą kręcą się strażacy. Młode chłopaki, prążące się w tym upale w kombinezonach, ładujący się do busików i zjeżdżający na bazę noclegową. Cały dzień wylawiali zdechłe ryby z Odry. W gumowych spodniobutach – mówią – chlupało od potu. W maskach ledwie się dało oddychać. Ale dali radę.

– Dzielne chłopaki, ale niedoświadczone, gdzieś spod Częstochowy, z Krakowa ich przywieźli, ze szkoły, młodziutcy tacy, dzieci prawie – mówi Tomasz Włoch z przystani w Cigacicach. Lokalni bywalcy, ludzie związani z rzeką – prowadzący wybieczki, organizujący kulturalne eventy, wędkarze, czy po prostu ludzie przyjeżdżający nad Odrę odpocząć z Zielonej Góry, Poznania czy Wrocławia – bardzo ich chwalą.

– Wszystko się wysypało, to przynajmniej strażacy zadziałali jak należy – tak w knajpie słychać. – Jak to zawsze w Polsce. Tak samo przecież było ze zwykłymi żołnierzami w 1939 po tym, jak dowództwo dało ciała i zwiąło. Tylko oni nie nawalili. Ale co sami mogli zrobić.

Tomasz, który żyje z turystyki na Odrze i z letniskowego statusu Cigacic, jest wściekły. Nie wie, czy właśnie, przypadkiem, przez to całe zatrucie nie zakończył przedwcześnie sezonu.

– A dopiero we wrześniu mamy szczyt, bo jest festiwal wina. Nie tak dawno temu uprawa pojawiła się tu z powrotem. Pisarz Krzysztof Fedorowicz, który sam jest winiarzem (jego książka na ten temat dostała się nie tak dawno do finału Nike), opisuje ten powrót winiarstwa na tereny, które dawniej z wina właśnie, za niemieckich czasów, były znane.

– Całkiem pusto to tu nie jest – mówię. Faktycznie: trochę gości przyjechało. Rowerami, samochodami. Między tatarakiem, szuwarami, na piasku poustawiane są drewniane stoliki: miło, zacisznie, przyjemnie, woda szumi. Ale większość jednak stolików – pustych. A woda szumi zatruta, i choć już nie śmierdzi, to jeszcze niedawno nie było pod tym względem wesoło. Na rzece, przycumowany, kołysze się wodny domek jednego z lokalnych bywalców. Na pomoście – martwa ryba. Po drugiej stronie cypła – barka, na której dwóch braci z Poznania organizuje Pływający Uniwersytet Ludowy: barka przybija do przyodrzezańskich wsi i miasteczek, a chłopaki organizują dla młodzieży warsztaty filmowe. Na barce można sobie poajmować na gitarach i kongach, obejrzeć film.

– W taki dzień jak dzisiaj, w długi weekend, to tu powinny być tłumy – mówi Tomek. I zastanawia się, czy przypadkiem lokalni, nadodrzańscy przedsiębiorcy nie powinni wytoczyć przeciw władzom pozwu zbiorowego. – Nie wiem, może jeszcze da się coś z tego sezonu uratować, może do września jakoś sytuacja choć trochę się poprawi. Ale widzisz, jak teraz wygląda Odra? Ciemna, mulista. Normalnie to ryby w niej widać, dno, taka jest przezroczysta.

Robi się wieczór, schodzą się bywalcy. Opowiadają o strażakach, o tym, jak pomagali im wylawiać zdechłe ryby, jak na strażacką barkę pchała się dziennikarka telewizyjna, bez żadnego przygotowania, sprzętu i stroju, ot tak, bo była okazja – śmieją się. – Trzeba było ją przeganiać.

I tak głęboko w noc. Budzę się rano i przez ścianę namiotu słyszę zachwycone głosy spacerowiczów, że Odra już jakaś czystsza.

– Czaplę widziałem! – mówi ktoś. – Łabędzie się już pluskają! Wychodzę z namiotu, mrużę oczy przed słońcem, bo kolejny ładny dzień – i widzę, że owszem, łabędzie się już faktycznie w Odrze pluskają, widzę też, że na trawie, owszem, leży jakaś jedna zdechła ryba, ale w samej rzece co jakiś czas – faktycznie – słychać rybi plusk. Fala skażenia popłynęła dalej.

W stronę Niemiec, gdzie ekolodzy i samorządowcy klną na czym świat stoi, że ich Polacy w porę nie poinformowali o zatruciu, że do cholery z taką współpracą, i gdzie również wylawiane są tony martwych ryb. W stronę Zalewu Szczecińskiego. A martwe i zatrute ryby w Zalewie Szczecińskim to nie byle co. Choćby z takiego powodu, że to miejsce, w którym najczęściej w Europie, nie tylko w Polsce, występuje bielik. Tak, ten sam, który widnieje na naszym godle narodowym.

A on żywi się właśnie rybami. ●

MUSIMY POWOŁAĆ EKOLOGICZNĄ POLICJĘ

FOT. EAST NEWS

Wciąż pokutuje u nas przekonanie, że środowisko naturalne to nie jest nic ważnego. I właśnie za to płacimy.

Z DR **ALICJĄ PAWELEC***,
HYDROBIOLOGKĄ, ROZMAWIA **ROBERT JURSZO**

Po trzech tygodniach od początku katastrofy w Odrze raczej upadła hipoteza o zatruciu ryb mezytylenem, za ich śmierć nie odpowiada też raczej rtęć. Przyczyną może być duże zasolenie, choć i ta wersja budzi wątpliwości.

– Mogło zadziałać kilka czynników jednocześnie. Niewątpliwie do Odry dostała się bądź została świadomie wprowadzona jakaś trująca substancja. Ale swoje zrobiły również niski stan wody oraz jej wysoka temperatura, wynik upałów. Być może gdyby wody w Odrze było więcej, to trucizna by się bardziej rozcieńczyła i nie spowodowała aż takiej śmiertelności ryb i innych organizmów. Ryby wypływają, bo mają pęcherze pławne. Więcej raków i małży wypłyne później, wraz z postępem procesów gnilnych. Całe dno może być usiane ciałami martwych zwierząt.

Ryby podpływają pod samą powierzchnię wody, zaczynają się chwiać, tracić pion i kładą się na boku. Fotografowałem płynące bokiem Odrą jeszcze żywe ryby, jakby niezdolne do ruchu. Czy to może być wskazówka do zrozumienia tego, co im się stało?

– To może świadczyć o jakimś porażeniu nerwowym. Widziałam coś podobnego podczas badań w warunkach laboratoryjnych, kiedy pasożyty atakujące układ nerwowy sprawiali, że ryby wynurzały się tuż pod powierzchnią, następnie traciły równowagę i nieruchomiały. Być może więc do Odry trafiła jakaś neurotoksyna.

Wciąż poruszamy się w sferze spekulacji. Coś jest nie tak z krajowym systemem ochrony przyrody, skoro wciąż nic nie wiemy.

– Ta katastrofa wykazała całkowitą niewydolność naszego systemu monitoringu środowiska. On – trzeba to powiedzieć wprost – po prostu nie działa.

To co trzeba zrobić, by działał?

– Potrzebujemy służby ochrony przyrody na wzór amerykańskiej Fish & Wildlife Service, która dysponuje sztabem terenowców gotowych do działania niezależnie od pory dnia i nocy. Powinna mieć uprawnienia zbliżone do policji, móc prowadzić własne śledztwa, mieć laboratoria zdolne do wykrycia w ciągu 24 godzin niebezpiecznych dla środowiska substancji.

Nasz system ochrony środowiska tak nie działa, w weekend w każdym wojewódzkim inspektoracie ochrony środowiska dyżuruje tylko jeden inspektor ochrony środowiska. Slabe efekty widać choćby po tym, że na samym początku zebrano zaledwie 150 próbek wody, których wyników zresztą wciąż nie znamy, tak jak wciąż nie znamy wyników badań martwych ryb. Nie zbadano małży, które są przecież wskaźnikami zanieczyszczenia. Ani raków czy innych wodnych bezkręgowców, ale też roślin i osadów den-



nich. To już na starcie zawężilo nam pole poszukiwań tak bardzo, że utrudniło szybkie znalezienie trucizny. Po prostu służby mogły ją przeoczyć.

Czego jeszcze nie zrobili urzędnicy?

– Przede wszystkim nie zareagowali na pierwsze zgłoszenia – zarówno ci z wojewódzkich inspektoratów ochrony środowiska, jak i z Wód Polskich. Wędkarze już 3 sierpnia alarmowali, że Kanałem Gliwickim i Odrą płyną martwe ryby. A służby nie tylko nie zabezpieczyły w odpowiedni sposób próbek do badania, ale też nie ostrzegły ludności, że woda może być skażona. Trzeba było zakazać kąpeli czy w ogóle korzystania z rzeki. Lepiej zrobić coś na wyrast, niż potem żałować.

Mieszkam w Szczecinie, alert RCB esemesem przyszedł dopiero 12 sierpnia późnym popołudniem.

– Dużo za późno. Poza tym trafił tylko do mieszkańców województw, przez które płynie Odra. A przecież mamy wakacje, nad Odrą są letnicy z całej Polski. Oni alertów RCB nie dostali.

A co z monitoringiem zanieczyszczeń? Mamy taki w miastach, tyle że dotyczy jakości powietrza. Czy moglibyśmy mieć coś podobnego, co mierzyłoby jakość wody?

– Powinniśmy mieć system pomiarowy, który monitorowałby przekroczenia wskaźników zanieczyszczenia wody. Przynajmniej na dwóch naszych największych rzekach, czyli Odrze i Wiśle, a najlepiej również na ich dopływach. Powinien działać bez przerw, automatycznie, natychmiast informując inspektorów, że w jakimś punkcie rzeki dzieje się coś złego. Mamy katastrofę, bo takiego systemu nie mamy.

Dlaczego?

– Państwo oszczędza na ochronie środowiska, więc również instytucje związane z ochroną rzek są niedofinansowane. Brakuje sprzętu i ludzi. Ta praca jest bardzo nisko płatna, niewielu się do niej garnie. W Polsce wciąż pokutuje przekonanie, że środowisko naturalne to nie jest nic specjalnie ważnego. I właśnie teraz to się na nas mści.

Dotąd mówiliśmy o odpowiedzialności urzędników, a jak zachował się rząd?

– Karygodnie. Trudno sobie wyobrazić, że w XXI wieku w europejskim kraju rząd zareagował na poważne zanieczyszczenie dróg co do wielkości rzeki w kraju dopiero po dwóch tygodniach. I nie sam z siebie, ale pod presją mediów. Po wykryciu katastrofy nad Odrę powinien przyjechać premier al-

bo przynajmniej minister odpowiedzialny za środowisko. Tymczasem Anna Moskwa, ministra klimatu i środowiska, pojawiła się publicznie w tej sprawie dopiero 14 sierpnia, tłumacząc, że nie mogła wrócić z urlopu. Rząd nie zrobił też nic, by przyspieszyć badania laboratoryjne i porównać ich wyniki z niemieckimi.

Za to premier Morawiecki skrytykował Niemców za ich rzekomą opieszałość w walce z katastrofą Odry.

– Nie dodał, że nie powiadomił Niemców o tej tragicznej sytuacji. Przecież Odra to rzeka transgraniczna, na zanieczyszczonym odcinku przebiega przez niemiecki Park Narodowy Doliny Dolnej Odry. A Niemcy bardzo poważnie – w odróżnieniu od naszych władz – traktują zagrożenia swojej przyrody. W tej sytuacji mają prawo domagać się odszkodowania od polskich władz. Gdyby doszło do rozprawy, to polski rząd nie miałby żadnych argumentów, którymi mógłby się bronić przed ewentualnymi karami.

Jak na sytuację wpływa fakt, że zachodnia Polska, w tym Odra, nie jest powszechnie postrzegana jako miejsce o wybitnych walorach przyrodniczych? Biebrza, Bieszczady, Karpaty – to emblematy polskiej przyrody. Ale Dolinę Dolnej Odry kojarzą jedynie przyrodniczy koneserzy. Może więc Odra i jej przyroda nie są postrzegane jako coś wartego ochrony?

– Coś w tym jest, bo rząd patrzy na tę rzekę czysto użytkowo, przede wszystkim jak na drogę wodną o znaczeniu gospodarczym. Zupełnie nie traktuje jej jako obiektu przyrodniczego, który na pewnych odcinkach jest wyjątkowym ekosystemem o znaczeniu europejskim. To szerszy problem, że w świadomości społecznej przyroda nie funkcjonuje jako część dziedzictwa. Może z wyjątkiem kilku wybranych miejsc, jak wspomniana Puszcza Białowieska. Ten problem szczególnie dotyczy rzek, które są postrzegane użytkowo albo jako zagrożenie powodziowe. Patriotyzm w Polsce nie jest tożsamy z troską o rzeki, a to utrudnia ich ochronę.

Przyrodnicy i ekolodzy obawiają się, że katastrofa w Odrze może posłużyć rządowi jako argument za transformacją tej rzeki na tzw. wodną autostradę. Bo skoro wartości przyrodniczych już nie ma, to nie trzeba mieć już oporów przed kanalizacją, budową kolejnych progów i jeszcze większym uzęglownieniem Odry.

– Jest takie ryzyko. Wiem, że obecnie m.in. koalicja „Czas na Odrę” apeluje do rządu, by zaprzestano wszelkich prac regulacyjnych,

by nie pogłębiać dodatkowo kryzysu. Na razie rząd jest na te apele głuchy.

Dlaczego to takie ważne?

– Ponieważ w osadach dennych Odry leżą zanieczyszczenia, które przez dziesiątki, a może setki lat do niej zrzucaliśmy. Prace hydrotechniczne mogą je uwalniać, co będzie skutkowało wtórnym zanieczyszczeniem i pogłębi i tak już katastrofalną sytuację. Niewykluczone, że rtęć, którą Niemcy odkryli w pierwszych próbkach, mogła pochodzić z osadów naruszonych przez jakieś prace regulacyjne.

Czy możemy powiedzieć, jaka przyszłość czeka Odrę?

– To trudne, ponieważ wciąż nie znamy przyczyny katastrofy, więc nie można przygotować modeli tego, jak zanieczyszczenie będzie się rozprzestrzeniać. Wciąż nie jest jasne, czy toksyna nadal nie dostaje się do rzeki. Ale nawet jeśli założymy optymistycznie, że już nie wpływa do Odry, to i tak ekosystem będzie się odbudowywał przez lata. I to nie przez kilka, raczej kilkadziesiąt.

Premier Mateusz Morawiecki przekonywał, że dzięki zarybianiu da się Odrę odrodzić.

– Ale to nie jest tak, że my wrzucimy do tej rzeki narybek i już wszystko będzie w porządku. Teraz wyciągają z Odry wielkie martwe ryby, które mają po 8, 12 czy nawet 20 lat. Umarły też małże i raki, o czym wiemy, bo zaczęły wypływać na powierzchnię. Część ryb zapewne uciekła do starorzeczy i dopływów Odry, więc z nich będzie się odradzać populacja odrzańskich ryb. Ale do tego potrzebny jest czas. A zarybienie będzie miało sens tylko wtedy, jeśli będziemy pewni, że toksyna wypłynęła już z Odry i się do niej nie sączy. ●



***Dr Alicja Pawelec** jest hydrobiologką, specjalistką ds. ekosystemów wodnych fundacji WWF Polska, w której zajmuje się m.in. wpływem przekształceń rzek na populację ryb. Ekspertka kampanii #UWażniNaSuszę realizowanej przez Centrum Współpracy i Dialogu Uniwersytetu Warszawskiego. Badaczka zachowań ryb

Kontrola ścieków w Polsce to fikcja

Inspektorzy ochrony środowiska nie mogą samodzielnie badać zanieczyszczeń odprowadzanych z oczyszczalni do wód lub ziemi!

Szklarek*

Sytuacja na Odrze to wierzchołek góry lodowej naszego podejścia do zasobów wody i szerzej do ochrony środowiska. Zanieczyszczenia zrzucane do wód nie są tak widoczne jak śmieci w lesie, co powoduje, że o problemie dowiadujemy się dopiero wtedy, gdy jest ich już za dużo i giną żyjące w wodach organizmy, a skutki widzimy głównie po pływających do góry brzuchem rybach. Często jest już za późno, żeby znaleźć źródło zanieczyszczenia i ukarać winnego.

Jak powinny zatem wyglądać działania służb publicznych, aby przeciwdziałać takim sytuacjom, a kiedy już wystąpią, szybko znaleźć przyczynę i odpowiednio z nią walczyć?

Monitoring to podstawa

W pierwszej kolejności potrzebujemy ciągłego monitoringu podstawowych wskaźników wody i ścieków. Pomiary na wylotach oczyszczonych ścieków pozwalają na bieżąco kon-

Zmienić przepisy, znaleźć pieniądze

Niestety, w naszym systemie badania jakości wody nie ma takich stacji pomiarowych jak frankfurcka. A istniejący monitoring jest niewystarczający. Dobitnie na ten temat wypowiedzieli się w 2018 roku autorzy raportu Najwyższej Izby Kontroli, którzy negatywnie ocenili m.in. model finansowania monitoringu rzek.

Przewiduje on np. coroczne aplikowanie przez wojewódzkich inspektorów o pieniądze do krajowych funduszy ekologicznych. To bardzo niewydolne w sytuacji, gdy ich zadania wynikające z prawa krajowego i zobowiązań wspólnotowych obliczone są na lata. Nie trzeba dodawać, że rezultat ich starań jest co roku mocno niepewny. Nie są więc często w stanie w pełni realizować nałożonych na nich zadań.

Aby stworzyć profesjonalny i skuteczny system monitorowania, potrzebna jest zatem zmiana przepisów i zwiększenie nakładów na ochronę środowiska.

przemieszczającą się po Odrze. W momencie gdy problem objął znaczny odcinek rzek, można było uruchomić procedury zarządzania kryzysowego.

Gdzie się podziało zarządzanie kryzysowe?

Według ustawy można po nie sięgnąć m.in. wtedy, gdy zagrożony jest „poziom bezpieczeństwa ludzi, mienia w znacznych rozmiarach lub środowiska”, a organy administracji państwowej nie dysponują wystarczającymi siłami i środkami, by poradzić sobie z kryzysem.

Uruchomienie procedur zarządzania kryzysowego pozwoliłoby ściągnąć nad rzekę dodatkowe służby mogące pomóc w usuwaniu martwych ryb, a także zaangażować więcej specjalistów w wyjaśnienie przyczyn katastrofy i szukanie winnych.

Kolejna sprawa to zapisy ramowej dyrektywy wodnej i ustawy Prawo wodne, które nakładają na Polskę obowiązek współpracy w zarządzaniu wodami granicznymi. W momencie rozszerzania się kryzysu na Odrze powinna zostać zatem wysłana informacja do Niemiec, że coś niedobrego dzieje się w rzece, a z dotychczasowych informacji wynika, że zachodni sąsiedzi dowiedzieli się o problemie dopiero wtedy, gdy fala już do nich dotarła.

Uruchomienie zarządzania kryzysowego dałoby też szansę na wsparcie Inspektoratu Ochrony Środowiska przez inne jednostki, np. naukowe lub specjalistyczne laboratoria komercyjne. To konieczne, ponieważ kadry, jakimi dysponują IOŚ, są zbyt szczupłe. O tym również szczegółowo w swoim raporcie napisali kontrolerzy NIK. Wskazali m.in., że w ośmiu z dziewięciu badanych przez nich wojewódzkich inspektoratach „potencjał kadrowy i techniczny” nie pozwalał na właściwy monitoring rzek i kontrolę oczyszczalni ścieków.

Wojewódzcy inspektorzy oczywiście regularnie zgłaszają wojewodom i głównemu inspektorowi zapotrzebowanie na etaty i środki techniczne, ale nie wszyscy im je przyznają, a część na ich pracę przeznaczają znacznie mniejsze pieniądze niż te, o które aplikują.

Wydano miliardy, a wody brudne

Prawo unijne i krajowe, a także rozwój technologii poprawiły znacząco jakość ścieków. Jednak służby państwowe nie są w stanie należycie kontrolować, czy spełniają one ustalone normy. Z przywoływanego już raportu NIK wynika, że przez ostatnich 14 lat inspektorzy ochrony środowiska nie mieli prawnych możliwości samodzielnego badania ścieków odprowadzanych z oczyszczalni. Zdani są wyłącznie na pomiary i analizy wykonywane przez te oczyszczalnie (obecnie analiza zlecana prywatnym laboratoriom z akredytacjami na pobór i analizy laboratoryjne), co – jak słusznie podkreślili kontrolerzy – prowadzi „do braku rzeczywistego nadzoru nad oddziaływaniem oczyszczalni na środowisko”.

Autorzy raportu zwrócili uwagę na jeszcze jedną fundamentalną kwestię: choć w latach 2003–15 na budowę i modernizację oczyszczalni wydano ponad 18 mld zł, to niemal 90 proc.

wód powierzchniowych nadal jest w złym stanie.

Kolejny wniosek jeszcze wyraźniej pokazuje, że kontrola ścieków to fikcja, gdyż dostarczane przez oczyszczalnie wyniki pomiarów analizowane były przez wojewódzkie inspektoraty z dużym opóźnieniem: „Niemał połowa z nich przeprowadzała je z wielomiesięczną, a nawet kilkuletnią zwłoką” – stwierdzili kontrolerzy.

Trzeba było reagować natychmiast

I na koniec porównanie dwóch zdarzeń, w których widać dysproporcję w reakcji służb publicznych. W przypadku pierwszej i drugiej awarii przesyłu ścieków pod Wisłą w Warszawie (mylnie nazywanej „awarią Czajki”) w latach 2018 i 2019 służby zareagowały bardzo szybko. Wysłano alerty do osób przebywających nad Wisłą. Na miejsce przybyło wojsko i inne służby, żeby pomóc opanować sytuację i ograniczyć ilość nieoczyszczonych ścieków trafiających do rzeki. Przy pierwszej awarii Inspektorat Ochrony Środowiska publikował regularnie na stronach internetowych wyniki badań z kilku punktów na rzece – powyżej, przed awaryjnym zrzutem, i w kilku punktach poniżej zrzutu.

W przypadku Odry nie było tak szybkiej i zdecydowanej reakcji włączającej do akcji dodatkowe siły i służby. Działania podjęto, ale opinia publiczna mało o nich wiedziała. Dopiero nagłośnienie sprawy przez media spowodowało lawinę reakcji. Na Odrze nie było widać jednego punktu zrzutu, co nie pozwala zidentyfikować źródła problemu, ale reakcja środowiska w postaci ton martwych ryb (lokalne media pisały o kilku tonach już w pierwszych dniach sierpnia) dawała wyraźne sygnały, że sytuacja jest poważna i trzeba reagować szybko.

Do tej pory wielokrotnie społeczne sygnały o zanieczyszczaniu rzek pozostawały bez echa albo bez ukarania winnych. Odrzańska sytuacja pokazała, że odporność środowiska została znacząco przekroczona, powodując ogromne straty w ekosystemie rzeki. Jeśli nawet przyczyny okażą się złożone i nie da się wskazać jednego winnego, to i tak powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski i podjąć wreszcie odpowiednie działania, aby szansa na powtórkę była jak najmniejsza. ●



***Dr Sebastian Szklarek**, ekohydrolog, pracuje w Europejskim Regionalnym Centrum Ekohydrologii PAN, naukowo zajmuje się ekologią wód, ochroną zasobów wodnych i monitoringiem jakości wód powierzchniowych. Prowadzi bloga „Świat wody”



FOT. PATRICK PLEUL/AP

trolować jakość odprowadzanych do wód zanieczyszczeń. Obecny system monitoringu nie jest realizowany z odpowiednią częstotliwością (od 2 do 24 razy w roku, w sporadycznych przypadkach częściej), żeby wychwycić awarie lub celowe zanieczyszczanie wód.

Uzupełnieniem takiego systemu byłyby stacje monitoringu wód powierzchniowych – jeśli któreś wskaźniki nagle zaczęłyby odbiegać od normy, to można by szybko wysłać odpowiednie jednostki do pobrania próbek i wykonania większej liczby analiz, a także łatwiej złapać sprawców zanieczyszczeń.

Taki system istnieje w niemieckim Frankfurcie nad Odrą – to dzięki wynikom z tej stacji pomiarowej mamy jakiegokolwiek informację o tym, co dzieje się na Odrze. Są one dostępne dla każdego, dzięki czemu eksperci, patrząc na wartości wskaźników, mogą interpretować potencjalne przyczyny i zlecać odpowiednie badania uzupełniające.

Kto miał działać, a nie działał?

Kolejna sprawa to natychmiastowe reagowanie na sytuację, takie jak ta nad Odrą. Martwe ryby to nie jest nowe zjawisko, więc odpowiednie procedury powinny być ustalone i wdrożone. A może tak bardzo przyzwyczailiśmy się do śniętych ryb i najczęściej kojarzymy to z przyduchą, że pierwsze sygnały zostały zbagatelizowane?

Niezależnie od odpowiedzi na to pytanie już w początkach kryzysu na Odrze powinny zadziałać dwie służby – Inspekcja Ochrony Środowiska, jako jednostka zajmująca się monitoringiem, oraz Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie, jako jednostka reprezentująca skarb państwa oraz wykonująca jego prawa właścicielskie w stosunku do wód.

Gdyby martwe ryby pojawiły się na niewielkim odcinku, działania tych służb byłyby wystarczające do usunięcia skutków i szukania winnych. Jednak sytuacja rozwinęła się bardziej i mieliśmy „falę” zanieczyszczenia

NIE STRZELAJCIE DO WRÓBLI

Może moja boomerska wizja samodoskonalenia się i postępu jest kardynalnie błędna?
Coraz więcej młodych ludzi mówi, że nie chce żyć w tym świecie, pyta: „Po co nas spłodziliście?”

Z **MARCINEM MATCZAKIEM***
ROZMAWIA **EWA KALETA**

„Wątpię, aby tacy ludzie byli gotowi pracować po 16 godzin na dobę, żeby osiągnąć sukces” – powiedział pan o przedstawicielach tzw. młodej lewicy. I stwierdził, że „indywidualne niepowodzenia bardzo często służą im potem jako uzasadnienie dla zmian systemowych”. I posypały się na pana gromy za gloryfikowanie „kultury zapierdolu”, ignorowanie patologii polskiego turbokapitalizmu, wypowiadanie się z uprzywilejowanej pozycji.

– Powiedziałem, że widzę upadek etosu samodoskonalenia się. Ta obserwacja wypływa z walki idei pomiędzy liberałami a lewicą. Dążenie, by stać się lepszą wersją siebie, jest podstawą myśli liberalnej, czytamy o tym już u Johna Stuarta Milla. Może się dokonywać przez pracę, ale też przez uczenie się nowych umiejętności po skończeniu pracy. Samodoskonali się pianista, szykujący się do Konkursu Chopinowskiego, piłkarz zostający po treningu czy naukowiec czytający kolejny artykuł po wykładzie wygłoszonym w ramach etatu. Samodoskonalenie się może dotyczyć też inteligencji emocjonalnej, komunikacji, dbania o relacje.

Ta liberalna idea zderza się z ideą lewicową, wedle której wezwanie do ciągłego samodoskonalenia się jest formą opresji. Nikt nie może narzucać normy, do której powinno się osiągnąć, bo taka norma jest przymusem. Lewicowi działacze i politycy zmanipulowali moją wypowiedź, sprowadzając złożoną kwestię samodoskonalenia się do wymuszania pracy w nadgodzinach – zredukowali coś wartościowego do patologii rynku pracy. A tu chodzi o to, co ja chcę zrobić ze swoim życiem po pracy i czy mogę w ten sposób przynieść sobie i społeczeństwu jakąś korzyść.

Ja mówiłem o szukaniu lepszej wersji siebie, a mój polemista, Adrian Zandberg, stał z transparentem o ośmiogodzinnym dniu pracy. Tylko że gdyby sufrażystki słuchały Zandberga, to do równouprawnienia kobiet pewnie nigdy by nie doszło – walka o rewolucyjną zmianę społeczną wymagała przecież od nich olbrzymiego wysiłku. Gdyby Thurgood Marshall, kluczowa postać walki z segregacją rasową w USA, kończył walkę o prawa innych wraz z fajrantem ogłaszającym przez pana Adriana, segregacji rasowej nigdy by nie zniesiono. Nie zawsze da się udoskonalić świat w ciągu 8 godzin.

Ale w felietonach w „Wolnej Sobocie” czy na Twitterze wymierza pan prztyczki tzw. środowiskom progresywnym nie tylko za samodoskonalenie. Ma pan generalnie problem z lewicą.

– Mam duży szacunek dla myśli lewicowej jako myśli krytycznej, która pokazuje wypaczenia i skutki uboczne kapitalizmu i liberalizmu: niezbilansowany rozwój, nadmierną koncentrację na wolności „od”, a więc wyłącznie tworzenie przestrzeni do osiągnięcia celów, zapominanie o wolności „do”, a więc zaniechanie tego, by ludzie rzeczywiście byli w stanie realizować swoje cele.

Mój problem z lewicą polega na tym, że oprócz słusznej krytyki zaczyna niszczyć jądro liberalizmu, czyli przekonanie, że indywidualna wolność,

w tym wolność słowa, jest podstawą naszego bycia w świecie. Wolność nie jest tylko wartością konstytucyjną, ale podstawowym warunkiem naszego rozwoju, tworzenia innowacji, produkcji różnorodności, z której możemy wybierać najlepsze pomysły, by radzić sobie ze złożonym światem. Tak rozumiana wolność indywidualna jako idea podstawowa nie ma konkurencji.

Tymczasem lewica staje się nieliberalna w filozoficznym sensie, kiedy zapatrzona w ogólnie słuszny ideał troski poszerza jego granice i próbuje uchronić ludzi od różnorodności idei. Zaczyna stosować techniki cenzorskie – coraz więcej jest tematów tabu, bo samo omówienie trudnej kwestii może u kogoś wywołać dyskomfort.

„Nowa lewica” odpowiada: może błądzimy, ale szukamy nowych dróg, bo liberalizm nas zawiódł. Skoro złamano obietnice merytorycznego awansu, to słynne „ucz się, ciężko pracuj, a będziesz miał lepiej niż rodzice”, mamy prawo być przeciętni – bo i tak od nas niewiele zależy, a wszystko od rynków, banków i biurokratów.

– Liberalowie i lewica mogą się różnić w ocenie tego, jak powinno funkcjonować społeczeństwo, ale brutalna prawda jest taka, że rzeczywistość stawia nam twarde warunki. Nie liberalizm, nie kapitalizm, tylko świat, po prostu.

*Kiedy oni krytykują ciebie,
korzystają ze swoich praw.*

*Kiedy ty krytykujesz ich, jesteś
boomerem i dziadersem (ageizm),
białym facetem w średnim wieku
(seksizm), mieszkańcem metropolii
(dyskryminacja geograficzna)
i powinieneś się zamknąć
(próba cenzury)*

Nasza cywilizacja od zarania to szukanie sposobu radzenia sobie ze stawiającym opór światem. W mitologii nordyckiej świat dzieli się na dwie części. Jest to, co znane, domostwo otoczone ogrodzeniem, a w nim udomowiony ogień. Tam jest jasno, ciepło i bezpiecznie, jeśli są tam zwierzęta, to także udomowione, niegroźne, dają ludziom mleko czy mięso. Ale za ogrodzeniem jest druga część świata: ciemna, zimna, nieznana i niebezpieczna, tam zwierzęta są dzikie i groźne. Cała historia ewolucji kulturowej to przesuwanie granicy między tymi dwiema częściami świata: czynienie tego, co nieznane i nieopanowane, znanym i kontrolowanym. Za pomocą narzędzi, idei, norm, instytucji, wiedzy i prawa.

No dobrze, trawestując Masłowską, świat jest i był niemiły, ale jak to się ma do przeciętności?

– Prawo do przeciętności to prawo do samozadowolenia ze status quo, założenie, że nie trzeba bardziej się starać, nie trzeba wiele dla lepszego świata robić. Podkreślam – robić, nie tylko mówić, żeby ktoś zrobił. To rzekome prawo zakłada bezsensownie, że to, co jest po drugiej stronie ogrodzenia, to, co nieznane, pozostanie takie, jakie jest, i nie stworzy nowych problemów. Tymczasem liberalna wizja człowieka zakłada, że granica między znanym a nieznanym przesuwana się w obie strony. Prawo do przeciętności jest groźne, bo społeczeństwo potrzebuje argonautów: naukowców, artystów, nieprzeciętnych ludzi, którzy eksplorują nieznane i swoim wysiłkiem dostarczają nam narzędzi radzenia sobie z rzeczywistością.

Co jest po drugiej stronie ogrodzenia?

– Na przykład choroby, takie jak rak czy alzheimera, na które nie mamy lekarstwa, kryzys klimatyczny czy żywnościowy, autorytaryzm, który normalne państwo potrafi zamienić w broń masowego rażenia. Potrzebujemy ludzi, którzy będą chcieli włożyć wysiłek, aby te problemy rozwiązać. Dlatego że ten nieznany świat i to, co tam jest, nie pozostanie dalekie. To po nas przyjdzie. I dlatego postulat prawa do przeciętności jest antyludzki, dlatego że istotą bycia człowieka w świecie jest radzenie sobie z tym światem. I nie chodzi tylko o to, że człowiek ma się poświęcać dla społeczeństwa ze szkoda dla siebie. Potrzebujemy w życiu celu, aby mieć poczucie sensu – pisze o tym na przykład Viktor E. Frankl. Przeciętność, pozostanie tam, gdzie się jest, nie ma siły wyzwalania motywacji, i dlatego niesie ze sobą ryzyko poczucia, że życie tego sensu jest pozbawione.

„Nowa lewica” powiedziałaaby, że za bezpieczeństwa odpowiedzialny jest system. Niczym rodzic powinien wyprzedzać nas o krok.

– Ale czym jest ten system? On nie został wytworzony przez naturę, tylko przez kulturę.

Gdyby do uprawy roli od samego początku brali się ludzie głoszący prawo do przeciętności, nie byłoby nas tutaj. Te wypracowane instrumenty to także edukacja, dzięki której przekazujemy wiedzę z pokolenia na pokolenie. To prawo, czyli koordynowanie społeczeństwa, oparte na niezbędnej hierarchii. Te systemy są efektem ogromnej liczby prób i błędów. Niektóre się sprawdzały, inne nie. Wszystko wskazuje na to, że scentralizowane systemy koordynacyjne z autorytarnym przywódcą nie radzą sobie długofalowo z problemami, jakie niesie świat, doprowadzając do głodu, do ludobójstwa. Rozproszone systemy oparte na demokracji liberalnej, w których indywidualna aktywność nie jest regulowana centralnym planem, lepiej radzi sobie z tymi problemami. System jest tak dobry albo tak zły, jak my sami i nasze starania, by uczynić go lepszym.

Przeniesienie odpowiedzialności na system jest jak przeniesienie odpowiedzialności na rower, aby nas gdzieś dowiózł przy założeniu, że nie tylko nie musimy go napompować i naoliwić, ale w ogóle nie musimy nim jechać – ma on to wszystko zrobić sam. To absurd – system jest ludzkim artefaktem, nie jakąś kosmiczną, niezależną od człowieka siłą.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



***Marcin Matczak**

• prawnik praktyk, profesor filozofii prawa na UW, zajmujący się teorią języka prawnego, teorią interpretacji oraz teorią reguł społecznych. Publicysta i autor książki „Jak wychować rapera. Bezradnik”. Pro-wadzi na YouTube popularyzator-sko-publicystyczny kanał „Profesor Matczak” oraz podcast na Spotify. Ojciec rapera Maty

„To nie ja jestem problemem, to system jest problemem – gdyby nie bariery systemu, odniósłbym sukces”. Lewica jest bardzo potrzebna, by krytykować niedoskonałości systemu. Ale gdy skupia się na usprawiedliwianiu indywidualnych porażek barierą systemu, szerzy lenistwo duchowe. A ludzie są łasi na takie usprawiedliwienia – bo pozwala im to poradzić sobie z dysonansem. Nie dałem rady, mówią, nie dlatego, że nie chciało mi się samodoskonalić, ale dlatego, że system mi nie pozwolił. A kiedy wyłączną winą zostaje obarczony system, nie da się ocenić, jak poprawić swoje własne działanie, by było skuteczniejsze.

Pochodzę z małej miejscowości, moi rodzice nie mieli wyższego wykształcenia. Dzięki dość egalitarnemu polskiemu systemowi edukacji, systemowi ochrony zdrowia, dzięki dostępności do (kiedyś) biblioteki, a dzisiaj internetu i mnie, i innym udało się społecznie awansować. W zasadzie Adrian Zandberg powinien takich jak my obwozić w klatce po kraju jako przykład, że jeżeli uda się system odpowiednio skalibrować, to on działa. Ale politycznie łatwiej jest usprawiedliwiać niepowodzenia, niż wzywać do wysiłku.

Paradoksalne.

– Tak. Dodatkowo lewica ludzi, którym się powiodło, atakuje często w sposób zupełnie sprzeczny z wartościami tolerancji i różnorodności, które głosi. Kiedy oni krytykują ciebie, korzystają ze swoich praw. Kiedy ty krytykujesz ich, jesteś boomerem i dziadersem (ageizm), białym facetem w średnim wieku (seksizm), mieszkańcem metropolii (dyskryminacja geograficzna) i z każdego z tych powodów powinieneś się zamknąć (próba cenzury). Ludzie, którzy uważają dyskryminację za największe zło, sami dyskryminują.

W myśli liberalnej nie chodzi o to, żeby bogaci byli biedniejsi, tylko żeby biedniejsi byli bogatsi, w każdym sensie, nie tylko finansowym. Sytuacja jest dziwna, ponieważ kiedy biedni z prowincji stają się bogatsi, mają większą wiedzę, zaczynają odgrywać ważniejszą rolę w społeczeństwie, to realizuje się proces, który powinien być celem działania lewicy. Tymczasem ten proces jest przez lewicę atakowany, jakby ich przewrotnym marzeniem było, aby utrzymać status quo, w którym bieda istnieje i niszczy ludzi. Bo tylko wtedy ich lewicowa aktywność nie traci racji bytu.

Ma pan współczucie i zrozumienie do ofiar transformacji? Dla tych, którym się nie udało tak jak panu wspiąć się po drabinie społecznej?

– Mam. Nie jestem reprezentantem warszawki, wychowałem się w miejscowości, która ma 4 tys. mieszkańców. Mogę więc spojrzeć na sprawę w miarę obiektywnie, bo byłem i wieśniakiem, i warszawiakiem. Wiem, być może lepiej niż niektórzy reprezentanci lewicy, na czym polegają wypaczenia liberalizmu. Polska w roku 1989, po traumie totalitarnej komunizmu, zachłysnęła się wolnością „od” i zaczęła budować przestrzenie, w których ludzie mogą się realizować. Błąd III RP, za który teraz wszyscy płacimy autorytarnymi rządami PiS, polegał na tym, że zapomniano o wolności „do”, czyli rzeczywistej możliwości realizacji swoich celów

w przestrzeniach otwartych przez wolność „od”.

Poproszę o konkretny przykład wolności negatywnej III RP. Pokoleniowy rachunek sumienia.

– Unijna swoboda przepływu osób. Zniesiono granice i wybudowano autostrady, dzięki czemu można obecnie przejechać samochodem z Warszawy do Lizbony bez jednej kontroli granicznej. Kiedy jednak popatrzeć na to z perspektywy wolności „do”, trzeba zapytać: za co tam jechać, czym tam jechać i po co tam jechać. Jak skorzystać ze swobody przepływu osób, jeżeli nie ma się auta, pieniędzy na paliwo czy umiejętności, żeby zdać egzamin na prawo jazdy? Po co jechać, jeżeli nie zna się języka i nie wie się, co może dać wyjazd do Portugalii? Wolność „od” bez środków, by ją realizować, i bez celu, który trzeba sobie umieć w głowie zbudować, jest abstrakcją. III RP była tak mocno skupiona na wolności „od”, że naturalne różnice w uzdolnieniach czy posiadanym kapitale, jakie są między ludźmi w pozycji wyjściowej, spowodowały mocny podział na tych, którym się udało, i tych, którym się nie udało. Aby idea liberalna mogła radzić sobie ze światem, musi pamiętać o obu wolnościach – po co komu wolny rynek, jeśli nie ma na nim co sprzedać, bo nie potrafi się niczego wartościowego wytworzyć? Te dwie wolności są jak dwie nogi – bez jednej z nich liberalizm upada.

PiS tę nogę stawia.

– Wielokrotnie krytykowałem PiS – w tym za niszczenie instytucji, które bronią wolności „od”. Ale nigdy nie będę krytykować PiS za program 500+, bo kiedy przyjeżdżam w moje rodzinne strony, widzę, że to jest program progodnościowy. Jego istotą jest to, żeby nadrobić ten kolosalny błąd, jakim było zapomnienie o ludziach, którzy w przestrzeni wolnej od przymusu, w przestrzeni wolnego rynku sobie nie radzą. Naszym obowiązkiem solidarnościowym jest im pomóc.

Jeszcze jedno – kiedy życie staje się trudne, pojawiają się kryzysy gospodarcze, wybucha wojna, pandemia, to nawet jeżeli ludzie mają środki do życia, to brakuje im motywujących celów. Uruchamia się w nich frommowska ucieczka od wolności: w ogromie możliwości, przy ogromie niepewności, ludzie nie wiedzą, co wybrać, więc chcą, żeby wybrał za nich ktoś inny. Liberalizm, zbyt mocno stawiający

– Idealny człowiek według liberalizmu to ktoś, kto nie ucieka od wolności, nie boi się dokonywania wyborów i wie, czego od życia chce. Ale jest cała masa ludzi, którzy z różnych powodów nie mają takich cech, i tych ludzi liberalizm nie zauważa. Jeśli pojawi się silny, antyliberalny lider, to z całą surowością tę krótkowzroczność wykorzysta. Przestrzeń bez celów wypełnią swoimi celami populści prawicowi, tacy jak Kaczyński, Orbán czy Trump.

Liberałom wydaje się, że to aberracja, a to całkowicie naturalny proces. Zamiast głosić, że wyborcy PiS czy Trumpa powariowali, liberałowie muszą przemyśleć swoją strategię i zaproponować ludziom atrakcyjny cel wspólnotowy, a przez to poczucie sensu, poczucie emocjonalnego związku ze wspólnotą. Jest jeszcze inna droga – przed autorytaryzmem mogą nas obronić mądrzy konserwatyści, którzy poczucie sensu słusznie czerpią z tradycji. Oni jednak muszą zatroszczyć się o wolność „od”, którą często poświęcają w imię innych wartości – historia wielu konserwatywnych zwolenników PiS to pokazuje. To także droga donikąd.

Może w liberalizmie jest wewnętrzne pęknięcie, może moralna pułapka, która sprawia, że te pozytywne cele są tak trudne do osiągnięcia.

– To jest kolejne wypaczenie liberalizmu. Píše o nim Patrick J. Deneen w książce „Dlaczego liberalizm zawiodł”. Analizuje w niej porażkę aksjologiczną liberalizmu. Człowiek według liberała wierzy w siłę swojego rozumu, potrafi dokonywać racjonalnych wyborów, obrać cel i racjonalne środki do jego realizacji. Jedyne, czego taki liberalny ideał potrzebuje, to swobodna przestrzeń, aby te cele osiągnąć. Takim kimś jest Elon Musk. Problem w tym, że po pierwsze, nie wszyscy są jak Elon Musk, a po drugie, wiara w siłę ludzkiego umysłu i racjonalność indywidualną jest płonna. Świat jest zbyt nieprzewidywalny i nietransparentny, by radzić sobie z nim z pozycji jednostkowego życia. Liberalny człowiek, ufający swojej racjonalności, wyrzyna się ze swojego miejsca w świecie, ze swojej tradycji, którą postrzega jako ograniczenie wolności, i odrzuca religię, bo jest nieracjonalna. Taki człowiek pozbawia się skumulowanej w tradycji mądrości zbiorowej i podejmuje ogromne ryzyko, wystawiając się samodzielnie na działanie instynktów, o których bezpodstawnie myśli, że je swoją racjonalnością opanował. Odrzuca rusztowanie konwencji, którego elemen-

np. monogamia, małżeństwo, rodzina, religia, to pełnią jakąś istotną funkcję. Nie zawsze ta funkcja jest dla nas jasna i tu zaczyna się problem liberałów, którzy często uznają, że jeśli czegoś nie rozumieją, to na pewno jest to bez sensu. Tymczasem, jeżeli ktoś stwierdza, że tego budowanego przez wieki rusztowania kulturowego nie potrzebuje, to takie działanie jest samobójcze – jeśli tradycyjne konwencje są efektem ewolucji, to znaczy, że wytrzymały presję selekcyjną (a więc presję tych niemiłych rzeczy, które przychodzą do nas zza ogrodzenia, od którego zaczęliśmy naszą rozmowę). Szacunek dla tradycji nie musi być zabobonem i dowodem nieracjonalności. Może być mądrością i świadomością swoich indywidualnych ograniczeń.

Joseph Henrich, autor książki „Sekret naszego sukcesu. Jak kultura napędza ludzką ewolucję, udomawia nasz gatunek i czyni nas mądrzejszymi”, pokazuje na przykładzie obróbki manioku, jak nie do końca rozumiane przez nas konwencje mogą być nam pomocne. W pierwotnych społeczeństwach południowoamerykańskich funkcjonował wieloetapowy, uciążliwy sposób obróbki manioku. Dopiero w XX wieku badacze zrozumieli, dlaczego maniok jej poddawano: bez niej pozostałaby w nim toksyna, która odkłada się w organizmie i prowadzi do śmierci. Ta śmierć jednak nie następowała od razu, ale po bardzo długim czasie jedzenia nieprzetworzonego manioku, co nie pozwalało powiązać faktu spożycia ze śmiercią. A teraz najciekawsze: te społeczeństwa nie mogły tego wiedzieć, a miały racjonalną pokusę, by obróbkę przerwać po trzecim etapie, bo wtedy maniok przestawał być gorzki. Nasz modelowy liberał czy lewicowy wyzwalacz spod ucisku mógłby więc zakwestionować tę konwencję. Mógłby zachęcać współtowarzyszy, aby nie byli głupi i nie podporządkowywali się ślepo tradycji, by wyzwolili się spod jej opresji, jedli maniok po trzecim etapie obróbki i cieszyli się wolnym czasem. Gdyby jednak tak zrobił, długo by się tym czasem nie pocieszyli, ponieważ wkrótce by umarli. Skąd więc ci ludzie wiedzieli, że potrzebują tych wszystkich etapów obróbki? Nie wiedzieli. Być może grupa przypadkowo przyjęła taką metodę i po prostu jej członkowie jako jedyni przeżyli, a wraz z nimi ta metoda. Przykład manioku można odnieść do innych konwencji. Być może nie rozumiemy, jaką rolę w zapewnieniu nam dobrostanu odgrywają konwencje żałobne, rytuały rodzinne czy religijne. Konwencja, która jest z nami

że być doniosła psychologicznie. Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę historyczną niedostępność jakichkolwiek form pomocy psychologicznej oraz jej dzisiejszą niedostępność dla wielu ludzi, zwłaszcza biedniejszych i mieszkających poza metropoliami. Może warto spojrzeć na wielowiekową tradycję spowiedzi w sposób bardziej przychylny? Może jest ona sposobem mądrzejszym, niż wydaje się współczesnemu, pewnemu siebie indywidualiście, na to, żeby człowiek stanął w pokorze wobec swojej słabości? Czasami konwencje, ta skondensowana historyczna mądrość zbiorowa, są mądrzejsze od jednostki. Zna pani historię o wybijaniu wróbli w Chinach?

Nie znam.

– Ponieważ wróble wyjadają zboże, Mao ogłosił przeciwko nim narodową kampanię i Chińczycy je wybili. Nie pomyśleli o tym, że wróble zjadają insekty, w tym szarańczę. Kiedy nie było już wróbli, z powodu plagi szarańczy nastał wielki głód. Proste rozwiązanie polegające na impulsywnym usunięciu elementu z systemu, którego się nie rozumie, spowodowało katastrofę. Być może ta część myśli liberalnej czy lewicowej, która głosi, że trzeba zrezygnować z rusztowania aksjologicznego, które zostało wybudowane przez wieki, pełnia podobny błąd jak Chirycy zabijający wróble? Może arbitralnie usuwając elementy tradycji, podejmuje ryzyko zagubienia w świecie, poczucie bezcelowości, ryzyko poważnych kryzysów mentalnych i tożsamościowych. Są oczywiście tradycje barbarzyńskie. Ale nie potępiamy wszystkich tradycji w czambuł. To niedozwolona odpowiedzialność zbiorowa.

Czy toczy się na naszych oczach rewolucja?

– Rewolucją jest zdarzenie nagłe, a dekonstrukcja rusztowania wartości trwa od Oświecenia. Nietzsche, mówiąc o śmierci Boga, miał na myśli dekonstrukcję tradycji, w tym tradycji religijnej, aktu usunięcia Ideału z naszego życia i postawienie na to miejsce człowieka. Na pytanie, czym zniszczenie porządku normatywnego może się skończyć, dał tragiczną odpowiedź wiek XX i rewolucyjne totalitaryzmy – nazistowski i komunistyczny – które tworzyły „nowego człowieka”. Zatem dekonstruowanie tradycji jako źródła wiedzy i przekonanie, że jesteśmy w stanie samodzielnie zbudować nowy porządek wartości, to nie nowego. Przeżywamy jedynie renesans tego myślenia, w postaci coraz bardziej skrajnych ideologii, zarówno prawicowych, jak i lewicowych. Być może popadamy znów w te skrajności, bo zapomnieliśmy o cierpieniu, które płynie ze zbytnej pewności siebie i narzucania tej pewności innym. Coraz mniej jest ludzi, którzy traktują II wojnę światową czy totalitaryzm komunistyczny jako rzeczywiste tragedie, bo żeby je tak traktować, trzeba o nich pamiętać. Dobrze byłoby, żebyśmy pamiętali.

Wyraża pan nadzieję na coś, na co się chyba nie zanoszą.

– W książce „Uległość” Houellebecq, która opisuje fikcyjny upadek cywilizacji zachodniej załanej przez zdyscyplinowany porządek normatywny islamu, bohater wchodzi do kościoła, siada przed średniowieczną rzeźbą Maryi Panny, czegoś szuka i nie znajduje. Ale ten ruch szukania czegoś, co jest trwalsze niż on sam, szukania wsparcia tradycji jest bardzo poruszający. To, że podstawowa instytucja, która powinna dawać takie wsparcie, czyli Kościół katolicki, nie jest w stanie tego już skutecznie robić, bo dla wielu jest skompromitowana, nie oznacza, że ludzie tego wsparcia nie potrzebują. Wielki pisarz Houellebecq może o tym otwarcie mówić, ale my nie, bo zostaniemy oskarżeni o wsteczność. Odpowiadając na pani pytanie, tak, rewolucja ma miejsce, w tym sensie, że – jak to często w rewolucji bywa – walka klasowa się zaostrza i nie ma już często przestrzeni na rozmowę o rzeczach ważnych.

W myśli liberalnej chodzi nie o to, żeby bogaci byli biedniejsi, tylko żeby biedniejsi byli bogatsi, w każdym sensie, nie tylko finansowym

na wolność „od”, którą można sparafrazować hasłem „róbta, co chceta”, nie tylko nie dostarczał środków, ale też nie tworzył poczucia, że jako wspólnota mamy wspólne cele. I tutaj PiS znowu wypełnił tę przestrzeń, dając ludziom wspólnotowe cele. My się nieraz śmiejemy z tych wielkich inwestycji, jak przekop Mierzei, budowa CPK itd. A sensem tych propozycji jest nie to, że mają się szybko zrealizować, tylko żeby ludzie poczuli sprawczość, choćby w zastępstwie – że mamy oto cele historyczne i jako wspólnota je realizujemy, nawet jeśli ja nie realizuję jakiegos wielkiego celu w moim indywidualnym życiu. Dla liberałów skupionych na wolności „od” takie rzeczy nie są istotne. A powinny.

Dlaczego w liberałach ta wartość nie jest zakorzeniona? To bardzo krótkowzroczne.

tem jest i tradycja, i religia, i związana z nimi aksjologia, i sam dla siebie staje się Bogiem, rozumianym jako aksjologiczny ideał. Tymczasem te normy i konwencje, które są z nami od wieków, nie są tu przypadkowo. Jak się okazuje, często są mądrzejsze od zbyt pewnych siebie indywidualistów.

Dziś to narzędzia opresji. Tradycja jest interpretowana jako źródło cierpienia.

– W pracy naukowej analizuję normy i konwencje (tym przecież zajmują się prawnicy) w perspektywie ewolucyjnej – podkreślam to, bo często słyszę, że jako prawnik nie powinienem się w kwestii konwencji wypowiadać. Nie tylko cechy biologiczne ewoluują, także rozwiązania kulturowe, w tym konwencje, mogą zwiększać lub zmniejszać nasze szanse przeżycia. Wszystko wskazuje, że jeżeli pewne elementy kultury są z nami przez długi czas,

od dawna, nie powinna być ślepo odrzucona, bo jeśli nie rozumiemy do końca, po co z nami jest, jej odrzucenie naraża nas na poważny problem.

Poda pan przykład błędnego odrzucenia tradycji?

– Ostatnio ktoś napisał, że katolicka tradycja spowiedzi jest praktyką przestępczą, zwłaszcza wobec dzieci, ponieważ pozwala nimi manipulować, a nawet sprzyja pedofilii. Mówimy o ważnej dla wielu ludzi praktyce sformalizowanej 800 lat temu przez IV sobór laterański, ale obecnej wśród wierzących wcześniej. Ktoś może powiedzieć, że to zabobon, ale – pomijając religijną doniosłość spowiedzi dla wierzących – jest to jedna z niewielu praktyk obecnych w naszym społeczeństwie, która ma na celu pokrośnienie ego, a ponieważ wymaga introspekcji oraz nazwania swoich uczuć, mo-

Sugeruje pan, że „nowa lewica” jest totalitarna?

– Nie namówi mnie pani na argumentum ad Hitlerum. Chodzi o to, że pewne postawy – brak tolerancji dla odmiennego zdania, ograniczanie wolności słowa, narzucanie swojej wizji świata groźbą wykluczenia ze wspólnoty – pojawiają się u ludzi, którzy kiedyś uznawali tolerancję i otwartość za wartości podstawowe. Te tendencje są autorytarne – nie w sensie historycznym, ale w sensie psychologicznym i społecznym. Jeśli te tendencje się rozwiną, to rozwinię się zjawisko dla wolności skrajnie niebezpieczne – przekonanie, że można ją ludziom odebrać, bo myślą inaczej niż my.

Takie postawy widzę zarówno na prawicy, jak i na lewicy. W obu tych miejscach słychać głosy: wiem, jak ma być ułożony świat, a krytyka jest przemocą, dlatego trzeba tę krytykę ukrócić. To postawa antyliberalna, łamiąca wolność ekspresji. Jeśli widzę powrót zachowań podobnych do tych, które w przeszłości oceniliśmy jako jednoznacznie złe, to mam prawo nazwać je zlymi.

W podobnym tonie wypowiada się Jordan Peterson.

– Peterson sięga po ekstremalne argumenty i wyraża je często zbyt agresywnym językiem. Rozmawialiśmy o tym, czy nie jest to przeciwnie skuteczne, w czasie kolacji, którą zorganizował w Polsce jego wydawca. Używa porównań radykalnych, bo chce drugim człowiekiem wstrząsnąć i wyróżnić się w czasach, gdy zalewa nas informacyjna papka. Być może dziś jest to jedyna skuteczna forma komunikacji – doprowadzić do wzburzenia i w ten sposób zdobyć uwagę. Ale to też forma samospalenia: są ludzie, którzy poświęcają swój dobrostan, wystawiają się na atak, żeby przekazać ważną prawdę. Peterson płaci wysoką osobistą cenę za mówienie ludziom ważnych rzeczy.

Peterson jest obrońcą białego, heteroseksualnego mężczyzny. Wypowiada się w imieniu patriarchalnego dziedzictwa, broni go.

– Można tak na to patrzeć, pytanie, czy to nie zamyka dyskusji w sposób, o którym mówiłem wcześniej. Peterson wypowiada się na pewno na temat kryzysu męskości i ojcostwa, a męskość i ojcostwo to role, które są ważnymi elementami naszego rusztowania wartości. Jest oczywiste, że męska agresja, w szczególności nadużycia seksualne, zasługuje na bezwarunkowe potępienie, a sprawcy nadużyć – na wykluczenie ze społeczeństwa. Jednak, a tak rozumiem Petersona, utożsamianie męskości z opresją, czynienie z niej zawsze tytułu do winy, zakrawa znów na rodzaj odpowiedzialności zbiorowej. Być może Peterson patrzy na zachodnie społeczeństwa i mówi: nie zabijajcie męskości w tych współczesnych facetach przez krytykę „samczyzmu”, bo być może symbolicznie zabijacie ich samych, jak Chińczycy zabijali wróble, widząc w nich wyłącznie szkodniki. A oni i ta męskość odgrywają jakąś istotną rolę.

Co więc chowa w sercu biały, heteroseksualny, uprzywilejowany mężczyzna?

– Mogę jeszcze o Petersonie? Zwraca uwagę, że w myśleniu „nowej lewicy” zawarty jest katastrofalny błąd logiczny. Uważa ona, że da się podzielić społeczeństwo na klasę opresorów i klasę ofiar, na uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych. Tymczasem to niemożliwe, bo tych klasyfikacji dokonuje się na podstawie jednej cechy, a ludzie mają cech wiele. Czy biały mężczyzna na średnim szczeblu zarządczym jest opresorem, czy ofiarą, jeśli mobbuje go szef? Czy kobieta jest zawsze ofiarą? A co wtedy, gdy ona jest tym mobbującym szefem? Po mojej stronie z Zandbergiem posłuchałem rozmów z przedstawicielami „nowej lewicy” w TOK FM. Jakże topornej oni używają typologii! Dzielią świat na klasy – średnią, robotniczą i inne – ale w trakcie pro-

wadzonych dyskusji sami przyznają, że nie wiedzą, w której z nich umieścić małżeństwo nauczycieli. Czy to małżeństwo to ofiary systemu, czy beneficjenci? Opresorzy czy opresjonowani? Ja jestem teraz postrzegany jako biały, uprzywilejowany mężczyzna z Warszawy. Ale czy jestem jedynie opresorem? Może byłem ofiarą opresji, bo pochodzę z prowincji? Kiedy nastąpił ten moment, w którym zamieniłem się z nieuprzywilejowanego chłopaka w uprzywilejowanego opresora? Kto o tym zdecydował? Jest tu spora dowolność i przestrzeń dla nadużyć. Ostatnio

Czy biały mężczyzna na średnim szczeblu zarządczym jest opresorem, czy ofiarą, jeśli mobbuje go szef? Czy kobieta jest zawsze ofiarą? A co wtedy, gdy ona jest tym mobbującym szefem?

za uprzywilejowaną została uznana Anne Frank, ta sama, która ponad dwa lata ukrywała się na amsterdamskim strychu przed nazistami, a ostatecznie zginęła w niemieckim obozie koncentracyjnym. Jak stwierdził jeden z przedstawicieli „nowej lewicy”, była uprzywilejowana, bo była biała, a uprzywilejowanym także zdarzają się złe rzeczy. Ja już nie wiem, jak na takie wypowiedzi reagować...

Porozmawiajmy o wnętrzu białego, uprzywilejowanego mężczyzny. Co chowa.

– O Petersonie łatwiej mi mówić niż o sobie. Mężczyzna chowa swoją kruchość. A kruchość jakoś go uwiarygodnia, bo jest ludzka. W przypadku Petersona jest to jego choroba, w moim przypadku takim elementem jest pewnie relacja z moim synem. Biały mężczyzna chowa to, że jest często bezradny – wobec tragedii, choroby, cierpienia, wobec odpowiedzialności i trudów związanych z wychowaniem, które musi uchwycić balans między ocaleniem czyjejś wrażliwości a niedopuszczeniem, aby ta wrażliwość kogoś zniszczyła. To nie jest pewnie to, co pani chciała ode mnie usłyszeć.

Moim zdaniem w sercu białego, heteroseksualnego, uprzywilejowanego mężczyzny jest troska o przyszłość, połączona z wrażliwością wobec tego, co już powstało, ze świadomością poniesionych kosztów.

– Myślę, że coś jest na rzeczy. Przychodzi mi do głowy historia Pinokia, która jest często wykorzystywana do opowiadania o ojcostwie. W Jungowskiej interpretacji „Pinokia” Dżepetto, ojciec, jest przedstawiony jako stwórca, ale i król, czyli ktoś, kto narzuca porządek, jest strażnikiem tradycji, ale jest jednocześnie troskliwy. Męskość intuicyjnie łączy się z takimi wartościami jak siła, troska, ale jednocześnie polega na narzucaniu szacunku dla porządku normatywnego. Kryzys męskości jest kryzysem właśnie tych wartości, takie odnośne wrażenie po wielu rozmowach z młodymi ludźmi.

Ten biały, uprzywilejowany mężczyzna często wydaje się niemy. Nie przemawia w swojej sprawie.

Bo bardzo wielu mężczyzn przyjmuje swoją rolę społeczną bez sprzeciwu albo po prostu nieświadomie. Robią to, co do nich należy, i nikomu się na to nie skarżą. Taki był mój ojciec, chodził do pracy, przynosił pieniądze, te rzeczy działały się automatycznie. Aż któregoś razu powiedział mi, że czuje się jak koń w kieracie, co dla mojego małomównego ojca było dużą ekspresją emocji.

Domyślam się, że mężczyźni często biją się z tym wewnątrz, że są w takim kierunku, jest im w tej roli ciężko. Szczególnie jeśli przy okazji okazuje się, że ponoszą odpowiedzialność zbiorową za odwieczną przemoc kultury patriarchalnej wobec kobiet. Jednocześnie chcą powiedzieć jasno – myślę, że kobietom w tym imadło tradycji i współczesnych oczekiwań jest znacznie trudniej niż mężczyznom, ale nie mam tytułu, żeby się w tej kwestii autorytatywnie wypowiadać. Ale to, że jednym jest ciężej, nie przekreśla tego, że innym też może być ciężko.

Co pana pokolenie dało młodym?

– Newton powiedział kiedyś, że jeśli mógł spojrzeć w nieznane dalej niż inni, to dlatego, że stanął na ramionach olbrzymów. Każdy z nas staje na tych ramionach, to, gdzie jesteśmy, i to, co robimy, jest zawsze wynikiem tego, co ktoś zrobił wcześniej. Nie umniejsza to faktu, że trzeba być wdzięcznym Newtonowi za odkrycie prawa grawitacji: przecież trzeba umieć się na te ramiona wspiąć. Geniusz tradycji i geniusz jednostki, gdy się połączą, dają nadzwyczajne rozwiązania.

Wiem, że trudno jest z dzisiejszej perspektywy zrozumieć, jak wyglądały lata 80. Ale trudno jest zakładać, że zmiany w ostatnich 30 latach zrobiły się same. Albo że były zmianami nie na lepsze, ale na gorsze. Poradziliśmy sobie lepiej niż Ukraina czy Bułgaria. To zbiór indywidualnych wysiłków sprawił, że Polska jest bogatsza i bezpieczniejsza, niż była wtedy. Dzięki ludziom, którzy obalali komunizm, nastolatkom w latach 80., czyli moje pokolenie, mogli sięgnąć po więcej. Ja, idąc na studia, mogłem wybierać pomiędzy Poznaniem i Wrocławiem, pokolenie mojego syna studiuje w Cambridge i Oksfordzie. Jest w tym wiele sukcesu indywidualnego, ale jest to także sukces zbiorowy.

Nadal stać na to jedynie wybranych.

– To nie jest tylko kwestia pieniędzy. Zmieniły się warunki, szanse na nauczanie się języków obcych, otwarła nam się Europa. Kiedyś przecież to nie było możliwe. Nikt nie jest wyłącznie kowalem swojego losu, każdy staje na ramionach tych, którzy byli wcześniej. Oczywiście, ktoś może mojemu pokoleniu powiedzieć, że źle wykonaliśmy naszą pracę, bo młodym ludziom jest dzisiaj gorzej, niż mogłoby być, albo nawet, niż było nam. I choć to bolesne, nad tym też trzeba się zastanowić. Może moja boomerska wizja samodoskonalenia się i postępu jest kardynalnie błędna? Coraz więcej młodych ludzi mówi, że nie chce żyć w tym świecie, pyta: „po co nas spłodziliście?”. Nie wiem, jak się do tego odnieść, bo to jest sprzeczne z moim rozumieniem świata. Ale jakoś odnieść się trzeba.

Upokarza pana termin „boomer”?

– Jest w nim coś przykrego, jakaś próba wyproszenia z pokoju, w którym toczy się ważna dyskusja. Jeśli ktoś mówi mi: „OK, boomer”, albo nazywa mnie dziadersem, to daje jasno do zrozumienia, że powinienem się zamknąć, bo nic nie wiem o świecie, a on/ona wie dużo. Cokolwiek powie boomer, ośmieszają to. To jest jakaś dyskryminacja, zwłaszcza kiedy robią to ludzie oskarżający innych o wymądrzanie się, np. o mansplaining. Czy ta postawa wyższo-

ści nad starymi i przekonanie, że wie się lepiej, bo jest się młodym, to nie jest jakiś „youngsplaining”?

To fakt, że boomerzy bywają głosem zeszywniałego sumienia jak świerszcz w Pinokiu, który wszystkich poucza. Ale na samym końcu tej opowieści jest jeszcze jedna historia. Dżepetto trafia do brzucha wieloryba, zostaje pochłonięty przez to, co nieznane, przez chaos i ciemność. Pinokio nurkuje po niego i wpada na pomysł, aby rozpaść w brzuchu wieloryba ognisko, dzięki czemu podrażnione dymem zwierzę ich wypłuje. Dżepetto jako boomer jest

zdezorientowany, a innowacyjny pomysł Pinokia symbolizuje nową ideę na radzenie sobie ze światem.

Stary Dżepetto już się zaczął w tym brzuchu wieloryba urządzać, a tu przychodzi Pinokio i mówi: „Jak ty w ogóle żyjesz? Dlaczego chcesz zostać w tym ciemnym, strasznym miejscu? Musimy stąd natychmiast wyjść!”. Dżepetto jest boomerem, to prawda, ale to, kim jest Pinokio, to też zaśługa tego boomera. To Dżepetto namalał drewnianej kukielce głosa, a więc symbolicznie dał jej własny głos, niezależność, i to boomer Dżepetto posłał ją do szkoły.

Pinokio dlatego może rozwiązywać problemy, których Dżepetto już rozwiązać nie jest w stanie, bo może stanąć na jego ramionach. Dżepetto go wspierał i kiedy już odchodzi w niepamięć, bo staje się coraz starszy, chyba nie jest najlepszym pomysłem to, żeby nim pogardzać, mówić, że ma się zamknąć i usunąć.

Młode pokolenie może wyzywać was od boomerów i dziadersów, ale cancel w polskim wydaniu jest kompletnie niegroźny. Nie zabiorą waszemu pokoleniu pieniędzy ani wpływów. Mogą jedynie zaatakować boomera w mediach społecznościowych.

– To nie jest cancelowanie – aż tak daleko to nie sięga. Ale dlaczego „nowa lewica” upupia i przyprowadza gębę? Dlaczego odpowiedź na słowo jest agresja, a nie inne słowo? Możemy np. pogadać o kulcie zapierdolu – na pewno jest on jakoś związany z samodoskonaleniem się, ale ma też ciemną stronę. Może moglibyśmy się czegoś od siebie nauczyć. Sprowadzenie sprawy do mema nie da nic ani jednej, ani drugiej stronie.

Może ta agresja jest wynikiem braku sprawczości, braku narzędzi do tworzenia argumentów?

– Może. Pytanie, czyją winą jest to, że nie mają takich argumentów albo nie umieją ich tworzyć. Czy nie jest temu winne ich przekonanie, że mają prawo do przeciętności? ●

FOT. GETTY IMAGES



Wszystko układałoby się lepiej, gdyby do seminarium nie szły półanioly. Nad głową mają aureolę, na plecach skrzydła, ich ciała kończą się na linii pasa, bo to, co poniżej, jest powodem grzechu i nie podoba się Bogu, jak na lekcjach religii mówiła zakonnica, a w konfesjonale powtarzał proboszcz. Do tego rodzice, babcie, ciotki, parafia (niekiedy szkoła) wmawiają im, że już w łonie matki namaścił ich Bóg.

Półanioly zgłaszają się do seminarium, aby przez sześć lat przygotowywać się do bycia alter Christusem, który łączy Ziemię z Niebem, jak filar, co łączy podłogę z sufitem. Na wstępie są pytania, ale jeśli rzeczywiście mają połowę ciała, to i tak wejdą za bramę seminarium, aby odtąd żyć na chwałę Pana, no i też Kościoła świętego.

SZCZYL PO MATURZE

Po dwóch latach bycia w seminarium wielkie poruszenie, bo półaniolom odrasta druga połowa ciała, nie pasuje do reszty, jak stara lata do nowego płaszcza. Do tego ojciec duchowny mówi na konferencjach, że lepiej byłoby, aby ksiądz rozbił się samochodem na pierwszym lepszym drzewie, niż dojechał na spotkanie z kochanką, przywołaną do istnienia przez pragnienia, które mają źródło w odrośniętej niechcianej części ciała.

Do tej pory kończyło się na nocnych polucjach, a teraz zdarza się samogwałt pod prysznicem. Kleryk za każdym razem, gdy ulegnie, biegnie do konfesjonatu, obiecując, że będzie żył jak półaniol, gardząc drugą częścią ciała. Więc w seminarium dochodzi do definitywnego podziału jednej osoby na dwie – pierwszą, którą kieruje dusza, drugą, którą kierują zmysły. Kiepski widok na to, aby części się zrosły, tworząc spójną całość. Za taki podział odpowiadają ci, którzy wymyślili lepienie księdza, a więc biskupi i papieże, a także ci, którzy nazywają siebie rektorami, prefektami i ojcami duchownymi.

KSIĄDZ, CZYLI SINGIEL DO MOTELU

**Klerycy udają przed przełożonymi,
że wciąż są półaniolami,
że nie mają żadnych pragnień – w tym seksualności**

Marcin Wójcik *

Pewien rektor powiedział kiedyś: „Przyślij mi szczyla po maturze, a zrobię z niego rasowego księdza”. Ten zrobiony, podzielony na dwie osoby ksiądz usiadł w konfesjonale i będzie doradzał ludziom, jak walczyć z pożądaniem. Księgi z nazwiskami skrzywdzonych w ten sposób świeckich pewnie nie zmieściłyby się w jednej bibliotece.

CHRYSTUS I KOBIETA

Spotkałem księdza geja. Uważał, że granicą celibatu jest uczucie. Jeśli się nie zakocha, to nie zdradza Chrystusa, duszę ma tylko dla niego, a ciało dla mężczyzny. Spotykał

się co tydzień z innym mężczyzną, aby przypadkiem się nie zakochać.

Spotkałem księdza heteroseksualnego. Uważał, że celibat to wymysł administracji kościelnej, który ma strzec majątku Kościoła przed żonami i dziećmi księży. Bo Chrystus nie mówił o celibacie, i nawet nie był to temat przez dziesięć wieków po jego zmartwychwstaniu. Ten ksiądz zaakceptował siebie w całości, tworzył jedno ciało i jednego ducha; realizował się w kapłaństwie i u boku jednej kobiety.

Spotkałem księdza rozmodłonego. O takich mówią: „ksiądz z powołania”. Spełniał się jako duszpasterz, miał więz z Bogiem, przez co wcześniej czy później trafi

do klasztoru trapistów gdzieś wysoko w górach. Zapytany o radzenie sobie z pożądaniem, odpowiedział, że powstrzymuje się od aktywnego życia seksualnego, bo przez to czuje się wolny i nic go tak nie cieszy jak wolność wykuta wstrzeźliwością.

Pewien znany mi wikary był szary. Mieszkał w szarej plebanii, miał szary samochód, wkładał szarą koszulę, pił kawę z szarego kubka, tylko wspólne chwile z poznanymi w internecie kobietami dodawały jego życiu kolorów. Nie umawiał się na spotkania, ograniczał się do korespondowania, aby nie budować zobowiązującej relacji. Do czasu aż długie maile jednej z kobiet sprawiły, że musiał się z nią związać. Nadal jest księdzem. Najwięcej kamieni spada na niego ze strony kolegów po fachu, napalonych na seks czterdziolatek w sutannie, wylapujących kobiety z sieci i umawiających się z nimi w motelach. Ale to są tylko szybkie numerki – one nie angażują duszy, jak się usprawiedliwiają. Bo dziś księża są raczej jak single, wystarczą im spotkania na chwilę. Ponoć ze świecą szukać takiego, który chciałby się związać. Kiedyś to od razu chciał stałości – domu, kominka, dziecka; starzy poczcwi księża żyjący z jedną kobietą.

NIERZECZYWISTY ŚWIAT

Księża mogliby już się przestać męczyć i mieć wybór: życie w celibacie albo u boku kogoś. Byliby bardziej ludzcy, jak ludzki był Chrystus, choć się już nie dowiemy, jakie było jego życie seksualne; bo jakieś być musiało, skoro tym razem to Bóg chciał być stworzony na obraz i podobieństwo człowieka. Choćby z tego powodu wydaje się, że obojętny celibat nie może podobać się Bogu, bo okraja człowieka, a Bóg chciał się stać całym człowiekiem – nie jego częścią.

Nie jestem fanem Dana Browna, ale mam pokusę myśleć, że przez wieki ludzie Kościoła robili wszystko, aby ukryć dowody na to, że Chrystus był seksualny. Stałoby to w poprzek uzasadnieniom o konieczności życia w celibacie – cnocie ekonomicznej Kościoła.

Seminaria tworzą nierzeczywisty świat. Za murami wszystko jest zaplanowane: poranne wstawanie, popołudniowa adoracja,

wieczorne mycie zębów, pranie ubrań przez zakonnice. W takich warunkach trudno się dowiedzieć, kim się jest naprawdę.

I jeszcze to chorobliwe udawanie. Klerycy udają (nawet nieświadomie) przed przełożonymi, że wciąż są pólaniolami, że nie mają żadnych pragnień – w tym seksualności. Udują również przełożeni – znam takich trzech. Taka szkoła udawania przyda się klerykom, kiedy już wychodzą z seminarium i dociera do nich definitywnie, że są seksualni. Może biały dym nad kaplicą Sykstyńską obwieści kiedyś wybór papieża, który unieważni święcenia kapłańskie wszystkim tym, którzy powiedzieli celibatowi „tak” w wieku 24 lat. W nierzeczywistym świecie, w szklanych ścianach, niedojrzali, podjęli decyzję o emocjonalno-seksualnej kastracji. O tym, że zbyt wcześnie przyjmują święcenia, mówi psychoterapeuta jezuita Jacek Prusak, choćby ostatnio w „Wyborczej”: „Tak jak przesunął się wiek zawierania małżeństw, tak trzeba przesunąć wiek święceń” – grzmiał. Zamykanie dziewiętnastolatków w murach seminarium, powtarzanie im przez kilka lat, że są wybrani przez Boga, a następnie zobowiązywanie do rezygnacji z życia seksualnego nadaje się na rozpatrzenie przed jakimś międzynarodowym trybunałem praw człowieka.

**Spotkałem księdza hetero.
Uważał, że celibat to wymysł,
by strzec majątku Kościoła
przed żonami**

HIPOKRYZJA W ŁÓŻKU

Może kiedy seminaria zostaną zlikwidowane, a formacja przyszłych księży przeniesie się do parafii i Kościół przesunie wiek święceń, to skończy się udawanie. W parafii, wśród zwykłych ludzi, wszystko szybciej stanie się jasne. Przede wszystkim musi być zniesiony obowiązkowy celibat.

Ewangelia nie stoi na przeszkodzie, aby ksiądz miał aktywne życie seksualne. Nie zabraniają mu tego konstytucja, prawo polskie – cywilne i karne. Zabrania Kościół – nie dogmatem, lecz przepisem, który jutro może być zniesiony przez papieża. Niech sobie Kościół stworzy zbrojne ramię zakapturzonych mnichów wyłapujących duchownych, którzy czatują na portalach randkowych – tak z kobietami, jak i mężczyznami.

Na pewno nie jest rolą mediów, aby wchodziły księdzu do łóżka – świątyni prywatności każdego człowieka, nawet księdza. No, chyba że ksiądz organizuje bojówki anty-LGBT, ma kazania nienawistne, a jednocześnie na portalach randkowych umawia się na seks z mężczyznami. Albo krytykuje rozwody, jest za bezwzględnym zakazem aborcji, a sam miał romans z kobietą, którą zmusił do usunięcia ciąży, co nie jest fikcyjnym przykładem, ale prawdziwym wydarzeniem z archidiecezji wrocławskiej. Nie wyobrażam sobie również sytuacji, że ksiądz, który od lat romansuje z kobietami, jest jednocześnie krytykiem LGBT. Można jeszcze bazować na hipokryzji, że skoro ksiądz jest urzędnikiem Kościoła – instytucji o jasnych poglądach w sprawie rozwodów, seksu, orientacji – to powinien być ostoją cnót wszelkich. Tyle że ksiądz też człowiek i nie zawsze zgadza się z całym nauczaniem Kościoła, a zarazem chce być w Kościele. Do Kościoła przez wieki doklejało nauczanie, nie zrobili tego zwykli księża, ale hierarchowie i papieże, oderwani od życia świeckich i parafialnego kleru. Odpowiedzialność zbiorowa niesie za sobą niewinne ofiary, więc w imię walki z hipokryzją Kościoła nie zaglądałbym do łóżka każdego księdza, byleby przylapać Kościół na hipokryzji.

Czym innym jeszcze jest wyłapywanie przez media pedofilów i umawiających się na seks z nastolatkami. Tacy księża łamią prawo i trzeba ich bezwzględnie przekazywać organom ścigania. Ale i tutaj ważna jest ostrożność. Przedsiębiorca Zbigniew Stonoga udawał szesnastoletniego chłopca i umawiał się na seks z proboszczem diecezji kaliskiej. Ksiądz podjechał w umówione miejsce, podjechała też ekipa Zbigniewa Stonogi, co z samochodu zauważył ksiądz i uciekł. Wrócił na plebanie i popełnił samobójstwo.

Kościół w Polsce wciąż się dziwi nowym statystykom: kapłaństwo porzucają księża młodzi, którzy dwa, trzy lata wcześniej skończyli seminarium; odchodzą głównie z powodu celibatu, czyli bycia z kimś blisko. Jeszcze więcej jest takich, którzy zostają w szeregach, a i tak nie zachowują celibatu. Jeśli nie krzywdzą innych, dałbym im spokój. Może od środka rozsada obowiązkowy celibat. ●

***Marcin Wójcik**, reporter „Dużego Formatu”, autor książki „Celibat. Opowieści o miłości i pożądaniu”, wyd. Agora

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Wojna obyczajowa

Janusz Rudnicki

Hamburg, słońce jak wściekły ogniomiot, Niemcy lody liżą. Więc na plażę, nad Elbę. Na niej tłum, rzecz przeważnie pospolita, prawda? W głowie nieuczesana myśl taka, żeby plaża podzielona była „klasowo”, tu arystokraci ducha, a tam ciała proletariatusy wszystkich krajów. Niech się łączą, niech się drą, śmieją tubalnie i za każdym razem odkrywają, że „w cieniu jest chłodniej”. Na dezygnolturę mogą sobie pozwolić, tym bardziej że glejt mam od Gombrowicza. „Gdybym pochodził nie z ziemiaństwa, ale np. z proletariatu, zaatakowałbym proletariatus, gdyż nie ma środowiska i nie ma człowieka w pełni dojrzałego”. Ja pochodzę sobie z proletariatusu, czyli, to też Gombro, z „niższego piętra rozwoju”, więc kalać sobie mogą to gniazdo do woli.

Jakoś się rozbijam, koło rodziny, i zaraz będę tego żałował. Zaraz, jeszcze nie teraz, teraz myślę o Elbie. Elbe to Łaba, tu Elba, w Polsce Łaba. I tam koło Bystrzycy Kłodzkiej płynie ona sobie przy wiosce o nazwie Gorzanów. Do której to wsi sędziwy dziś pan Rudnicki na wakacje przyjeżdżał, dzieckiem jeszcze podszyty będąc. Wtedy rzeka to była rzeka, a nie grób masowy, nie było do pomyślenia, żeby martwe ryby były na fali. Wtedy rてć była jeszcze tylko w termometrach. Wtedy ja w Łabie po kolana nieruchomo stał i widły w rękach miał, ryba się wila, wila, ciach, jedno pchnięcie i już nie żyła. Coś mi nagle ten obrazek mówi – sielsko-anielski dźwięk jakiś mi przeszkadzać zaczyna. Dźwięk namolny to mlaskanie obok nieziemskie. Cała rodzina, chórem. Jakby zadowolone z siebie stado kaczek w mokrych łaćkach wzdłuż brzegu rzeki człapało, smakuje im, to mlaskają. I co teraz? Mam udawać, że nie słyszę? Słyszę. Mam udawać, że mi to nie przeszkadza? Przeszkadza. Każde mlaś-

nięcie jak siarczysty policzek, jestem pod ostrzałem jam ustnych nieprzyjaciela, cierpię. Chrząkam, kaszlę, nic, nie reaguję, nie, nie, tak nie może się dziać! Więc wyciągam chustkę samobronną i smarkam, raz i drugi, przezywają jedzenie i patrzą na mnie tak samo wrogo jak ja na nich. Teraz oni są pod ostrzałem moim, mają udawać, że nie słyszą? Słyszają. Mają udawać, że im to nie przeszkadza? Przeszkadza. Znowu zaczynają jeść i znowu mlaskać, więc ja znowu w chustkę, dochodzi do wojny otwartej, zaciekłej tak, że żadna strona nie ustąpi, no ile? Ile to trzeba mieć tolerancji w sobie, żeby współistnieć? Gdyby wybuchła prawdziwa wojna, a któryś z nich został ranny, to jasne, że taszczyłbym go na plecach do szpitala. Ta wojna tu ma charakter obyczajowy, domowy. Jeśli jedną mamy plażę, to trzeba się jakoś na niej urządzić, prawda? Człowiek starać się musi, żeby na ludzi wyjść. Jeśli problem, to niech się parawanem otoczy, jeśli problem większy, łopatę niech weźmie i okopie się. Lub po prostu odejdzie, więc...

Wstaje pan Rudnicki i do wody zmierza, i stoi w niej po kolana. I taka go myśl wodolotna napada, że Łaba to jego początek, jego rzeka dzieciństwa, a Elbe koniec, rzeka starości. Ta sama woda, tylko nazwa inna. Jak na filmie rysunkowym, tam wskoczył do wody mały, tu wypłynął duży. I jak na człowieka w wieku podeszłym przestało, daszek dłonią sobie nad oczami robi i rozgląda się. Zachód, już wnet pan Rudnicki zajdzie za horyzontem, zniknie, i nikt go już więcej nie zobaczy. Spokojnie zniknie, miarowo, bez psioczenia, bo przecież nie było tak, że jedyne, co w życiu miał, to przejebane. Rozgląda się, w prawo, w lewo, na drugi brzeg, gapi natarczywie tak, jakby wszystko, co widzi, ze sobą na wynos chciał wziąć. ●

Bestsellerowa powieść Oksany Zabuzko uhonorowana Nagrodą Literacką Angelus 2013

PIERWSZA EPOPEJA WOLNEJ UKRAINY

Monumentalna saga rozgrywająca się od lat 40. XX wieku do Pomarańczowej Rewolucji. Okrzyknięta książką roku („Korrespondent”, 2009) i uznana za jedną z dwudziestu najważniejszych powieści XXI wieku („Tages-Anzeiger”, 2020).

PREMIERA 24 SIERPNIA



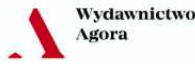
MUZEUM PORZUCONYCH SEKRETÓW / TŁUM. KATARZYNA KOTYŃSKA
PLANETA PIOLUN / TŁUM. KATARZYNA KOTYŃSKA, JOANNA MAJEWSKA, ANNA ŁAZAR
BADANIA TERENOWE NAD UKRAIŃSKIM SEKSEM / TŁUM. KATARZYNA KOTYŃSKA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl

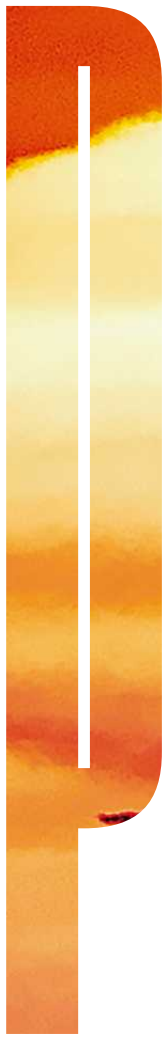


ZIMNO TEŻ ZABIJA

Transformacja energetyczna obniży poziom życia Europejczyków,
w niewielkim stopniu wpływając na emisję globalną

Witold Gadomski





Pod koniec czerwca ministrowie UE przyjęli stanowiska negocjacyjne w sprawie pakietu ustaw „Fit for 55”, który ma ograniczyć emisję gazów cieplarnianych netto o co najmniej 55 proc. do 2030 r. i zapewnić neutralność klimatyczną Unii do 2050 r. W roku 2035 nie zostanie zarejestrowany żaden nowy samochód z silnikiem spalinowym. Jednocześnie Europa przeżywa bezprecedensowy kryzys energetyczny, którego jednym ze skutków jest wysoka inflacja. Jego bezpośrednią przyczyną jest zmniejszenie dostaw gazu, ropy i węgla na rynki światowe.

Według komunikatu Komisji Europejskiej obecna sytuacja nie jest wynikiem ambicji klimatycznych UE. Komisja podkreśla, że ceny prądu ze źródeł odnawialnych są nadal niższe i stabilniejsze niż ceny paliw kopalnych. Inwestycje w produkcję czystej energii domowej i większa efektywność energetyczna zmniejszają europejskie rachunki i zależność od dostawców spoza Unii.

Ale to tylko połowa prawdy. Policzenie kosztów w energetyce nie jest sprawą prostą.

W niektórych restauracjach klient do posiłku otrzymuje darmowe pieczywo, oliwę, a nawet kieliszek likieru. Jeżeli jednak przyjdziemy do restauracji i poprosimy tylko pieczywo, oliwę i kieliszek czegoś mocniejszego, nie otrzymamy tego za darmo. Ta analogia odnosi się do energetyki. Główne odnawialne źródła energii – słoneczna i wiatrowa – są bardzo zmienne i zależą od pogody, więc przedsiębiorstwa energetyczne muszą utrzymywać sieć rezerwowych elektrowni wykorzystujących gaz ziemny, węgiel lub inne źródła stabilne. Utrzymanie tych wolnych mocy, które są bezczynne, gdy świeci słońce, wieje wiatr i do systemu trafia tani prąd zielony, dużo kosztuje, ale kosztów tych nie ponoszą producenci energii odnawialnej, lecz przedsiębiorstwa energetyczne, które przerzucają je na społeczeństwo. Czarną energetykę obciążają też koszty stałe, przede wszystkim amortyzacja budynków, turbin, maszyn, nic więc dziwnego, że jej prąd jest drogi. Staniałby, gdyby nie do końca uczciwa – bo wciąż w wielu krajach dotowana – konkurencja energetyki zielonej.

Na dłuższą metę transformacja energetyczna zapewni Europie niezależność od importu surowców. Będzie też potężnym ciosem w Rosję. Pozostaje pytanie – jak poradzić sobie w okresie przejściowym. Według Eurostatu w 2020 r. UE osiągnęła 22,1 proc. udziału źródeł odnawialnych w końcowym zużyciu energii brutto – o 2 pkt proc. powyżej celu postawionego przed kilku laty. Liderem jest Szwecja, w której źródła odnawialne dostarczają ponad 60 proc. energii, na ostatnim miejscu Malta – nieco ponad 10 proc.

Ale źródła konwencjonalne wciąż przeważają. 34,5 proc. energii pochodzi z surowców ropopochodnych, 23,7 proc. z gazu, 12,7 proc. z energii jądrowej, 10,2 proc. z węgla kamiennego i brunatnego.

Surowce kopalne dostarczają energii w sposób przewidywalny, o ile są zapewnione ich dostawy. Kryzys energetyczny w Unii zaczął się pół roku przed wojną, a jedną z przyczyn była pogoda w Wielkiej Brytanii i w Europie Zachodniej. Mało dni słonecznych spowodowało zmniejszenie produkcji fotowoltaiki, a brak letnich wiatrów na Morzu Północnym – spadek produkcji energii wiatrowej i suszę w Norwegii, co miało wpływ na wytwarzanie energii wodnej.

Z kolei braki na światowych rynkach węgla kamiennego były w dużej mierze wywołane sytuacją w Chinach. Na Chiny przypada ponad połowa światowego wydobycia. Na kolejnych miejscach są: Indie (8,7 proc.), Indie (7,9 proc.), Australia (7,8 proc.) i Stany Zjednoczone

(6,7 proc.). Rosja daje jedynie 5,2 proc., choć przed embargiem była ważnym graczem na europejskim rynku i trzecim największym eksporterem (18 proc. światowego eksportu).

W kwietniu 2021 r. prezydent Xi Jinping zapowiedział ścisłą kontrolę przemysłu węglowego w okresie 14. Planu Pięcioletniego (2021-25) i zmniejszenie zużycia węgla w ciągu kolejnych pięciu lat. Lokalne władze działają na rozkaz. Dostały polecenie zmniejszenia emisji CO₂, więc nakazały kopalniom ograniczać produkcję, nie patrząc na konsekwencje. Chiny, choć są największym producentem węgla, jeszcze więcej go zużywają (ok. 54 proc. światowego zużycia).

Gdy kopalniom zabrakło węgla, zwiększyły import. To natychmiast odbiło się na światowych cenach, tym bardziej że Chiny z powodów politycznych nie kupują surowca w Australii, więc u innych producentów musiały kupować go więcej. W tym roku produkcja węgla w Chinach rośnie, co za jakiś czas spowoduje obniżkę cen, ale co z obietnicami, że do roku 2030 Chiny osiągną szczyt emisji CO₂, a do 2060 neutralność węglową?

W 1892 roku w milionowym Chicago ze światła elektrycznego korzystało jedynie 5 tys. mieszkańców. Nic dziwnego – kilowatogodzina kosztowała 20 centów, czyli na dzisiejsze pieniądze około 5 dol. W 1907 korpora-

**Unijna decyzja
o zakazie rejestracji nowych
samochodów z silnikami
spalinowymi po roku 2035
jest czysto arbitralna,
podjęta bez analizy kosztów
takiej operacji**

cja Commonwealth Edison Company, która powstała z fuzji Chicago Edison i Commonwealth Electric, sprzedawała energię elektryczną po 2,5 centa za kWh – trzykrotnie taniej niż w innych amerykańskich miastach. W ciągu 15 lat prywatne firmy wprowadziły technologie, które pozwoliły wielokrotnie obniżyć koszt produkcji prądu. Elektryczność stała się dobrem powszechnie dostępnym nie dlatego, że tak zdecydował rząd, ale kapitałiści goniący za zyskiem. Na tym polegał postęp techniczny trwający przez cały XIX i XX wiek. Nowe technologie wypierały stare, jeżeli wytwarzały taniej, więcej i lepiej. Za postępem technicznym podążał społeczny, gdyż ludzi stać było na kupno produktów wcześniej uchodzących za luksusowe.

Samochody elektryczne mają w Unii wyprzec spalinowe nie dlatego, że są lepsze i wygodniejsze. Przeciwnie – wymagają częstszego „tankowania”, które trwa znacznie dłużej – od pół godziny do kilkunastu godzin. Mają wyprzec samochody spalinowe, bo tak zdecydowali politycy i urzędnicy. Być może za 15 lat zwiększy się pojemność baterii, którymi są zasilane, być może znajdzie się sposób na ich szybkie ładowanie, a w eksploatacji okażą się tańsze. Ale to tylko przypuszczenia. Unijne i państwowe regulacje z góry przesądają, jaka technologia jest odpowiednia, a jaka nie.

Państwo już w XIX wieku regulowało poziom konkurencji, by nie dopuścić do powstawania monopolu, a stopniowo wprowadzało także regulacje dotyczące bezpieczeństwa technologii oraz ochrony środowiska. W ekonomii powstało pojęcie „kosztów zewnętrznych” (externalities), które ponosi całe społe-

czeństwo, a nie konkretna korporacja. Przykładem jest korzystanie ze świeżego powietrza, które jest bezpłatne, ale koszty spadają na wszystkich w postaci smogu, szkodliwych gazów emitowanych przez silniki czy spalany węgiel. Aby zredukować negatywne skutki pewnych efektów zewnętrznych, rządy mogą nakładać podatki na towary powodujące te efekty. Podatek taki (zwany podatkiem Pigou na cześć ekonomisty Arthura C. Pigou) jest uważany za równy wartości negatywnych efektów zewnętrznych. Ma zniechęcić do działań powodujących owe koszty. Dlatego paliwa silnikowe są obłożone akcyzą.

Podobne rozwiązanie można wprowadzić w stosunku do emisji CO₂, jeżeli uważamy, że jest szkodliwa. Wprowadzenie takiego podatku, najlepiej jednolitego w skali globalnej, miałoby sens, gdyż nie zakłócałoby w znaczący sposób konkurencji między państwami.

Unia wybrała jednak inną drogę ograniczania emisji. Po pierwsze, wprowadzono system handlu uprawnieniami do emisji, tzw. Emissions Trading System, czyli ETS. Liczba uprawnień jest określona arbitralnie przez biurokratów. Arbitralnie też ETS obejmuje transport i budownictwo. Także decyzja o zakazie rejestracji nowych samochodów z silnikami spalinowymi po roku 2035 jest czysto arbitralna, podjęta bez analizy kosztów.

Ogłoszona w grudniu 2019 strategia o nazwie Zielony Ład ma uczynić Unię do 2050 r. obszarem, który emituje tyle samo dwutlenku węgla, co go absorbuje. Komisja Europejska kładzie nacisk na korzyści dla gospodarki i obywateli. Ale prowadzić do tego mają nie mechanizmy rynkowe, ale decyzje biurokratyczne.

Transformacja energetyczna wymaga ogromnych inwestycji UE, poszczególnych rządów oraz sektora prywatnego. Przewiduje się wykorzystanie prywatnych funduszy za pośrednictwem różnego rodzaju instrumentów finansowych, dzięki czemu łączne środki wydane na ograniczanie emisji sięgną 1 bln euro. Takim instrumentem jest program InvestEU, w ramach którego unijne finansowanie ma formę pożyczek i gwarancji. Środki unijne są lewarowane, to znaczy stanowią zabezpieczenie pożyczek zaciąganych na projekty zgodne z Zielonym Ładem.

Zasadniczą sprawą są kryteria uprawniające poszczególne kraje i firmy do dotacji lub kredytów gwarantowanych przez InvestEU. Ten system kryteriów zwany jest „zieloną taksonomią”. Inwestorzy otrzymują informacje, w jakie przedsięwzięcia opłaca się inwestować, jakich mogą się spodziewać zwrotów z inwestycji i jakie są perspektywy przychodów. Prywatne firmy są zobowiązane ujawniać wszystkie kluczowe dane niezbędne do oceny, w jakim stopniu ich inwestycje spełniają kryteria „zielonej taksonomii”.

Ale sama „zielona taksonomia” nie jest efektem analiz naukowych, które określałyby optymalną ścieżkę przechodzenia od czarnej do zielonej energetyki, ale politycznych targów. Niemcom zależało, by w okresie przejściowym dopuszczone były inwestycje w energetykę opartą na gazie, gdyż przed rosyjską agresją mieli zapewnione dostawy dość taniego paliwa. Arbitralnie podjęli decyzje o zamknięciu do końca 2022 r. wszystkich elektrowni jądrowych, choć to zupełnie sprzeczne z celami klimatycznymi. Z kolei Francuzi, którzy rozbudowali energetykę jądrową i katastrofy nuklearnej się nie boją, naciskali, by w okresie przejściowym to właśnie atom odgrywał zasadniczą rolę. Oczywiście liczą na to, że nowe elektrownie budowane w Unii będą korzystały z ich technologii.

Energetyka jądrowa rzeczywiście nie emituje CO₂, ale wymaga znacznej ilości cementu i stali, a przy ich produkcji CO₂, rzecz jasna, powstaje. Co więcej, wyeksploatowane elektrownie mogą stanowić

zagrożenie dla środowiska, nawet jeśli nie dojdzie do katastrofy. W dodatku ich budowa wymaga nie tylko nakładów, ale też czasu, po upływie którego może się okazać, że wiele parametrów ekonomicznych zmieniło się i projekt jest nieopłacalny. Lub też politycy unijni zadecydują, że elektrowni jednak ma nie być.

Środowiska ekologów są zatem podzielone. Niemieccy Zieloni popierali decyzję o zamknięciu elektrowni, polska lewica, też bardzo „zielona”, optuje za budową w naszym kraju elektrowni atomowych, a bardzo lewicowa Razem wystąpiła nawet z propozycją dzierżawy elektrowni niemieckich.

Gdyby transformacja energetyki przebiegała na zasadach rynkowych, bardziej efektywna technologia zastępowałaby mniej efektywną. Gdyby do redukcji emisji skłaniał jednolity podatek Pigou, proces ten mógłby po jakimś czasie doprowadzić do pozytywnych efektów. W Polsce i innych krajach byłego bloku sowieckiego po wprowadzeniu mechanizmów rynkowych skokowo spadła emisja trujących gazów oraz CO₂. Do dziś korzystamy z tej renty, gdyż punktem wyjścia dla oceny spełnienia celów klimatycznych jest rok 1990. Ponieważ jednak Zielony Ład jest budowany metodami biurokratycznymi, mamy od czasu do czasu na rynku energetycznym zawirowania, na które politycy reagują w sposób nieoczekiwany.

Zdaniem ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego, jeżeli Rosja całkowicie wstrzyma sprzedaż gazu do Europy, PKB Unii obniży się w 2023 r. o 0,2 proc. – o ile kraje Unii będą współpracować w przezwyciężaniu kryzysu – lub o blisko 3 proc., jeżeli współpracy zabraknie. Już w 2017 r. Unia przyjęła regulację 2017/1938, która wprowadziła zasadę solidarności: państwa mają obowiązek dostarczania gazu sąsiadowi, by zaspokoić potrzeby gospodarstw domowych i podstawowych usług socjalnych w przypadku poważnego kryzysu.

Politycy unijni zapewniają, że za kilkanaście lat w Europie nie będzie elektrowni opalanych surowcami kopalnymi. Jednocześnie przedstawiają awaryjne plany na najbliższe miesiące. Niemiecki parlament na początku lipca pozwolił reaktywować elektrownie węglowe. Posunięcie zostało opisane jako „bolesne, ale konieczne” przez ministra gospodarki Roberta Habecka i ma poparcie czołowych Zielonych w rządzie koalicyjnym. Wciąż nie wiadomo, czy Niemcy przedłużą działanie trzech jeszcze czynnych elektrowni atomowych, gdyż politycy uparli się, że w Niemczech są one niebezpieczne. Tymczasem we Francji zwiększają moc. Połowa z 56 czynnych reaktorów znajduje się w pobliżu granic z sąsiadami.

Europa zastanawia się też, jak uniezależnić się od dostaw z Rosji, nawet jeżeli skończy się wojna. Jak stwierdził kanclerz Scholz: Gazprom i Rosja przestały być wiarygodnym dostawcą surowców energetycznych. Kraje Unii już ogłosiły budowę gazoportów – dwa powstaną w Niemczech – i położenie gazociągów z Hiszpanii i Portugalii, które mają zapewnione dostawy z Afryki Północnej. Trzeba też budować nowe magazyny gazu. Czyli – w najbliższych latach konieczne są znaczne inwestycje w sektorze gazowym, a jednocześnie za kilkanaście lat sektor ten ma być wygaszony.

Koncerny paliwowe nie wiedzą, czy mają inwestować w poszukiwanie i eksploatację gazu i ropy naftowej, czy nie, gdyż zanim inwestycja się zwróci, politycy zarządzają, że od roku takiego i takiego elektrownie emitujące CO₂ mają być zamknięte.

Przed kilkunastu laty znaczne pokłady gazu ziemnego zostały odkryte we wschodniej części Morza Śródziemnego. Ale na razie eksploatuje je tylko Izrael, który stał się energetycznie samowystarczalny, a nawet eksportuje niewielkie ilości. Cypr i Grecja,

Kopalnie źle zamykane

- Brak węgla, który może spowodować niedogrza nie tysiący mieszkań w sezonie zimowym, jest dla opinii publicznej zaskoczeniem. Przez lata rządzący Polską politycy twierdzili, że węgla mamy dużo – miało go wystarczyć na 200 lat – a czasami, że za dużo. Okazuje się jednak, że w tym roku może zabraknąć kilku milionów ton, głównie węgla używanego przez gospodarstwa domowe.

- Polskie kopalnie przed nadzwyczajną wyższą ceną węgla, z jaką obecnie mamy do czynienia, przynosiły straty. W roku 2020 było to ponad 6 mld zł, w roku ubiegłym już „tylko” 1,16 mld zł, a w pierwszych czterech miesiącach roku bieżącego pojawił się zysk – ponad 2 mld zł – przy cenie zbytu czterokrotnie wyższej niż w 2020. Ceny wkrótce spadną i znów kopalnie będą pracować na stratach.

- To skutek polityki kolejnych rządów, które ustępują wobec żądań związków zawodowych. Te zaś nie godzą się na gruntowną restrukturyzację, powiązaną ze zmniejszeniem zatrudnienia, ani też na prywatyzację kopalń. Po prywatyzacji mogłoby się bowiem okazać, że kopalnia może pracować z zyskiem, jeżeli się ją doinwestuje, zmniejszy zatrudnienie i wyposaży w nowoczesne urządzenia.

- We wrześniu 2020 roku przedstawiciele rządu i związków zawodowych podpisali porozumienie dotyczące tempa transformacji górnictwa węgla kamiennego. Zgodnie z przyjętymi zapisami umowy likwidacja kopalń będzie trwała do 2049 r. Na odchodzenie od węgla naciska Unia Europejska, choć Niemcy wciąż eksploatują elektrownie węglowe, także te, które wykorzystują wyjątkowo „brudny” węgiel brunatny. Naciski Unii dotyczą także pomocy publicznej dla kopalń, a bez tej pomocy nie miałyby one pieniędzy na wypłaty dla górników. Rząd tłumaczy Brukseli, że pomoc publiczna ma na celu zamykanie kopalń, a ta na razie przymyka na to oko.

- Kopalnie są więc wygaszane stopniowo, górnicy powoli odchodzą na emeryturę, ich wydajność jest coraz niższa i nikt nie myśli o tym, że proces ten może być bardziej efektywny. W dodatku polska energetyka i ciepłownictwo wciąż są oparte na węglu, a ponieważ wydobycie w Polsce z roku na rok spada, uzależniliśmy się od importu, zwłaszcza z Rosji. Rząd zrobił niewiele, by to zmienić.

- O kuriozalnej sytuacji, do jakiej doszło w kopalni Krupiński, opowiedział przed komisją senacką Andrzej Długosz, prowadzący firmę PR-ową Cross Media. Jej klientem była notowana na giełdzie

we Frankfurcie spółka HMS Bergbau, która próbowała zbudować za prywatne pieniądze kopalnię węgla kamiennego w Polsce, wykorzystując istniejącą jeszcze wówczas infrastrukturę kopalni Krupiński przeznaczoną do likwidacji. – Zamiast 200 mln zł za infrastrukturę, 5 tys. miejsc pracy i 3,5 mln ton węgla budżet wydał 600 mln zł na zasypianie kopalni – mówi Długosz.

- Podobna sytuacja miała miejsce w okręgu lubelskim, gdzie w 2016 roku australijska spółka GreenX Metals (dawniej Prairie Mining) chciała wybudować dwie kopalnie węgla, uznając, że to opłacalny projekt. Została zablokowana przez polską administrację i sprawa trafiła do międzynarodowego arbitrażu.

- Prywatny kapitał mógł zwiększyć potencjał kopalń węgla kamiennego i wziąć na siebie ryzyko związane z koniecznością zamknięcia kopalń za jakiś czas. W sytuacji nadzwyczajnej, takiej, jaką mamy dziś, dobrze zorganizowane kopalnie mogłyby szybko zwiększyć wydobycie, dostosowując się do rosnącego popytu. Wydobywany przez nie węgiel pozwoliłby ograniczyć import tego surowca. Rząd pod naciskiem związków zawodowych do tego nie dopuścił i dziś wszyscy mamy kłopot.

Witold Gadomski

Elektryczność stała się dobrem powszechnie dostępnym nie dlatego, że tak zadecydował rząd, ale kapitałści goniący za zyskiem

które również kontrolują ten obszar, dopiero do wydobycia się przymierzają. Na przeszkodzie, poza sporami politycznymi, stanęli ekolodzy i zniechęcające sygnały z Brukseli.

Ogłoszona w 2014 r. Europejska Strategia Bezpieczeństwa Energetycznego promowała import gazu ziemnego z regionu Morza Śródziemnego jako sposób na dywersyfikację i zmniejszenie zależności od Rosji. Ale w ostatnich latach przeważała chęć przyspieszenia transformacji energetycznej. Ten zwrot zbiegł się z pierwszą agresją Rosji w Ukrainie. Powinna ona uruchomić w Unii dzwonki alarmowe.

Tymczasem, jak piszą trzej niemieccy eksperci od energetyki Moritz Rau, Günter Seufert i Kirsten Westphal w opracowaniu „Wschodnia część Morza Śródziemnego jako cel transformacji energetycznej UE” (ukazało się 10 lutego, dwa tygodnie przed ponowną agresją Ro-

sji): „Dekarbonizacja gospodarek państw członkowskich, do której dąży UE, spowoduje spadek europejskiego zapotrzebowania na gaz ziemny w perspektywie średnio- i długoterminowej. Dlatego import gazu ziemnego ze wschodniej części Morza Śródziemnego nie jest już uważany za szczególnie istotny. Zamiast tego Bruksela i Berlin patrzą z większym zainteresowaniem na ogromny potencjał regionu w zakresie energii słonecznej i wiatrowej oraz na perspektywę współpracy w zakresie handlu energią odnawialną i importu wodoru”.

Innymi słowy, eksperci namawiali jeszcze w lutym kraje mające bogate złoża gazu, by o nich zapomniały i budowały panele słoneczne. Dziś oczywiście sytuacja jest inna i być może Grecja i Cypr dostaną unijne wsparcie na budowę gazociągów, ale można było to załatwić co najmniej przed pięciu laty.

Brak węgla, który grozi nam najbliższej zimy, to także do pewnego stopnia skutek zaniechań inwestycji w górnictwie węglowym. Dla kolejnych polskich rządów warunkiem brzegowym transformacji górnictwa było utrzymanie spokoju w kopalniach. Związki zawodowe nie godziły się na zwolnienia grupowe czy na prywatyzację kopalń. W efekcie zatrudnianie było obniżane powoli, poprzez naturalne odejścia górników, wydajność pracy pozostawała niska, a spółki węglowe niewiele inwestowały. W roku 2020 kopalnie zanotowały ponad 6 mld zł straty, w 2021 1,16 mld, a w pierwszych czterech miesiącach roku bieżącego zysk ponad 2 mld zł – lecz przy cenie zbytu czterokrotnie większej niż w 2020 r.

Taka polityka spowodowała, że kopalnie nie mogą dziś szybko zwiększyć produkcji, dostosowując ją do sytuacji na rynku. A mogłyby być rentowne i elastyczne reagować na zmieniający się popyt. W 2016 roku australijski GreenX Metals (dawniej Prairie Mining) chciał wybudować dwie kopalnie węgla na Lubelszczyźnie, uznając, że to opłacalny projekt. Został zablokowany przez polską administrację i sprawa trafiła do międzynarodowego arbitrażu.

Sceptycznie nastawieni do transformacji energetycznej obserwatorzy podkreślają, że ciągniony rachunek, to znaczy uwzględniający proces produkcji, eksploatacji, a na koniec złomowania elektrowni opartych na źródłach odnawialnych, może pokazać, że efekt netto w postaci redukcji emisji CO₂ jest znacznie mniejszy, niż się sądzi. Weźmy energię wiatrową. Łopaty turbin wiatrowych są produkowane z lekkich materiałów, takich jak stopy aluminium, którego produkcja wymaga dużych ilości energii, lub kompozyty z włókna szklanego. Turbina wiatrowa ma też inne elementy, np. wieżę, na której osadzony jest wirnik, której wyprodukowanie też wymaga energii. Dochodzi do tego energia zużywana na transport materiałów i ich montaż. Krótko mówiąc, podobnie jak w przypadku konwencjonalnych elektrowni farma wiatrowa zaczyna na minusie, zanim wygeneruje pierwszy wat.

Energia słoneczna ma podobne problemy. Produkcja paneli słonecznych składających się z ogniw fotowoltaicznych, które z kolei są wykonane z materiałów pół-

przewodnikowych, takich jak krzem, jest energochłonna i generuje toksyczne odpady. Dopiero niedawno udało się wyprodukować ogniwa wystarczająco cienkie i mające na tyle długą żywotność, że przynoszą więcej energii, niż zużywa się jej na wyprodukowanie. Ale i tak potrzebują kilku lat, by dawać czystą energię netto.

Panele słoneczne mają trwałość około 20 lat. Zawierają szkodliwe pierwiastki, takie jak ołów i kadm. Istnieje ryzyko, że po wyeksploatowaniu wiele z nich trafi na wysypiska, gdyż utylizacja jest nieopłacalna. To za kilka lat może stać się poważnym problemem ekologicznym.

Zielona energetyka spowodowała gwałtowny wzrost zapotrzebowania na miedź, której cena wzrosła od 2000 roku sześciokrotnie. Czystą miedź, używaną do kabli, niezbędnych w wiatrowych i solarnych elektrowniach, otrzymuje się poprzez elektrolizę – proces niezwykle energochłonny.

Firma doradcza McKinsey oszacowała koszty przejścia światowej gospodarki na neutralność emisyjną do 2050 roku. Opublikowany w styczniu raport skupia się na naturze i skali transformacji w czterech obszarach: popycie, alokacji kapitału, kosztach i miejscach pracy.

W analizowanym scenariuszu zmniejsza się popyt na produkty o wysokiej emisji, gdy wykorzystanie produktów o niskiej emisji stwarza możliwości utrzymania gospodarczej dynamiki na odpowiednim poziomie. Do 2050 r. produkcja ropy i gazu byłaby odpowiednio o 55 proc. i 70 proc. niższa niż obecnie. Produkcja węgla do celów energetycznych zakończyłaby się do 2050 r.

Popyt na samochody z silnikami spalinowymi ustanie, gdy sprzedaż samochodów z napędem elektrycznym wzrośnie z 5 proc. w 2020 r. do praktycznie 100 proc. w 2050.

Zmniejszy się też zapotrzebowanie na wysokoemisyjne białko z wołowiny i jagnięciny na rzecz niskoemisyjnej żywności, takiej jak drób.

Zapotrzebowanie na energię w 2050 r. byłoby ponaddwukrotnie większe niż obecnie. Lecz produkcja wodoru i biopaliw wzrosłaby ponaddziesięciokrotnie.

Aby osiągnąć wtedy globalną zeroemisyjność, konieczne będą skumulowane wydatki rzędu 275 bln dol. Część kapitału obecnie przeznaczanego na aktywa o wysokiej emisji zostałaby wydana na aktywa niskoemisyjne. Te 275 bln dol. to około 9,2 bln dol. rocznie, czyli co roku należałoby wydawać około 7,5 proc. globalnego PKB. Wydatki wzrastałyby z około 6,8 proc. obecnie do około 9 proc. PKB w latach 2026–30, po czym zaczęłyby spadać.

Ponieważ zmniejszyłyby się wydatki na technologie wysokoemisyjne, wzrost rocznych wydatków netto wyniósłby ok. 3,5 bln dol. To połowa globalnych zysków przedsiębiorstw, 1/4 łącznych dochodów podatkowych i 7 proc. wydatków gospodarstw domowych.

Koszty produkcji, które odzwierciedlają zmieniające się koszty operacyjne i kapitałowe dla nowych inwestycji, również zmieniłyby się wraz z wymianą lub modernizacją aktywów o wysokiej emisji. A wszelkie zmiany w kosztach produkcji mogą wpłynąć na koszty dóbr konsumpcyjnych. Konsumenci mogą zmierzyć się z wyższymi cenami. Szczególnie zagrożone są gospodarstwa domowe o niskich dochodach.

Transformacja w kierunku zerowej emisji CO₂ prowadzi do realokacji siły roboczej. McKinsey szacuje, że powstanie około 200 mln miejsc pracy, a 185 mln zostanie utracone. Te zmiany przebiegać będą różnie w różnych krajach i regionach. Mogą prowadzić lokalnie do wzrostu bezrobocia lub deficytu rąk do pracy.

Problemem może być transformacja nieuporządkowana polegająca na tym, że spowolnienie działalności wysokoemisyj-

nej nie będzie skoordynowane z rozwojem niskoemisyjnej. Taka transformacja może powodować wysokie koszty gospodarcze i negatywne reakcje, które ją opóźnią.

Mimo gigantycznych kosztów ponoszonych w celu obniżenia emisji CO₂ w latach 2010–19 całkowita globalna emisja wzrosła z 33,1 do 38 gigaton i przewiduje się, że jeszcze wzrośnie. Na Chiny przypada 30,34 proc. światowej emisji, na Stany Zjednoczone 13,43 proc., na Indie 6,83 proc., na Rosję 4,71 proc. W Unii najwięcej emitują dwutlenku węgla Niemcy – 1,85 proc. światowej emisji, a cała UE, doliczając Wielką Brytanię, Norwegię i Szwajcarię – niespełna 9 proc. Cała unijna emisja jest mniejsza niż przyrost emisji w Chinach w latach 2010–21.

ropejczyków, w niewielkim stopniu wpływając na emisję globalną.

Kraje rozwijające się będą jechały w najbliższych dekadach na gapę – bilety za walkę z globalnym ociepleniem zapłacą mieszkańcy krajów bogatych. Emisja CO₂ nie spadnie, a jeżeli rzeczywiście wpływa na ocieplenie klimatu, proces ten będzie postępował.

Z raportu McKinseya wynika, że uporządkowane odejście od produkcji wysokoemisyjnej może być opłacalne, tworzyć nowe miejsca pracy, a nowe produkty – takie jak samochody bezemisyjne – mogą być tańsze i wygodniejsze. Oczywiście o ile pojawią się rozwiązania, których dziś jeszcze nie ma, na przykład bardziej pojemne i tańsze baterie. A może

W latach 2000–19 4,6 mln zgonów rocznie wiązało się ze zbyt niskimi temperaturami, 0,5 mln ze zbyt wysokimi

Nawet jeżeli Chiny dotrzymają zobowiązań dotyczących emisji, to pozostaje kilka krajów, które do niczego się nie zobowiązują. Rosja emituje więcej niż połowę tego, co Unia z Wielką Brytanią, Norwegią i Szwajcarią. W jej interesie leży zatrzymanie globalnej transformacji energetycznej, a także szkodenie krajom rozwiniętym. W tym roku znacznie zwiększyła sprzedaż surowców energetycznych do Chin i Indii, będzie produkowała towary energochłonne – jak aluminium – po cenach dumpin- gowych. Embargo na import tych towarów z Rosji wcześniej czy później zostanie zdjęte.

Znacznymi emitentami CO₂ są także kraje rozwijające się: Iran, Indonezja, Arabia Saudyjska, Afryka Południowa, Meksyk, Brazylia i Turcja. Na każdy przypada ponad 1 proc. światowej emisji (więcej niż emituje Wielka Brytania), a łącznie emitują ponad 10 proc. W najbliższej dekadzie zwiększą emisję, gdyż uważają, że muszą nadrobić dystans do krajów bogatych.

Europejski program „Fit for 55” przewiduje obciążenie opłatami za emisję gazów cieplarnianych transportu oraz budownictwa, a to znaczy, że Europejczycy zapłacą drożej za paliwo, bilety kolejowe i samolotowe, za użytkowanie mieszkań. Za jakiś czas wyższe opłaty wymuszą oszczędności, a także zmiany technologiczne. Ale w krótkim i średnim obniży się poziom życia Eu-

przyszłością jest jednak wódór, a rozwój branży samochodów elektrycznych okaże się ślepą uliczką. Warto te sprawy przemyśleć i, jak mawiają Francuzi, dać czasowi czas.

Kłopot w tym, że dotychczas transformacja odbywa się pod naciskiem historycznych głosów o bliskim końcu świata. Stąd się biorą stachanowskie zobowiązania redukcji emisji CO₂ w Unii, która nie powstrzyma ocieplania klimatu.

Zdaniem Brendy Shaffer, wykładowczyni w US Naval Postgraduate School i ekspertki ds. energetyki, Komisja Europejska przekształciła politykę energetyczną w podzbiór polityki klimatycznej. Niewiele uwagi poświęcała bezpieczeństwu dostaw i cenom energii, gdyż europejscy przywódcy działają pod presją aktywistów. Efekty widzimy dziś, gdy nastąpił niespodziewany kryzys wywołany rosyjską agresją. Nawet jeżeli zmiany klimatu są groźne, to rozwiązaniem nie są działania irracjonalne, które pociągać będą znaczne koszty, nie dając odpowiedniego efektu.

Warto też się przyjrzeć kasandrycznym przepowiedniom. Według raportu zamieszczonego w prestiżowym „The Lancet” („Globalne, regionalne i krajowe obciążenie śmiertelnością związane z nieoptymalnymi temperaturami otoczenia w latach 2000–2019”) w badanym przez naukowców okresie notowano w skali glo-

balnej 5,1 mln zgonów rocznie związanych z nieoptymalną temperaturą. Z tego 4,6 mln zgonów związanych było ze zbyt niskimi temperaturami, a 0,5 mln ze zbyt wysokimi. Od okresu 2000–03 do 2016–19 nadwyżkowe zgony spowodowane zbyt niskimi temperaturami spadły o 0,51 pkt proc., a spowodowane zbyt wysokimi temperaturami wzrosły o 0,21 pkt proc. W sumie ocieplenie klimatu spowodowało spadek zgonów wynikających z nieoptymalnej temperatury o 0,30 pkt proc.

To badanie, jak większość badań naukowych, może być zakwestionowane. Można też przyjąć, że w pewnym momencie proporcje się odwrócą, gdy średnia temperatura Ziemi wzrośnie nadmiernie. Lecz na razie nie ma powodu do paniki. A transformacja ku zeroemisyjności powinna przebiegać w tempie dyktowanym przez ekonomiczną efektywność i nowe wynalazki. Lepsze technologie powinny zastępować gorsze. Gdy proces ten jest sztucznie przyspieszany, istnieje ryzyko wybrania błędnych rozwiązań technologicznych i organizacyjnych, które ostatecznie opóźnią, a nie przyspieszą transformację energetyczną. Decyzje podejmowane przez polityków i urzędników pod naciskiem aktywistów, a często lobbystów z pewnością nie są optymalne.

Niewykluczone, że w najbliższych dekadach zostaną opracowane nowe technologie niskoemisyjne, które okażą się lepsze od tradycyjnych. Może uda się wynaleźć skuteczne sposoby magazynowania energii, dzięki którym niestabilne dziś źródła – wiatr i promienie słoneczne – staną się stabilne.

Profesor Jan Popczyk, wybitny specjalista od systemów energetycznych, uważa, że problem może rozwiązać rynek, na którym swobodnie kształtowałyby się ceny energii, nieustannie zmieniające się i dopasowujące popyt do podaży, a także inteligentne liczniki sterujące poborem energii. Kto wie, może to właściwy kierunek transformacji. ●



Mateusz Skwarczak / Agencja Wyborcza.pl

Twardoch

na Spitsbergenie

Żeglarska wyprawa w głąb fiordów i lodu

Obserwuj tylko na  wyborcza.pl/twardoch

CZUŁE SŁÓWKA

Kamienie

Kamienie w idiomach kojarzą się z czymś u szyi, z rzucaniem (jako pierwszy), ze snem lub spadaniem z serca – a to nie są skojarzenia pożądane przez tych, którzy chcą na przykład zapewnienia niezależności sądownictwa.

Michał Rusinek*



Za sprawą Komisji Europejskiej w ostatnim czasie w polskich mediach zaczęły się pojawiać „kamienie milowe”. Nie byłoby w tym nic niepokojącego – choć niepokoić może stosunek do nich naszych rządzących – gdyby nie związki frazeologiczne, w jakich się one pojawiają. Premier Mateusz Morawiecki zapewnia o ich „realizacji”, rzecznik rządu Piotr Müller twierdzi, że ustawa o Sądzie Najwyższym je „wypełnia”, dziennikarze piszą, że Polska musi je „osiągnąć”, a wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta ubolewa na Twitterze, że „finalne brzmienie kamieni milowych nie było konsultowane w ramach rządu” – a więc także „brzmią”.

Powiem więcej: w takich związkach frazeologicznych kamienie brzmią wyjątkowo nieprzyjemnie, a nawet zgrzytają. Dlaczego? Przyjrzyjmy się źródłu tej metafory. Kamień milowy (łac. milliarium) był to kamienny znak służący do oznaczania dróg w czasach imperium rzymskiego. Ustawiano go na poboczu dróg co tzw. rzymską milę (czyli 1478,5 metra) i umieszczano na nim odległość liczoną od początku drogi, zazwyczaj od Rzymu. Złoty kamień milowy umieszczono pośrodku Rzymu i nazywano „umbilicus urbis”, czyli pępkiem miasta. Metaforycznie „kamienie milowe” funkcjonują jako określenia wydarzeń o szczególnej doniosłości, które zmieniły bieg historii, jak na przykład odkrycia czy wynalazki.

Według Arystotelesa metafora jest skróconym porównaniem i pozwala dostrzec podobieństwa w rzeczach niepodobnych. Przydrożny kamienny walec i wynalezienie papieru z pozoaru nie mają ze sobą nic wspólnego, ale jeśli wyobrazimy sobie rozwój cywilizacji jako metaforyczną drogę, to możemy uznać, że ważne wydarzenia znaczą ją jakoś, podobnie jak kamienie milowe znaczą drogę realną. Nie możemy jednak bezmyślnie posługiwać się metaforami, żeby nie narazić się na niezrozumienie lub inne efekty niepożądane, z komicznym na czele. Komiczny (i profetyczny zarazem) charakter zdania przypisywanego Erichowi Honeckerowi: „Staliśmy nad przepaścią, ale zrobiliśmy wielki krok naprzód”, bierze się stąd, że jego autor nie zwizualizował sobie własnej metafory. Albo inaczej: lekceważył to, do czego porównywał stan swojego kraju (stanie nad przepaścią), i pozytywne zmiany, jakie w nim nastąpiły (krok naprzód). Połączone ze sobą obrazy mówiły – a przynajmniej pokazywały – coś przeciwnego do jego słowa.

Posługując się metaforą, powinniśmy nie tylko ją sobie wyobrażać, ale i stosować wobec niej adekwatną frazeologię. Jeśli więc na przykład, mówiąc o miłości, postanowimy – mało oryginalnie – posłużyć się metaforą ognia, to nie można powiedzieć, że osoba zakochana „tonie” w ogniu miłości, ale raczej że miłość ją „spala” lub „trawi”. Jeśli nie znajdujemy właściwych czasowników, które określałyby zarówno czynność dosłowną, jak i metaforyczną, lub jeśli czasowniki, jakich używamy, nie pasują do jednej z tych czynności – może to oznaczać, że po-

służyliśmy się niewłaściwą metaforą. Niestety, dobrym przykładem takiej sytuacji są „kamienie milowe”, które wprowadziła nam do języka Komisja Europejska.

Nie są to przecież żadne odkrycia czy wynalazki ani też wydarzenia w naszej historii (choć niewątpliwie sporym wydarzeniem będzie wypłata środków unijnych na Krajowy Plan Odbudowy). Są to określone wymagania, jakie Polska musi spełnić, by dostać miliardy euro wsparcia. Kiedy przewodnicząca KE Ursula von der Leyen nazwała te wymagania „kamieniami milowymi”, to postawiła i nas, i siebie w trudnej sytuacji językowej. Warunki się bowiem „spełnia” lub „realizuje”, a jak można spełniać lub realizować kamienie? Ani w języku polskim, ani w angielskim, ani w niderlandzkim nie istnieją takie frazeologizmy. Kamienie można „stawiać” lub można „mijać” po drodze. Od biedy można by je „osiągać” po drodze do jakiegoś celu, ale „osiągać” oznacza właśnie „dość do celu”, a nie spełnić warunki, które to doście umożliwiają. Jeśli wyobrazimy sobie sytuację spełniania warunków jako drogę do celu, jakim jest wypłata środków, to lepszą metaforą dla owych warunków wydają się „kroki”. Wprawdzie także nie można ich „spełniać”, ale można byłoby je „wykonywać”. A to już coś.

Tak, zdaję sobie sprawę, że Komisja Europejska posłużyła się metaforą, która funkcjonuje jako pojęcie nie tyle w historiografii, ile w zarządzaniu projektami. „Kamień milowy” oznacza tam bowiem zdarzenie w harmonogramie projektu rozumiane jako jego faza lub cel pośredni. Tak rozumianym „kamieniem milowym” może być podpisanie dokumentów, otrzymanie wyników badań czy zatwierdzenie jakiegoś etapu pracy. Korporacyjni trenerzy motywacyjni lubią cytować krzykocistę Sachiną Tendulkara, który mawiał: „Sukces to proces. W czasie tej drogi obrzucają cię kamieniami, ale ty zamieniasz je w kamienie milowe”. To zgrabna metafora, niemniej tak rozumiany kamień milowy należy do języka stosunkowo hermetycznego, niezrozumiałego dla nieprofesjonalnych użytkowników języka, nieprzychylnych na przykład do diagramów Gantta, zasobów ludzkich czy systemów zadań krytycznych i niekrytycznych itp. Użytkownik nieprofesjonalny, próbując zrozumieć wypowiedź unijnych urzędników czy rodzimych polityków, wyobraża sobie albo historyczne wydarzenie, albo kamienny znak przy drodze, którego nijak nie da się „spełnić” czy „zrealizować” ani tym bardziej mu „sprostać”.

Jeśli czegoś nie da się zrobić językowo, to wydaje się to także i w rzeczywistości niewykonalne. Jeśli określenie jakiejś czynności brzmi niepoprawnie pod względem frazeologicznym lub po prostu podejrzanie – sama czynność staje się dla nas podejrzana. A to woda na młyn (metafora) tych polityków, którzy uważają, że Polska nie powinna spełniać warunków Komisji Europejskiej. Co więcej, kamienie w języku, ściślej: w idiomach, kojarzą się z czymś u szyi, z rzucaniem (jako pierwszy), ze snem lub spadaniem z serca – a to nie są skojarzenia pożądane przez tych, którzy chcą na przykład zapewnienia niezależności sądownictwa, konkurencyjności gospodarki, zielonej energii czy poprawy efektywności systemu ochrony zdrowia. Minister Zbigniew Ziobro w wywiadzie dla „Do Rzeczy” z ministerialną powagą mówił, że „kamienie milowe to tak naprawdę kamienie u szyi”, natomiast Marek Belka na Twitterze żartował: „Jutro prezes Manowska wylosuje kamień milowy, którym władza ceremonialnie rzuci w kierunku Brukseli”. Tak czy owak, z PR-owego punktu widzenia posłużenie się metaforą „kamieni milowych” wydaje mi się, delikatnie mówiąc, niefortunne. Ale jeśli już się nią posłużono, to uprzejmie proszę naszych rządzących, by jak najszybciej spełnili warunki unijne. Nie tylko dla dobra naszego budżetu, ale i języka. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wistawy Szyborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

PO PRAWDZIE

Billboardowa władza

Czekam na hasła w stylu poetyki Morawieckiego: „Odra odrodzi się sama, jak wskazuje jej nazwa”.

Agnieszka Kublik



Albo lepiej: „Morawiecki: Odra ginie, Tuska winię”. Rzecz jasna, w całej Polsce, nie tylko nad Odrą. Za grube miliony z budżetu państwa. Ze sobie żarty robię? A skąd! Wnikliwie śledzę tę władzę na billboardach, zaczytuję się w tzw. poezji Morawieckiego pisanej w Excelu. Belkot mówiony i belkot na billboardach to arcyciekawy sposób komunikowania się tej władzy z narodem. Jakże wygodny, billboard lyknie wszystko. Oczywiście nie tylko PiS korzysta z billboardów, ale bez precedensu jest to, że w tym przypadku – billboardy śmierdzą od kłamstw.

Chwytiliwe haselka stworzyłam na podobieństwo poetycznych utworów Morawieckiego (tych pisanych w Excelu). „Jestem bardzo emocjonalny, ale jakoś tego nie widać, nie wiem czemu”; „Dbamy po prostu o to, aby Polska była najlepszym miejscem do życia pod słońcem”; „Nasz rząd nie jest ani proniemiecki, ani antyniemiecki, jest propolski”; „Najważniejsze jest, ażeby ten azymut polski, azymut interesów Polski trzymać wysoko na naszych sztafardach”.

A umieściłabym te haselka na billboardach, bo i to w stylu PiS. Pamiętacie? 8 września 2017 r. w całej Polsce zawisły billboardy z hasłem: „Sędziowie o sobie: nadzwyczajna kasta – czas to zmienić”. Tak PiS uzasadniało swoją deformę wymiaru sprawiedliwości, czyli przejęcie instytucji sprawiedliwości przez władzę wykonawczą i ustawodawczą. Za kampanię billboardową zapłaciła Polska Fundacja Narodowa (którą założyło 17 spółek skarbu państwa) – aż 19 mln zł. A przecież PFN została powołana do promowania wizerunku Polski za granicą.

W kwietniu 2021 r. ujrzelśmy billboardy „Liczy się Polska” – miały propagować „historyczny sukces” Morawieckiego, czyli wynegocjowanie dla Polski 770 mld zł z unijnego budżetu.

Akcja na billboardach i rządowych stronach przekonywała naród, że „to niepowtarzalna szansa na odbudowę gospodarki, wsparcie służby zdrowia i zapewnienie europejskiego poziomu życia każdej rodzinie”. Że mamy „770 mld zł dla polskich wsi, miast i miasteczek”. Że „dzięki sukcesowi negocjacyjnemu premiera Mateusza Morawieckiego w lipcu 2020 r., wywalczyliśmy największe w historii Unii Europejskiej środki dla naszego kraju – ok. 770 mld zł. Pieniądze te pomogą wzmocnić polską gospodarkę oraz umożliwią szybsze wyjście z kryzysu wywołanego przez COVID-19. Unijne środki planujemy zainwestować m.in. w rozwój, infrastrukturę, środowisko,

edukację, zdrowie oraz tworzenie nowych miejsc pracy”.

Na plakatach nie było żadnych emblematów Unii Europejskiej. W styczniu tego roku rządowa strona „Liczy się Polska” przestała działać. Pieniądzy nie ma.

Kampania na temat tych wirtualnych pieniędzy kosztowała budżet 6,5 mln zł (także emisja spotów telewizyjnych i radiowych).

Jesienią 2021 r. rząd Morawieckiego chwalił się „Polskim ładem” (jakby w ogóle było czym). Na billboardach było po oczach hasło: „Lepsza codzienność polskich rodzin”.

W sumie na promocję „Polskiego ładu” cztery ministerstwa, kancelaria premiera i bank przeznaczyły 30 mln zł. A przecież „Polski ład” to tragiczny rządowy bubel, np. część o podatkach trzeba było wyrzucić do kosza.

W lutym 2022 r. przy ulicach zawisły billboardy atakujące Unię Europejską. Chodziło o rosnące ceny energii, rząd Morawieckiego wskazał Unię jako winnego. Na billboardach rząd „informował”: „Opłata klimatyczna Unii Europejskiej to aż 60 proc. kosztów produkcji energii”. Obok logo Unii Europejskiej. Tę kłamliwą kampanię przeprowadziło stowarzyszenie Polskie Elektrownie, skupiające 12 spółek produkujących energię, w tym te największe, czyli Tauron, PGNiG, Enea czy PGE. Cel: „poinformowanie społeczeństwa o strukturze kosztów produkcji energii elektrycznej w Polsce”.

I znów – „informacje” nie były prawdziwe. Z wyliczeń niezależnych ekspertów (think tank Forum Energii) wynika, że uśredniony koszt CO₂ to zaledwie ok. 23 proc. łącznej ceny energii elektrycznej, którą płać odbiorcy w taryfie G-II. Poszło na to 12 mln zł.

A w kwietniu tego roku Morawiecki postanowił na billboardach dotrzeć do europejskich sumień. Akcja „Stop Russia now!” – to wedle Morawieckiego miało być „budzenie sumienia Europy” (kłamca apelujący do cudzych sumień?).

Na jednym z billboardów zdjęcie śpiącego dziecka, które przytula miś, obok napis „Berlin” i flaga RFN. Obok zrujnowane ukraińskie miasto Borodzianka. Oba zdjęcia z podpisem po niemiecku: „Gdzie jest miś twojego dziecka?”, oraz logiem akcji „#Stop Russia now!”.

Billboardy zawisły – jak chwalił się premier – „w różnych miastach w Europie”.

Kampanię sfinansował Bank Gospodarstwa Krajowego.

Za ile?

Piotr Müller, rzecznik rządu: – Na pewno to nie jest mała kwota, bo jeśli chce się zrobić jakąkolwiek kampanię marketingową w kilkunastu krajach, to musi to kosztować. Na sto procent kilka milionów.

Piszę o tym nie po to, by powielać te ich kłamstwa. Piszę, by odnaleźć prawdę, której brakuje w każdym kłamstwie. Tak jest i teraz w sprawie tragedii na Odrze. Bo dla nich jest tylko jeden sposób kłamania: zaprzeczyc prawdzie, kłamstwo musi ją zniszczyć i zastąpić.

Dlatego trzeba stale się pilnować. Najlepszy sposób obrony to nie upodobnić się do nich. ●

Rzeka to życie. Nie polityka

Afera z Niemcami zawsze się przyda. Idę o zakład, że pod koniec znajdzie się jakiś winny ekologicznej katastrofy Odry... Jakaś niemiecka fabryka albo Polak niemieckiego pochodzenia.

Magdalena Parys



Skażona Odra. Konferencje, przypuszczenia. Oskarżenia. Lawina komentarzy. Jest ta rtęć czy jej nie ma. Co truje? Kto truje? Każdy ma coś do powiedzenia, nikt nic nie wie. Podziwiam tłumaczy i ekspertów, którzy szukają oryginalnych nagrań, próbują prześledzić, co naprawdę powiedziała marszałek, co tłumacz, co ten czy inny niemiecki minister. Bo tak naprawdę przecież nikomu o żadną wypowiedź nie chodzi. Chodzi o to, że ekologiczna katastrofa dotarła do naszych domów i budzi pierwotne lęki przed suszą, głodem i brakiem wody. W dodatku Odra płynie nie tylko przez Polskę, co do niej wrzucimy, wypłynie u sąsiada, i to nie u jakiegoś Kargula, ale u Niemca. Nie chodzi więc tylko o brak przepływu informacyjnego, lecz też o to, że najmniejsze nieporozumienie wywołuje u Polaka i u Niemca od lat tłumione emocje.

Odrę w Niemczech kochają nie tylko wędkarze i żeglarze. Mówimy o państwie, w którym w skład koalicji rządzącej wchodzi Partia Zielonych. To nie ruch aktywistów czy niewiele znaczący Zieloni, jak to ma miejsce w Polsce. To od lat rosnąca w potęgę siła o coraz większych wpływach i wielkiej medialnej popularności. Minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock i wicekanclerz, minister gospodarki i ochrony klimatu Robert Habeck to (w przeciwieństwie do kanclerza Olafa Scholza z SPD) najbardziej lubiani politycy w Niemczech.

Ekologia to poważny temat dla Zachodu. Katastrof klimatycznych się tam nie przemilcza. I z tego punktu widzenia rząd polski ma wielkie szczęście, że Odra płynie, jak płynie, i śnięte ryby nie przepływają przez całe Niemcy, lecz są tylko na jej wschodnich obrzeżach. I tu już mamy pecha, wschodni Niemcy pod wieloma względami przypominają mentalnie Polaków. To niestety nie przekłada się u nich na sympatię do polskich sąsiadów. Na wschodzie lubi się swoich i partie w stylu PiS-u. Kto chce się przekonać, proponuję opuszczenie liberalnej bańki i odwiedzenie wschodnich miejscowości. Usłyszysz różne historie, na przykład, że w graniczącej z Polską wsi nie ma mieszkańca, któremu „Polaken” nie ukradliby ciągnika, roweru czy samochodu. Jeszcze tylko dodam, że „Polaken” to nie jest zmiękczająca nazwa ty-

pu „Polaczek”. Dlatego akurat w tym regionie skażenie Odry oraz przemilczanie tego faktu przez polską stronę ma inny wymiar. Tu wyborcy są inni, tak więc i politycy (wszystkich partii) wypowiadają się bardziej dosadnie niż ich zachowawczy koledzy w zachodnich Niemczech.

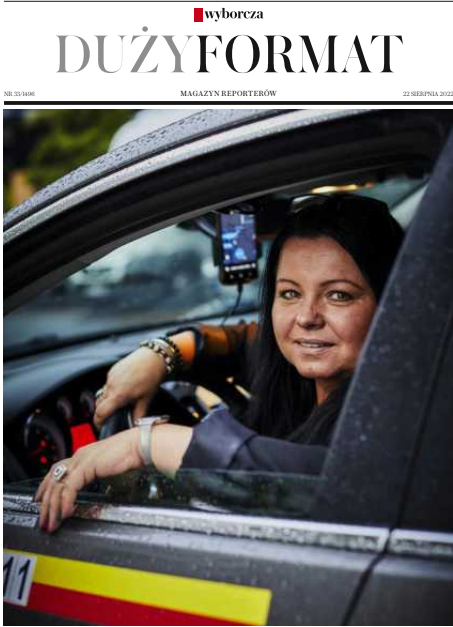
Mówiąc krótko, polski rząd ma szczęście, że w Niemczech nie rządzi partia AfD, skrajna niemiecka prawica. Gdyby tak było, telewizja publiczna stałaby się z czasem narodową i obrałaby za głównego wroga sąsiada Polaka. Pokazywałaby śnięte ryby od rana do wieczora, kazała płacić odszkodowania, tysiąc spraw taki populistyczny rząd mógłby sobie na tym ugrać. Na przykład nowych wyborców, nowych maniaków. Wieczorem pokazywano by reportaże, ilu rybaków straciło prace, ile hoteli zamknięto. Poszkodowani wyszliby na ulicę, do marszu podłączyliby się nie tylko lokalni narodowcy. Potem terroryzować zaczęto by licznie osiadłych w Niemczech Polaków, podpalono jakiś sklep polski, znaleziono polityka pochodzenia polskiego, który miał dziadka Kowalskiego. Takie rzeczy dzieją się szybko. Szybciej to spada na głowę, niż myślimy. Ale w niemieckojęzycznych mediach to się na razie nie wydarzy. AfD w Niemczech nie rządzi.

W Polsce, jak wiadomo, Niemiec nie ma dobrej passy. A jak tylko to się trochę poprawia, prezes nam szybko przypomni, kto nasz główny wróg. Nie znam takiej drugiej partii we współczesnej Europie, która mając na Wschodzie śmiertelne niebezpieczeństwo, szukałaby go na Zachodzie. Nie ma chyba też we współczesnej Europie takiej drugiej partii, która własne niedopatrzienia i nieudolności potrafiłaby tak przedstawić, że pod koniec nie tylko jest niewinna, ale też staje się ofiarą i naprawdę sama w to wierzy. Jest na to na pewno jakaś nazwa w psychologii, ale jej nie znam. Dlatego taka zawierucha przy konferencyjnych tłumaczeniach to zbyt dobra okazja, żeby rząd jakoś jej nie wykorzystał. Afera z Niemcami zawsze jest dobra. Zawsze się przyda. Idę o zakład, że pod koniec znajdzie się jakiś winny ekologicznej katastrofy Odry... Jakaś niemiecka fabryka albo Polak niemieckiego pochodzenia.

Tymczasem rzeką spływają tony śniętych ryb. Rzeka umiera. Ta katastrofa może pozbawić nas wody. Przestrzegają nas o tym „kamienie głodowe”, które przezorna niemieckojęzyczna ludność zamieszczała na terenach zamieszkałych przez siebie od XIV do XIX wieku. Nad wysuszoną rzeką Łabą czytamy na głazie niepokojący niemiecki napis zapowiadający klęskę: „Wenn du mich siehst, dann weine” – „Jeśli mnie zobaczysz, zapłacz”.

Rzeka to nie tylko kąpiele, zachody słońca i wakacyjne wspomnienia, rzeka to też życie. Woda to życie. A Odra jest wielka i przepływa przez środkową Europę. I kiedy środkowa Europa obserwuje śmierć rzeki, to tego nie da się przeoczyć. Trzeba naprawdę być wytrawnym i cynicznym graczem, by móc robić na tym umiejętną politykę. Ja bym nie robiła. ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



Reportaż Amny Kiedrzynek

TAKSÓWKA DLA KOBIECI

1 TAKSÓWKARKI
Na ich widok
kobiety
oddychają z ulgą

2 GANIANKI
Kto urządza
nielegalne
nocne wyścigi
samochodowe?

3 KIERSZTANOWO
Dwa teatry
w jednej wsi



NASZA EUROPA

Globalny obiekt pożądania

WOJNA O TAJWAN
BĘDZIE WOJNĄ O CZIPY

Przemysł półprzewodników na Tajwanie jest dla Pekinu gwarancją prosperity, a z drugiej strony – obiektem pożądania. TSMC to tajwański gigant produkcji mikroprocesorów, od którego Chiny są uzależnione nawet bardziej niż Zachód.

Alice Herait

LE FIGARO

1 sierpnia, kiedy spikerka Izby Reprezentantów USA Nancy Pelosi ścigała na siebie gniew chińskiego rządu, lądując na Tajwanie, Mark Liu, szef największego globalnego producenta czipów TSMC, wydał ostre oświadczenie. „Nikt nie może kontrolować TSMC siłą” – oznajmił w wywiadzie wyemitowanym przez CNN. Było to ostrzeżenie dla świata o konsekwencjach ewentualnej chińskiej inwazji na Tajwan, gdzie znajduje się 90 proc. zakładów produkcyjnych jego korporacji. Mark Liu nie przebierał w słowach: otóż powiedział, że wolałby doprowadzić całą infrastrukturę TSMC do „stanu nieczynnego”, niż oddać ją w chińskie ręce.

A taki ruch zablokowałby całą światową gospodarkę.

BOSKA GÓRA
CHRONIĄCA KRAJ

Świat w XXI wieku jest bowiem uzależniony od fabryk, które produkują najbardziej zaawansowane półprzewodniki. Czipy znajdują się w naszych smartfonach, komputerach i wszystkich produktach elektronicznych, od samochodów po przemysł zbrojeniowy. Gdyby fabryki TSMC zostały z dnia na dzień zamknięte, oczywiście błyskawicznie zabrałoby urządzeń elektronicznych na całym świecie, ale to byłby tylko początek kryzysu. Od działalności TSMC zależą dziś absolutnie m.in. tacy giganci, jak Google, Amazon czy Microsoft, którzy w prowadzeniu swoich usług opierają się na centrach danych, a te potrzebują olbrzymiej ilości czipów do wysokowydajnych obliczeń.

Branża od dawna jest świadoma stopnia uzależnienia od tajwańskiej technologii. Ale 1 sierpnia nagle dla całej reszty świata odkryła kluczowe znaczenie TSMC, firmy, której nazwa wcześniej nawet nie była szerzej znana opinii publicznej.

„TSMC jest jedną z zaledwie trzech firm produkcyjnych, które są w stanie dostarczać najbardziej zaawansowane czipy. Pozostałe dwie to Samsung i Intel” – mówi Lee Wen-ye, tajwański dziennikarz technologiczny. Samo TSMC posiada 53 proc. światowego rynku półprzewodników. Stanowi najjaśniejszy klejnot w gospodarce kraju, który odpowiada za prawie 60 proc. światowej produkcji czipów, łącznie z inżynieryjnym know-how oraz potencjałem badawczym.

Na Tajwanie TSMC nosi przydomek „Hu Guo Shen Shan”, czyli „boska góra ochraniająca kraj”. Firma przekształciła Tajwan w wyspę wysokich technologii, stanowią-



To fabryka TSMC w Nankinie w Chinach. Ale 90 proc. zakładów tego największego na świecie producenta czipów znajduje się na Tajwanie FOT. AFP

cą szalenie istotną część globalnego łańcucha produkcyjnego.

Początki tej firmy to rok 1987. Założył ją 56-letni wtedy Morris Chang. Urodzony w Chinach kontynentalnych jeszcze przed wojną domową, z udaną karierą w Stanach Zjednoczonych na koncie, ten biznesmen nigdy nie mieszkał na Tajwanie. Jednak to właśnie tutaj założył pierwszą fabrykę skoncentrowaną na produkcji półprzewodników: Taiwan Semiconductor Manufacturing Company (TSMC). Władze w Tajpej szybko dostrzegły strategiczny potencjał tkwiący w branży, więc TSMC przeprowadziło się do nowego parku naukowo-technologicznego w mieście Hsinchu, który zaledwie kilka lat później stał się ogromnym hubem nowych technologii, goszczącym blisko 400 firm high-tech. To prawdziwa tajwańska Dolina Krzemowa.

ŁOWIENIE INŻYNIERÓW

Tajwańska epopeja high-tech rozpoczęła się na początku lat 80. Po przekształceniu wyspy z kraju opartego na produkcji rolniczej w gospodarkę nastawioną przede wszystkim na eksport ministrowie Li Kwoh-ting i Sun Yun-suan rozpoczęli serię projektów mających na celu przesunięcie kraju w kierunku bardziej zrównoważonego przemysłu: elektroniki. Obaj, uważani za ojców tajwańskiego cudu gospodarczego, zapraszali wielu inżynierów chińskiego pochodzenia do porzucenia udanych karier w Stanach Zjednoczonych, przyjechania i „służenia ojczyźnie” (w tamtym czasie Tajwan, którego oficjalna nazwa to przecież Republika Chińska, określał się jeszcze zgodnie z doktryną Guomindangu Czang Kaj-szeka jako „prawdziwe” Chiny, w odróżnieniu od Chińskiej Republiki Ludowej).

Morris Chang był jednym z tych, którzy odpowiedzieli na to wezwanie. Absolwent Harvardu, Massachusetts Institute of Technology i Stanforda, z dwudziestopięcioletnim doświadczeniem w amerykańskiej firmie Texas Instrument, a następnie krótkim stażem w konkurencyjnej General Instruments, po raz pierwszy zaproponował utworzenie niezależnej odlewni, tzn. takiej, która zajmowałaby się wyłącznie produkcją układów scalonych. To był ryzykowny ruch. W tym czasie przemysł półprzewodnikowy projektował i produkował własne czipy. Morris Chang nie bał się jednak inwestować w jeszcze nieistniejący popyt, przekonany, że w przyszłości powstaną wielkie firmy bez własnego potencjału produkcyjnego, które będą polegać na wynajętych wykonawcach – i wyborą TSMC. „TSMC do dziś nie produkuje czipów pod własną marką, tylko obsługuje swoich klientów. To jest właśnie ten rodzaj myślenia o modelu biznesowym, który ją od początku wyróżniał” – mówi Lee Wen-ye.

Oczywiście, Morris Chang zdawał sobie sprawę, że Tajwan nie miał know-how w zakresie projektowania półprzewodników i nie mógł wtedy konkurować z Intelem czy Texas Instrument. Ale przemysł na wyspie miał doświadczenie w wytwarzaniu wielu produktów dla innych firm na podstawie ich patentów – i właśnie ten model miał zostać powielony w produkcji czipów.

„Tajwański cud gospodarczy położył fundamenty pod rozwój przemysłu półprzewodników: silnie rozwinięta logistyka, wysoki poziom edukacji wśród ludności i zdyscyplinowani pracownicy” – mówi Wu Jieh-min, socjolog z Academia Sinica w Tajpej, który specjalizuje się w handlu między Chinami a Tajwanem. Dla niego powstanie TSMC było katalizatorem „dru-

giego tajwańskiego cudu gospodarczego”, który trwa do dziś.

AMERYKA
JUŻ SZUKA PLANU B

„Powodzenie TSMC zachęciło kapitał rodzimy do zainwestowania w branżę high-tech, a zagraniczne korporacje – do poważnych przepływów kapitału na Tajwanie” – mówi badacz. Efekt? Zarówno Qualcomm, jak i MediaTek, które projektują procesory dla większości telefonów komórkowych na świecie, są dziś absolutnie uzależnione od TSMC. Apple jest także jednym z jej najlepszych klientów.

Chińska inwazja na Tajwan miałaby nieobliczalne konsekwencje dla przemysłu elektronicznego. „Bo Europa i Stany Zjednoczone to niejedynie gospodarki, które są zależne od TSMC, Chiny również” – mówi Wu Jieh-min.

Zwraca uwagę, że „głównym kierunkiem całego tajwańskiego eksportu są przecież Chiny, a 35 proc. tego eksportu to półprzewodniki”.

Tajwański przemysł półprzewodników stanowi zarówno zabezpieczenie prosperity chińskiej gospodarki, jak i nieprawdopodobnie kuszący obiekt pożądania, ponieważ opanowanie tego sektora poprzez przejęcie Tajwanu dałoby Pekinowi olbrzymi atut w globalnych przepychankach o dominację gospodarczą. Xi Jinping szykuje się na jesienny zjazd partii komunistycznej, który ma przypieczętować jego trzecią kadencję, a jego polityczną mantrą jest od dawna scalenie Tajwanu z ChRL. Ale 24-milionowa wyspa jest dla Pekinu priorytetem z niekoniennie nacjonalistycznych powodów. Stanowi kwitnącą demokrację liberalną, zadającą kłam twierdzeniu, że to model nienadający się dla Chińczyków, a jej silna i efektywna gospodarka oparta na zaawansowanych technologiach to łakomy kąsek dla stawiającego na nowe technologie Pekinu.

Amerykanie zdają sobie z tego sprawę. Nowa administracja w Białym Domu z jednej strony daje od samego początku do zrozumienia Pekinowi, że obowiązująca przez dekady doktryna „strategicznej niejednoznaczności” może się szybko zamienić w jednoznaczne militarne wsparcie Tajwanu. Z drugiej strony, ponieważ dość trudno sobie wyobrazić realny scenariusz militarny, w którym Chiny nie dają ostatecznie rady zająć wyspy, ze swojej strony Stany Zjednoczone również podejmują działania, by zmniejszyć swoją zależność od azjatyckiego rynku high-tech. 9 sierpnia prezydent Joe Biden podpisał ustawę Chips and Science Act, mającą dać zastrzyk w postaci 53 miliardów dolarów na szybki rozwój tej branży w Ameryce, m.in. poprzez zachęty inwestycyjne i podatkowe. ●

NASZA EUROPA

Dlaczego łatwiej oskarżyć Putina niż Trumpa

Niewiele demokracji radzi sobie z wymierzaniem sprawiedliwości byłym liderom politycznym.
Równość wobec prawa jest fikcją.



Robert Stefanicki

LPutinem sprawa jest prosta. Jego proces byłby możliwy dopiero po utracie władzy. Jeśliby zmiana w Rosji była głęboka, rewolucyjna, mogliby go osądzić sami Rosjanie, chociaż znając tradycję procesów moskiewskich, należałoby oczekiwać bardziej radykalnego rozwiązania. W przypadku przewrotu na szczycie w ramach istniejącego układu Putinowi została by pewnie zaoferowana luksusowa emerytura. Można też sobie wyobrazić, że nowa władza, pragnąc naprawić relacje z Zachodem, wydaje Putina do Hagi. Albo – puścić jeszcze luźniej wodze fantazji – proces w stylu norymberskim po przegranej przez Rosję wojnie. Nim to się nie zdarzy, można zbierać dowody i sporządzać akty oskarżenia za granicą, ale nie będzie to miało praktycznego znaczenia. Od dyktatur nikt nie oczekuje sprawiedliwości.

BEZKARNOŚĆ MOŻNYCH

Przypadek Trumpa jest trudniejszy. Choć na jego niezgodną z prawem działalność dowodów jest multum. Tylko nie wiadomo, czy amerykańska demokracja jest na to gotowa.

Po próbie zamachu stanu z 6 stycznia 2021 roku, do którego Trump podzegał, tryby wymiaru sprawiedliwości miały pracować: już ponad 800 uczestników rokoszu zostało oskarżonych. Ale potrzeba postawienia przed sądem Trumpa nie jest oczywista nie tylko dla jego sympatyków.

Przyjrzyjmy się argumentom za i przeciw. Przeciwnicy sążdenia obawiają się, że postawienie Trumpowi zarzutów grozi wybuchem wojny domowej – prawicowe konta w mediach społecznościowych już wzywają do brutalnej odpowiedzi na przeszukanie jego domu przez FBI. Skazany byłby prezydent zostanie dla Republikanów męczennikiem.

Kolejny argument: oskarżenie może wywołać odwet, gdy Republika odzyska władzę. Dajcie

mi polityka, a paragraf się znajdzie. Podział narodu na dwa wrogie obozy będzie postępował. Przywódcy, mając świadomość zagrożenia utratą wolności po utracie władzy, będą za wszelką cenę chcieli ją utrzymać, sypiąc piasek w tryby instytucji państwa prawa. Ameryka zacznie przypominać Turcję albo Polskę. Ziści się marzenie Trumpa o bardziej autorytarnej formie rządów, choć niekoniecznie dla niego.

Niechęć do sążdenia przywódców wynika też z przeświadczenia, że niemal zawsze jest to akt polityczny, nawet jeśli zarzuty są niepodważalne. Departament Sprawiedliwości USA jest niezależny, ale prokuratora generalnego mianował prezydent Joe Biden, jego bezstronność może budzić wątpliwości.

Zwolennicy sążdenia uważają, że bezprawiu trzeba wymierzyć karę, by je zatamować. Trump nadal podzega do przemocy i stawia się ponad prawem, a jest wzorem dla milionów. Proces Trumpa dowiodłby, że nie ma świętych krów.

Tylko że to łatwy do obalenia mit. Tradycja bezkarności moźnych, lepiej urodzonych jest silnie zakorzeniona. Nad debatą o oskarżeniu Trumpa ciąży dziedzictwo rasistowskiego systemu sprawiedliwości, który przez dziesięciolecia pozwalał białemu motłochowi terroryzować Afroamerykanów, a i dziś, w praktyce, pozostaje stronnicy wobec czarnych i faworyzuje bogatych, których stać na najlepszych prawników. Prześpięstwa narkotykowe bez użycia przemocy prowadzą za kraty na lata, podczas gdy prawie żaden bankier nie stanął przed sądem za lekkomyślne i prawdopodobnie nielegalne działania prowadzące do globalnego kryzysu finansowego w 2008 roku.

Patrząc szerzej, cały powojenny ład światowy zbudowano na nierówności i bezkarności zwyciężskich mocarstw, które przyznały sobie prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Największe osiągnięcie wykuwającego się w ostatnich dziesięcioleciach systemu ponadnarodowej sprawiedliwości – Międzynarodowy Trybunał Karny – jest zdolne sądzić wyłącznie byłych przywódców i watażków z Afryki, nieliczących się na globalnej arenie.

W niedawnym sondażu PBS połowa respondentów stwierdziła, że Trumpowi należy postawić zarzuty karne, lecz tylko 28 proc. uważało, że to nastąpi. Z wątpienie Amerykanów jest uzasadnione: żaden był prezydent USA nie został oskarżony o przestępstwo.

POZA PRAWEM

Dylemat, przed jakim stoją Amerykanie, jest żywy od czasu rewo-

lucji francuskiej. Spór o osądzenie Ludwika XIV toczył się przy częściowo podobnych argumentach. Jakobińscy radykalowie nie byli zainteresowani publicznym oskarżeniem, stojąc na stanowisku, że proces należy się tylko obywatelom, a monarsze – gilotyna. Ich zdaniem Ludwik nie popełnił żadnych zbrodni w świetle prawa, a jego jedyną zbrodnią było to, że był królem, bo panowanie jest aktem wojny przeciwko ludowi. Zaś umiarkowani żyrondyści, obawiając się o pozycję międzynarodową Francji, byli orędownikami sprawiedliwego procesu i wygnania monarchy.

Ostatecznie król został osądzony w pokazowym procesie jak zwykły śmiertelnik, co było pożytecznym wstrząsem mentalnym dla narodu. Nie zdecydowali się na to Amerykanie po pokonaniu Japonii w II wojnie światowej – pozostawili cesarza na czele państwa w roli zwornika między starym i nowym porządkiem, uznawszy, że dzięki temu łatwiej uda się wprowadzić prodemokratyczne reformy. W procesie tokijskim za zbrodnie wojenne osądzono jedynie garstkę: 19 wojskowych i dziewięciu polityków. Pominięto działalność osławionej Jednostki 731, która eksperymentowała na ludziach, pracując nad bronią biologiczną i chemiczną. Likwidator japońskiej masy upadłościowej gen. Douglas MacArthur udzielił naukowcom immunitetu w zamian za wyniki ich badań i wiedzę, której nie dałoby się pozyskać w wolnym kraju.

Już z tego względu trybunał tokijski należy uznać za upolityczniony. Podobnie jak powszechnie uważane za wielki triumf sprawiedliwości (bezprzymiotnikowej) procesy norymberskie, mimo że tutaj wybiórcość w doborze oskarżonych była mniej rażąca, a dowody staranie przygotowane. Sukcesem było to, że w powojennych Niemczech w ogóle doszło do procesów – wcześniej toczono na ten temat debatę rodem z jakobińskiego Paryża. Na konferencji w Teheranie w 1943 r. Stalin proponował rozstrzelanie 50 tys. Niemców, zaś łaskawszy Churchill opowiadał się za skromną setką.

Niemniej w Norymberdze sprawiedliwość podyktowali zwycięzcy. Udział Związku Radzieckiego wymuszał konieczność pomijania niewygodnych tematów i zafałszowywania niektórych części aktu oskarżenia, które mogłyby wskazywać na zbrodnie sowieckie. Nigdy nie osądzono też Amerykanów i Brytyjczyków za bombardowania niemieckich miast i śmierć setek tysięcy cywilów.

Oskarżony Hans Frank, generalny gubernator w Polsce, argumentował na gruncie proceduralnym – jak wcześniej obroń-

cy Ludwika XIV – że niemożliwe, by „ująć hitleryzm w kategoriach prawa”, bo Hitler postawił się poza wszelkim porządkiem prawnym. Hermann Göring przekonywał natomiast, że III Rzesza kierowała się swoim interesem państwowym i dlatego należy czynny jej urzędników usprawiedliwić.

CZY TRUMP (ALBO KACZYŃSKI) PRZEKROCZYŁ TĘ GRANICĘ

Jest to ważki argument utrudniający skazywanie polityków, którzy zazwyczaj nie mają krwi na rękach. Sądzi się ich za decyzje, co – nawet jeśli owe decyzje są niekonstytucyjne – otwiera pole do debat. Franklin Roosevelt nakazujący po ataku na Pearl Harbor internowanie obywateli pochodzenia japońskiego czy George W. Bush zezwalający na torturowanie podejrzanych terrorystów zawsze mogą się bronić, że działali dla dobra publicznego. Osadzenie podejrzanych o terroryzm w Guantanamo i zamorskich „czarnych dziurach” było aktem wyjącia ich spod prawa, uznaniem za „wroga ludu”. Czyniąc to, Bush był niczym Robespierre, Mao i Stalin – uznał ataki Al-Kaidy za akt rewolucyjny, który wymaga sięgnięcia po katalog działań kontrrewolucyjnych, pozaprawnych. Czy należało go za to postawić przed sądem? A potem Baracka Obamę za strzelanie z dronów do afgańskich cywilów?

W 2010 r. Michael Walzer w artykule zamieszczonym na łamach „The New Republic” (podtytuł: „Dlaczego George W. Bush nie jest jak Ludwik XIV”) tak próbował rozwiązać ów dylemat: „Może nie jesteśmy wspólnotą absolutnie równych obywateli. Jeśli kogoś schwytam i torturuję, powinienem zostać osądzony i ukarany. Jeśli prezydent nakazuje to zrobić, jak mówi, w imię bezpieczeństwa narodowego, jego jedyną karą jest polityczna porażka: powinniśmy organizować się w opozycji i zagłosować przeciwko niemu. Ale jest tutaj granica, którą należy starannie narysować. Jeśli naruszenia prawa lub konstytucji przez prezydenta mają na celu stworzenie tyrańskiego reżimu, jeśli każe aresztować i torturować swoich wrogów politycznych, a nie faktycznych wrogów republiki, jeśli systematycznie myli obie kategorie, wtedy musimy znaleźć ostateczny sposób na pokonanie go lub obalenie”.

Nadal pozostaje otwartą kwestią, czy Trump (albo Kaczyński lub Ziobro) przekroczył tę granicę. O tym powinny orzec sądy. Jednak tylko silne, okrzepłe demokracje są zazwyczaj wystarczająco kompe-

tentne i mają system sądowniczy wystarczająco niezależny, by ścigać przestępstwa swoich przywódców. Słabe demokracje i autokracje miotają się między wymierzaniem bezkarności (w imię pokoju) bądź sprawiedliwości zwycięzców (z grobu nie powróci).

Kiedy upadł apartheid, ceną za uniknięcie wojny domowej były bezkarności i pozostawienie majątków białych władców Południowej Afryki. Podobną drogę wybrała Polska po upadku PRL. Z perspektywy czasu wydaje się, że korzyści były większe niż wady. Niemniej w RPA w ten sposób utrwalono ogromne nierówności majątkowe, a w III RP podważyła pod kulturę bezkarności politycznej, której nie udało się przełamać po pierwszych rządach PiS i nie wiadomo, czy się uda po kolejnej zmianie władzy. Po latach rządów Kaczyńskiego trudno polską demokrację i polski wymiar sprawiedliwości nazwać silnymi i odpornymi.

KRĄG OSTATECZNY

Stanów Zjednoczonych ten problem nie dotyczy – w zderzeniu z Trumpem amerykańska demokracja dowiodła, że choć niedoskonała, jest silna – a mimo to oskarżenie byłego prezydenta budzi tam wątpliwości. Procesy przegranych w wojnach lub rewolucjach są łatwiejsze. W USA nie ma zmiany ustroju, przeciwnie: trzeba zadbać o ciągłość i wiarygodność instytucji. I o proces, który nie będzie wyglądał jak odwet.

Kusi osądzenie Trumpa za to, kim jest (patologicznym kłamcą i oszustem), lecz praktyka wskazuje, że im konkretniejszy zarzut, tym większe szanse na skazanie. Można dyskutować, czy wsadzenie Ala Capone za podatki było sukcesem, czy porażką wymiaru sprawiedliwości, ale chyba lepszy wróbel w garści. Tylko najtwardsi zwolennicy będą bronić prezydenta, który bierze łapówki lub dopuszcza się gwałtu, lub morderstwa. Ale tylko nieliczni się tak podkładają.

Groteskowa próba rokoszu Trumpa wyczerpuje znamiona zdrady stanu. Istnieją jednak inne, lepsze podstawy, by go ścigać. Może zostać oskarżony o utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości, o usiłowanie zablokowania głosowania w Kolegium Elektorów, o wynoszenie i niszczenie państwowych dokumentów. Albo machlojki biznesowe i unikanie podatków.

Można też pozostawić osąd Bogu i historii, wierząc, że istnieje jakiś krąg, gdzie ostatecznie osiada Putin, Trump i im podobni. ●

NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ LEWICY

Hiszpańska socjaldemokracja, która walczyła o wolność, schodzi ze sceny pod ciężarem własnej nieudolności.

Maciej Stasiński

Po raz pierwszy od lat dramatycznie spada poparcie dla rządzącej partii PSOE, czyli socjalistów, i zapowiada się, że przegra z kretem wyborów w 2023.

To skutek ześlizgiwania się w ideologiczny populizm, który wartościami gardzi, hołduje koniunkturalizmowi. Wartości, które wcześniej odróżniały lewicę od prawicy i kazały głównym siłom szanować konstytucję i rządy prawa idą do lamusa.

Dzieje się to z partią, która od założenia w 1879 roku przeszła długą drogę od klasowej, robotniczej i rewolucyjnej, przez okres podziemnej i emigracyjnej hibernacji w czasie dyktatury wojskowo-klerykalnej gen. Franco, po nowoczesną socjaldemokrację. Odegrała kluczową rolę w przywróceniu demokracji po śmierci dyktatora, a w latach 80. ubiegłego wieku – już jako rządząca – zakotwiczyła się w liberalno-demokratycznym ustroju opartym na gospodarce rynkowej. Hiszpanię wprowadziła do Unii Europejskiej i NATO. Krok po kroku usuwała złogi autorytarnego, klerykalnego, postfeudalnego ładu społecznego, m.in. legalizując rozwody, prawo do usuwania ciąży czy zrównując prawa kobiet i mężczyzn.

Dziś socjaliści to dziedzictwo trwoną w frywolnej polityce kapryśnie wybieranych celów. Liczy się doraźny poklask i akrobatyka parlamentarna.

KNUJĄCE, MROCZNE SIŁY

W tej populistycznej dekadencji hiszpańska lewica, w tym zwłaszcza jej najważniejszy nurt, czyli socjaliści, nie jest wyjątkiem ani w Europie, ani w świecie.

Populizm mrugający w lewo triumfuje w Meksyku pod batutą Andrésa Manuela Lópeza Obradora, gdy ten mrugający w prawo trzyma się mocno w USA za sprawą Donalda Trumpa, czy w Brazylii rządzonej przez Jaira Bolsonaro. W Europie nachalny pęd „byłe do władzy i przy władzy”, zaprawiony nacjonalizmem i zamordyzmem, buszuje pod przewodnictwem Borisa Johnsona, Marine Le Pen, Viktora Orbána czy Jarosława Kaczyńskiego.

W Hiszpanii ten populizm ma własne oblicze. Jest ubrany w kostium lewicowy.

Z nacjonalizmami się brata, ale peryferyjnymi, jak kataloński i baskijski, i nie z powodu pokrewieństwa ideowego, lecz arytmetycznej kalkulacji.

Socjaliści właśnie ponieśli klęskę w wyborach autonomicznych w Andaluzji, gdzie rządili prawie przez 40 lat. Władzę w ich społecznym mateczniku przejmie prawicowa Partia Ludowa, która nigdy tam nie rządziła.

W dodatku dwóch byłych socjalistycznych premierów Andaluzji oraz kilkanaście innych osób z ich otoczenia zostało

właśnie skazanych na więzienie lub wieloletni zakaz pełnienia funkcji publicznych za rozdawanie „po uważaniu” przez prawie dziesięć lat pomocy finansowej dla przedsiębiorców plajtujących, wskutek kryzysu gospodarczego z 2008 roku.

Ale plejada socjalistów albo zakwestionowała wyrok, albo broniła ich, twierdząc, że osobiście byli uczciwi, bo „nic nie brali do kieszeni”. Jakby nepotyczne rozdawnictwo nie było korupcją.

Wobec kurczącego się poparcia premier Pedro Sánchez uznał, że winne są mroczne siły knujące przeciw niepokalanej lewicy – „panowie palący cygara w koteriach Madrytu”, jak się wyraził. Sobie nie ma nic do zarzucenia.

Te oznaki kryzysu socjalistów są jednak tylko pianą na długiej fali topiącej lewicę. Od czasu objęcia władzy przez rząd José Zapatero w 2004 roku fala to wzbierała, to się cofała i wróciła ze zdwojoną siłą za rządów obecnego premiera Pedro Sáncheza w 2018 roku. Teraz jest jej szczyt.

Kryzys jest kroniką zapowiedzianego i zawinionego zepsucia, jeśli nie schyłku. Błędy popełniane przez socjalistyczne rządy nie były błahymi i sporadycznymi potknięciami. Są raczej natury zasadniczej,

• **Premier Pedro Sánchez składa hołd ofiarom terroryzmu w 25. rocznicę śmierci Miguela Ángela Blanco, który został zamordowany przez separatystów z ETA**

FOT. CARLOS ALVAREZ/GETTY IMAGES

wręcz ustrojowe. Wskutek polityki Zapatero i Sáncheza ucierpiała bowiem nie tylko partia socjalistyczna jako jedna z głównych podpór demokracji, ale także Hiszpania jako jednolite państwo, jako demokracja i jako państwo prawa.

DŻIN Z KATALONII

W 2004 roku socjaliści zdobyli władzę wskutek szoku, jakim był islamski zamach bombowy w Madrycie, w którym zginęło 191 osób. Wcześniej nic nie wskazywało, że mogą odsunąć od władzy rządzącą przez dwie kadencje prawicę (Partię Ludową), która co prawda przyłączyła Hiszpanię do wojny w Iraku, do czego Hiszpanie nie mieli przekonania, ale rządziła triumfalnie na fali świetnej koniunktury gospodarczej.

Ogłuszony odwetem terrorystów za udział Hiszpanii w interwencji w Iraku i zarazem zaskoczony własnym zwycięstwem José Luis Zapatero ugiął się i wycofał hiszpański kontyngent, porzucając oburzonych lub zawiedzionych zachodnich sojuszników, w tym Polskę.

Potem zaś, żeby umocnić się u władzy, ogłosił, że Katalonia może sobie poszerzyć autonomiczny samorząd, ile tylko sobie zażyczy. W ten sposób władza centralna w Hiszpanii zrywała zgodę ustrojącą, która od czasu uchwalenia konstytucji w 1978 roku zapewniała regionom, takim jak Kraj Basków czy Katalonia, ogromny samorząd, jakim nie mogła się cieszyć żadna część żadnego innego państwa w Europie. Socjaliści hiszpańscy sami pobudzali marginalny i utajony radykalny separatyzm kataloński.

Zyskali co prawda od razu sojusznika w klubie parlamentarnym Katalończyków w parlamencie w Madrycie, ale nakarmili i wypuścili z butelki dżina, który jest najpoważniejszym zagrożeniem dla hiszpańskiej demokracji.

Nacjonaliści przystąpili do dzieła i uchwalili statut, który m.in. określał Katalonię jako osobny naród, dawał jej suwe-



renność podatkową wewnątrz Hiszpanii oraz prawo wyboru własnych posłów do Parlamentu Europejskiego.

Statut gwałcił hiszpańską konstytucję, więc przerażeni socjaliści przycięli go w parlamencie w Madrycie. Katalończycy musieli to przelknąć i tak okrojony statut przyjęli w plebiscycie (74 procent – za, do 21 procent – przeciw, ale przy absencji połowy głosujących). Zdrady nie zapomnieli w myśl porzekadła „Kto oddaje i zabiera, ten się w piekło poniewiera”.

PRZEPAŚĆ I RECESJA

Trzecim posunięciem socjalistów za rządów Zapatero, które zrywało demokratyczną zgodę dwóch głównych partii politycznych, było wszczęcie tzw. polityki historycznej, która m.in. wypaczała prawdę o demokratycznej transformacji z lat 1976-78, po rozpadzie wojskowo-klerykalnej dyktatury gen. Franco, podawała w wątpliwość jej dokonania (np. amnestię), rewidowała prawdy wojny domowej (1936-39), a nawet kwestionowała monarchię konstytucyjną, do której ustanowienia w 1978 roku wraz z komunistami sami socjaliści walnie się przyczynili. Socjaliści zaczęli przebąkiwać o przywróceniu republiki, rozbitej w zamachu i wojnie domowej.

Te trzy posunięcia przesłoniły inne reformy, które – jak legalizacja małżeństw jedнопłciowych, ułatwienie rozwodów, liberalizacja prawa do przerywania ciąży czy prawo do godnej śmierci – miały masowe poparcie społeczeństwa.

I to one, a nie reformy społeczne, doprowadziły do rozbratu socjalistów z pokolenia opozycji przeciw dyktaturze i współpracującego zręby demokracji z młodym zaciągiem polityków.

To, co robił José Luis Zapatero, było nie do przyjęcia dla jego poprzedników Felipe Gonzáleza i Alfonso Guerry, choć wyborców nie martwiło.

Kiedy premier zabrnął w nieodpowiedzialną politykę społeczną, ignorując oznaki zbliżającego się kryzysu gospodarczego, a potem nie potrafił mu stawić czoła (w latach 2007-08), Hiszpania wpadła w gwałtowną recesję i rząd stanął nad przepaścią. Odwrócił się od niego nawet wierny dotąd i bardzo wpływowy dziennik „El País”.

– Koniec trasy – pisał jego wieloletni naczelny Juan Luis Cebrián. – Zapatero musi wreszcie dać sobie spokój ze swoim patologicznym optymizmem i odejść. Tylko wtedy Hiszpanie będą w stanie znieść nieznośną lekkość bytu.

Tak się też stało. Krach gospodarczy kosztował Hiszpanię spadek dochodu przez cztery lata z rządu i skok bezrobocia z 8 do 25 procent. Wybory w 2011 wygrała prawica, Zapatero stracił przywództwo socjalistów, którzy poszli na ośmioletnią kwarantannę.

Mieli teraz przed sobą nowe wyzwanie: jak pozostać główną partią lewicy wobec niespodziewanego pojawienia się na lewo od nich jeszcze bardziej populistycznego Podemos, nowej partii utworzonej na fali ruchu Oburzonych zapaścią gospodarczą.

Podemos otwarcie atakowało demokratyczne przemiany 1976-78 jako nieprawdy fakt demokratów z dyktaturą frankistowską gwarantujący dzięki amnestii bezkarność frankistowskiej elicie władzy. Podemos chciało m.in. wyjścia Hiszpanii z NATO, przyznania Katalonii prawa do niepodległości i zniesienia konstytucyjnego obowiązku dyscypliny budżetowej państwa i autonomicznych regionów.

Socjaliści się wykrwawiali, bo do Podemos, partii młodszeo pokolenia wyzbytego pamięcią o wojnie, dyktaturze i pokojowej odbudowie demokracji, odpływali masowo młodzi wyborcy lewicy, głównie socjalistów (komuniści zasłużeni w oporze przeciw dyktaturze nie odrodzili się nigdy w czasach demokracji).

W wyborach 2015-16 wygrała znowu prawica, a socjaliści sięgnęli dna, zdobywa-

jąc zaledwie 85-90 mandatów w 350-miejscowym parlamencie. Na fali były dwie nowe partie: Podemos na lewicy i Obywatele, liberalna partia środka zrodzona ze sprzeciwu wobec rosnącego nacjonalizmu w Katalonii i korupcji prawicowych rządów Partii Ludowej. Dwupartyjny dotąd system socjaliści:prawica (PSOE:PP) kruszył się i zastępował go czwórpartyjny.

Słabnący socjaliści, żeby wrócić do władzy, potrzebowali nowego przywódcy, nowego programu i nowych sojuszników.

KUPOWANIE NACJONALISTÓW

Lidera znaleźli w osobie czterdziestokilkuletniego Pedro Sáncheza. Próbował zostać premierem w 2016 roku w koalicji z liberalnymi Obywatelami, ale przegrał głosowanie w parlamencie.

Zwrócił się wówczas do nacjonalistów katalońskich, mimo że jawnie nie uznawali konstytucji i dążyli do oderwania Katalonii od Hiszpanii. Miał im poufnie obiecać sojusz, referendum niepodległościowe oraz umorzenie śledztw przeciw ich przywódcom za gwałcenie konstytucji. Oferta zakrawała na spisek antypaństwowy, a ponieważ socjaliści szorowali po dnie społeczne go poparcia, pozbyli się nowego lidera równie prędko, jak go powołali.

Hiszpańscy socjaliści oburzyli się na wyroki skazujące ich kolegów? Bo przecież kolesiostwo to nie korupcja

Pedro Sánchez się jednak nie poddał i rok później wygrał wewnętrzne wybory na szefa partii.

Socjalistom udało się w 2018 roku obalić w parlamencie skompromitowany korupcją rząd prawicy i na mocy konstruktywnego wotum nieufności premierem został niespodziewanie lider największej partii opozycji Pedro Sánchez. Nowy rząd, nie mając samodzielnej większości, przegrał budżet i rok później Sánchez stanął do ponownych wyborów.

Socjalistom znowu zabrakło większości do utworzenia rządu. Mogli ją mieć w koalicji z liberałami (Obywatelami), ale Sánchez jej nie chciał.

Znowu rozpisano wybory. I tym razem socjaliści zdobyli tylko 28 procent głosów i 120 mandatów, ponownie za mało do samodzielnej większości.

I wtedy desygnowany na premiera Sánchez, który publicznie zarzekał się w parlamencie, że nigdy nie zawrze koalicji z populistami z Podemos, bo byłaby „koszmarem”, nagle zrobił zwrot przez sztag, dogadał się z Podemos i dzięki wstrzymaniu się od głosu katalońskich i baskijskich posłów został premierem większością zaledwie dwóch głosów. Od tej pory socjaliści i Podemos rządzą jako rząd mniejszościowy, który każdorazowo zabiega o głosy nacjonalistów, przekupując ich kolejnymi ustępstwami.

Premier Pedro Sánchez został mistrzem politycznego slalomu i dowolnego flirtu, gotowym złamać każdą obietnicę i poświęcić każdą zasadę, porzucić jednego sojusznika i wybrać innego z drugiego krańca politycznego wachlarza, byle ocalić władzę.

Gdy w 2019 roku sąd najwyższy skazał kilkunastu przywódców Katalonii na więzienie za polityczny zamach stanu (m.in. usiłowanie oderwania regionu od Hiszpanii i ogłoszenie niepodległości), premier obiecał solennie, że Katalończycy muszą

odpokutować i odsiedzieć wyroki. Będąc jeszcze liderem opozycji (w 2017), socjaliści poparli w parlamencie zawieszenie autonomii Katalonii w odwecie za zorganizowanie nielegalnego plebiscytu oraz deklaracji niepodległości.

Kiedy jednak zostawszy premierem dzięki głosom nacjonalistów, Sanchez potrzebował ich głosów do dalszego rządzenia, w 2021 roku, po rocznej odsiadce, zrobił zwrot przez rufę i ulaskawił skazanych przywódców.

Sánchez uchodzi za cynicznego kłamcę i wiarołomcę, nie jest też wzorem lojalności. Kiedy wyszło na jaw, że rządowe służby specjalne od dawna szpiegowały programem Pegasus jego katalońskich sojuszników, premier poświęcił szefową służb, ale nie przyznał się do niczego, a wręcz poskarżył się, że on i jego rząd byli także szpiegowani Pegasusem, doprawdy nie wiadomo przez kogo.

REHABILITACJA TERRORU

Ostatni wyczyn socjalistów Pedro Sánchez to „ustawa o demokratycznej pamięci historycznej”. Pod dyktando Podemos, a szczególnie baskijskich skrajnych nacjonalistów z partii Bildu, rzeczników i spadkobierców terrorystów z ETA prawo zostało napisane tak, że nie tyle rewiduje pa-

mięć, ile ją dekretuje, pisząc na nowo dzieje Hiszpanii. Pozwala bowiem badać i ścigać nie zbrodnie dyktatury frankistowskiej, która skończyła się w 1976 roku, lecz także „zbrodnie przeciw obrońcom demokracji” w latach 1978-83, czyli w latach rządów prawicy oraz samych socjalistów. Potworek prawny, który uchwalili socjaliści, Podemos i baskijscy nacjonałiści, polega na tym, że sugeruje, iż, po pierwsze, terroryści z ETA zostają uznani za bojowników o demokrację, a policja, która ich ścigała, także w ramach brudnej wojny toczonej przez tajne komando służb specjalnych GAL, to frankiści. Tymczasem odpowiedzialni za parapolityczne komando GAL, które zabiło 27 osób, utworzone pod ministerstwem spraw wewnętrznych w latach 80., zostali dawno temu osądzeni i skazani, w tym były socjalistyczny minister i jego zastępca ds. bezpieczeństwa. Po drugie zaś, ustawa przechodzi do porządku dziennego nad terrorem ETA, który na dobre rozpętany został przez nacjonalistów baskijskich bynajmniej nie przeciw dyktaturze gen. Franco, lecz przeciw odrodzonej po jego śmierci demokracji. Lwią część ponad 850 ofiar ETA zamordowała po 1976 roku.

Szczególnie skandaliczny jest fakt, że zapis ten wymusiła na premierze partia Bildu, która nigdy nie potępiła ETA, bo sama się z niej wywodziła. Zawsze uważała, że terror jest prawomocnym narzędziem „walki o wolność” Kraju Basków przeciw Hiszpanii, co najwyżej ubolewając, iż przy okazji „konfliktu zbrojnego”, jak terror nazywa do dziś, ucierpiały niewinne rodziny zamordowanych przez terrorystów ofiar. Sami zabici bynajmniej już niewinni nie byli. Ustawa jest obelgą dla ofiar terroru ETA także dlatego, że wciąż pozostaje nieosądzonych ok. 300 mordów.

Tzw. lewica abertzale, czyli spadkobiercy terrorystów, od lat składa publiczne hoł-

dy wychodzącym z więzienia po odbyciu wyroku zabójcom z ETA, podczas gdy rodziny zamordowanych bliskich czcić ich publicznie nie mogą, bo są zaszczuwane przez lewackie bojówki.

Szefem dumnych obrońców ETA, dzięki którym premier Sánchez rządzi i uchwalil prawo o pamięci historycznej, jest Arnaldo Otegi, były terrorysta ETA, potem jej polityczny delegat i poseł, wielokrotnie skazywany za przynależność do ETA, współpracę z nią, apologię terroru itp.

Fakt, że socjalistyczny premier godzi się osądzać najnowsze dzieje ręką w rękę z byłymi terrorystami i ich piewcami, przelał czarę wyrozumiałości znanych socjalistów, nie mówiąc o sympatykach. Potępili ustawę o pamięci były premier Felipe González, były burmistrz Madrytu Joaquín Leguina oraz plejada czołowych socjalistów starszego pokolenia.

Dodatkową zniewagą dla socjalistów oraz wszystkich hiszpańskich demokratów jest okoliczność, że drugi kluczowy sojusznik rządu Sáncheza w parlamencie, czyli nacjonałiści katalońscy, uważa, że demokracja hiszpańska jest w ogóle „bękartem dyktatury frankistowskiej”, który „zalegalizował dyktaturę, zamiast ją zniszczyć”, jak się wyraził jeden z katalońskich posłów w czasie debaty w parlamencie.

Dlatego kiedy kilka dni temu premier Sánchez chciał wziąć udział w obchodach 25. rocznicy zamordowania przez terrorystów radnego Miguela Ángela Blanco, stowarzyszenia ofiar terroru ETA zbojkotowały uroczystość.

Juan Luis Cebrián, założyciel dziennika „El País”, rozlicza się równie surowo z premierem socjalistów Sánchezem, co dzie sięć lat temu z jego poprzednikiem José Luisem Zapatero:

– Żeby rząd socjalistyczny paktował ze spadkobiercami terrorystów i byłymi terrorystami, jest równie krzyżącą głupotą jak utrzymywanie, że zbrodnie frankizmu trwały w czasach demokracji. To nie tylko obelga dla ofiar, ale też zniewaga dla milionów wyborców socjalistów i większości ich dawnych przywódców.

Ten nonsens tylko przyspieszy obracanie się socjalistów w popiół. Ponad 400 osób zamordowali w latach 1976-83 terroryści ETA, między innymi dzisiejsi przywódcy Bildu i czciciele terroru. To dzięki temu, że ostatecznie demokracja ich pokonała, obecni posłowie socjalistyczni mogą się mościć w fotelach i głosować za tą ustawą.

„W swoich zapędach uporczywego łgarza Sánchez jest godnym rywalem Borisa Johnsona. Obaj uważają za Leninem, że poza władzą wszystko inne to złudzenie” – pisze Cebrián w „El País”.

Inny były naczelny tego samego dziennika, Álvaro Nieto, dzisiaj kierujący niezależnym portalem The Objective, pisze:

„Premier Pedro Sánchez dokona swoich dni na czele rządu wierny obranej drodze: propaganda, populizm, układy z nacjonalistami baskijskimi i katalońskimi. Większość Hiszpanów już się od niego odwróciła, jak dowodzą ostatnie wybory i sondaże”.

SÁNCHEZ PISZE SWOJE EPITAFIUM

Los innych partii odwołujących się do wartości lewicowych, jak Podemos czy postkomuniści, jest mniej istotny, bo to socjaliści byli przez ponad sto lat główną siłą upominającą się o wolność, demokrację, równość, godność i prawa wykluczonych, wyzyskiwanych i uciśnionych, o równouprawnienie kobiet, sprawiedliwość społeczną i świeckie państwo. Podemos traci swój początkowy urok nowej siły. Postkomuniści są siłą marginalną.

Jak mawiał pewien wybitny bolszewik Karol Radek – Budowa socjalizmu w jednym kraju jest możliwa. Ale szkoda kraju.

Upadek demokratycznej lewicy w Hiszpanii jest możliwy. Ale szkoda Hiszpanii. ●



WIĘCEJ SMOKÓW

Nerdy dorosły, fantastyka weszła do mainstreamu

Radosław Czyż

Komentarzy o nowym serialu serwisu Amazon Prime Video jest tak wiele, że spokojnie można by na ich podstawie określić „Pierścienie Władzy” mianem najbardziej wyczekiwanej premiery tego roku. A może i dekady, bo nawet przed premierą „Wiedźmina” nie widziałem tylu kipiących emocjami opinii. Problem (głównie dla Amazona) w tym, że niemal wszystkie są skrajnie negatywne.

A to fryzury złe, kostiumy nie takie, bohaterowie brzydki, a co gorsza, nie biali, prawa do ekranizacji zbyt wąskie, grób Tolkiena zbezczeszczony, polityczność zbyt poprawna, a poprawność skrajnie polityczna. Nikt nie obejrzy, bo wszyscy już wiedzą, że będzie beznadziejnie. Aż przypo-

mina się rok 2001, gdy podobne rzeczy pisano przed premierą „Drużyny Pierścienia” Petera Jacksona. A przecież wiemy, że bez jego znakomitych filmów fantastyka na wielkim i małym ekranie nigdy nie byłaby tak mile widziana.

Przełom sierpnia i września tego roku jest tego najlepszym przykładem. W serwisach streamingowych zaroilo się od hitów fantasy w takiej skali jak nigdy dotąd. Disney+ wrzuca kolejne serie ze świata „Gwiezdnych wojen” czy komiksów Marvela i choć nie jest to fantasy sensu stricto, zdecydowanie zabiega o uwagę tej samej grupy widzów. Podobnie jest ze świetnie przyjętym „Sandmanem” Netflixu wiernie adaptującym komiksy Neila Gaimana, jednego z najpopularniejszych dziś pisarzy gatunku. Ale wszyscy wiedzą, że prawdziwy pojedynek gigantów rozegra się między Prime Video i HBO Max, gdy o widzów i uwagę w masowej wyobraźni rywalizować będą „Pierścienie Władzy” i „Ród smoka”.

NERDY DOROSŁY

Gdy w 2011 roku na ekrany telewizorów wchodziła „Gra o tron”, część recenzentów zachwalała serial jako „fantasy dla ludzi, którzy nie lubią fantasy”. Pisali, że liczą się polityka, spiski, wielowymiarowi bohaterowie i te wszystkie nieoczekiwane zwroty akcji. Ale wiemy przecież, że równie mocno, co intrzygi Littlefingera i błyskotliwe monologi Tyriona, pokochaliśmy zionące ogniem smoki, zmieniających twarze jak rękawiczki magicznych zabójców i lodowe zombi. Niektórzy potrzebowali na to więcej czasu niż inni, ale „Gra o tron” pomogła uplasować fantastykę w mainstreamie już nie tylko literackim, lecz też filmowym.

– „Gra o tron” odniosła sukces, bo wstrzeliła się w idealny moment. Dorosły nerdy. Ludzie, którzy wychowali się na fantastyce, zyskali siłę ekonomiczną. A ponieważ 90 proc. dzieciaków dorastających w latach 80. i 90. wychowywało się na fan-

tastyce, to przestała ona być niszą – mówił „Wyborczej” Tomasz Bagiński, producent serialowej adaptacji sagi o Wiedźminie Andrzeja Sapkowskiego.

Początkowo serialową „Grą o tron” interesowała się grupka fanów gatunku czy uczonych w piśmie miłośników prozy George’a R.R. Martina. Ale z każdym kolejnym sezonem widownia rosła, aż po kilku latach serial HBO stał się największym telewizyjnym przedsięwzięciem w historii.

Po „Grze o tron” każdy serwis chciał mieć swój wielki hit fantasy. Łącznie z HBO, które jeszcze przed rozczarującym finałem 8. sezonu zleciło kilka spin-offów, czyli rozgrywających się w tym samym świecie produkcji niezwiązanych z główną osią fabuły. Jeden z nich miał kilka tysięcy lat przed wydarzeniami z „Gry o tron”, a w głównej roli wystąpić miała Naomi Watts, ulubienica Davida Lyncha. Po nakręceniu pilota HBO zdecydowało się jednak anulować projekt, a produkcji kolejnych dać nieco więcej czasu.

George R.R. Martin, geniusz stojący za stworzeniem świata Westeros i jego barwnej historii, pisał jednak na swoim blogu, że pozostałe projekty wciąż są w grze. Wśród nich m.in. serial „Ten Thousand Ships” o podboju Dorne przez księżniczkę Nymerię i jej flotę, którą po przyplynięciu na południowy półwysep Westeros kazała spalić, by odebrać sobie i swojej armii opcję odwrotu. Kit Harington, aktor w „Grze o tron” wcielający się w Jona Snowa, również miał pomysł na spin-off kontynuujący historię jego bohatera. Inny z kolei koncentrować ma się na postaci Lorda Corlysa Velaryona, odkrywcy i żeglارza zwanego Wężem Morskim. I tak się składa, że również jednego z najważniejszych bohaterów „Rodu smoka” – spin-offu, któremu najszybciej udało się zaistnieć.

170 LAT PRZED NARODZINAMI DAENERYS TARGARYEN

– Gdy poznajemy go w tym serialu, Lord Corlys Velaryon jest najbogatszym człowiekiem w Westeros. Sławy i bogactwa dorobił się, gdy był jeszcze młodym człowiekiem, podczas dziewięciu legendarnych wypraw morskich – opowiadał nam grający go Steve Toussaint podczas uroczystej europejskiej premiery „Rodu smoka” w Amsterdamie.

– Jest mężem księżniczki Rhaenys Targaryen, kuzynki króla zwanej też Niedoszlą Królową, bo przed laty, gdy lordowie i stary monarcha wybierali następców tronu, to ona miała do niego największe prawo. Ale zamiast niej wybrano jej młodszego kuzyna, Viserysa Targaryena, tylko dlatego, że był mężczyzną – mówi Toussaint, wprowadzając nas w fabułę nowego serialu.

Akcja „Rodu smoka” dzieje się 170 lat przed narodzinami Daenerys Targaryen i opowiada o wojnie domowej, która wybuchła wówczas między jej przodkami. Ale nim do wojny dojdzie, czeka nas mnóstwo spisków, ciekłych dialogów przy słodkim winie i tego wszystkiego, co pokochali fani „Gry o tron”, nim jej twórcy niemal zniweczyli cały swój dotychczasowy sukces okropnym finałem.

Pierwszy odcinek „Rodu smoka” w ciągu godziny wprowadza mnóstwo zupełnie nieznanych bohaterów, zarysowuje łączące ich relacje i dzielące konflikty, kładzie podwaliny pod intrygującą (bo pełną intryg) fabułę, a na dodatek pokazuje dość przemocy, seksu i smoków, by przykuć do ekranu i tych mniej cierpliwych widzów. I nic z tego nie udałoby się, gdyby nie „Gra o tron”. Poprzedni serial nie tylko przyzwyczaił nas do świata przedstawionego, ale też oswoił z obecnością elementów baśniowych na ekranie. Wcześniej trzeba by mnóstwo scen ekspozycji, by pokazać choćby, czym są smoki, kto i dlaczego może je kontrolować, na jakim poziomie stoi rozwój medycyny czy jak wygląda geografia Westeros. W pilocie „Rodu smoka” nic z tego nie ma, bo i nie jest potrzebne. Kto oglądał „Grę o tron”, ten pamięta, a oglądali ją przecież wszyscy.

TOLKIEN WEDŁUG TARANTINO

Trudno też znaleźć widza, który nie zektnął się choćby z fragmentem serialu czy filmów Petera Jacksona o Władcy Pierścieni. Te ostatnie 15 lutego tego roku obchodziły dwudziestolecie premiery. Tytaniczne przedsięwzięcie kręcenia trzech filmów jednocześnie w nieprzygotowanych na to studiach Nowej Zelandii, przez reżysera bez nazwiska i doświadczenia, w dodatku z niemal całkowicie nieznaną obsadą.

Wcielający się w główną rolę Elijah Wood był aktorem dziecięcym, bez większego doświadczenia. Kilka miesięcy temu wspominał w podcaście Armchair Expert, że Peter Jackson próbował tworzyć „Władcę Pierścieni” w należącem do Harveya

Weinsteina studiu Miramax, bo pod koniec lat 90. to oni mieli prawa do adaptacji książki Tolkiena. Ale Weinstein upierał się, że nie ma szans na zrobienie nawet dwóch filmów – całą fabułę kazał Jacksonowi ścisnąć w jednym. Groził też ponoć, że zwolni go i zastąpi Quentinem Tarantino!

Jackson ostatecznie wyblagał Weinsteina, by zgodził się odsprzedać prawa komu innemu, jeśli reżyserowi udałoby się znaleźć wytwórnę chętną do wyprodukowania dwóch filmów jednocześnie. Producent się zgodził, ale postawił warunek – na dopięcie ewentualnej umowy Jackson miał zaledwie weekend. Większość producentów podzielała zdanie Weinsteina i nie widziała szans na zysk w ekranizacji książki fantasy.

Ale Bob Shaye z wytwórni New Line Cinema był pomysłem Jacksona tak oczarowany, że zgodził się z miejsca, a wręcz kazał mu stworzyć nie dwa, ale trzy filmy. Weinstein zarobił 5 proc. zysków, ale też oberwało mu się nawet na planie – jeden z paskudniej wyglądających orków z „Powrotu króla” jest wzorowany na jego podobiznie. Jak skończyła się ta afera z ekranizacją, wiemy wszyscy: ponad 3 mld dol. zysku i 17 Oscarów, w tym rekordowe 11 dla „Powrotu króla”.

CATE BLANCHETT ZA BRZYDKA NA ELFA

Dobrze pamiętam ekscytację, z jaką szedłem do warszawskiego kina Atlantic na „Drużynę Pierścienia”. Wraz z grupą znajomych byliśmy równie ciekawi, co pełni obaw, bo fora internetowe kipiały złością na Jacksona za zmiany wobec książki Tolkiena.

Tak jak teraz „fani” narzekają, że w „Pierścieniach Władzy” grają ciemnoskórzy aktorzy, tak w 2001 roku marudzili oni np., że Cate Blanchett jest za brzydka, by grać elfią królową Galadrielę. Ba, pewien użytkownik forum thetolkienforum.com pisał, że jako chrześcijanin widzi analogię filmu Jacksona (którego jeszcze nie widział) do obrazoburczego „Ostatniego kuszenia Chrystusa” Martina Scorsese, bo Scorsese i Jackson obsadzili paskudnych aktorów do grania pięknych postaci, jak Jezus, Elrond i Galadriela.

Nie było końca narzekaniom, że Jackson wyciął z filmu wątek Toma Bombadila, a występującego w jednej scenie elfa Glorfindela zastąpił Arweną. Narzekań na Arwenę w ogóle było mnóstwo. A to, że skoro aktorka Liv Tyler chce zostać bohaterką kina akcji, Jackson powinien obsadzić ją w roli Eowiny, a nie Arweny, bo ta w książkach po prostu „siedziała i ładnie wyglądała”. Psy wieszano na Jacksonie też za danie jej do ręki miecza i wsadzenie na koń – kto to widział, by elfia kobieta walczyła! Szybko szyderstwo przerodziło się w pseudonim XenArwen – przyrównujący ukochaną

Aragorna do bohaterki serialu „Xena: wojownicza księżniczka”.

Dwie dekady później historia zatacza koło, bo ten sam sarkastyczny dowcip stosują fani broniący spuścizny Tolkiena przed „chciwymi i politycznie poprawnymi miernotami” z Amazona. Tym razem z Xeną nie porównują jednak Arweny, ale jej babkę Galadrielę – tę samą, w którą we „Władcy Pierścieni” wcieliła się „zbyt mało ładna” Cate Blanchett.

PRZEKRĘT SAURONĄ

Historia „Pierścieni Władzy” osadzona jest w tzw. Drugiej Erze Śródziemia – tysiące lat przed wydarzeniami z „Władcy Pierścieni”. Główna oś fabuły kręcić ma się wokół knującego swój wielki przekręt Saurona, który pod przybraną postacią zaoferować ma tytułowe Pierścienie Władzy przywódcom elfów, krasnoludów i ludzi, a następnie zdominować ich z pomocą wykonanego dla siebie Jedynego Pierścienia – tego samego, który wiele lat później wyląduje na palcu Golluma oraz Bilba i Froda Bagginsów.

Zwiastuny „Pierścieni Władzy” pokazują Galadrielę (graną tym razem przez świetną walijską aktorkę Morfydd Clark) noszącą pancerz i walczącą mieczem – coś, co zdaniem fanów kompletnie do tej postaci nie pasuje. Stąd wracające jak bumerang, szydercze przyrównanie do Xeny. Ta zmiana nie przeszkadza jednak znanym tolkienologom. Z większym i mniej-szym optymizmem o swoich oczekiwaniach mówili m.in. Clifford Broadway z serwisu TheOneRing, podcaster Corey Olsen – znany jako The Tolkien Professor, czy mediewista Tom Shippey, który jest bodaj najwybitniejszym żyjącym badaczem prac Tolkiena.

Ten ostatni współpracował zresztą ze scenarzystami serialu jako konsultant, ale został zwolniony za złamanie klauzuli poufności podczas spontanicznego wywiadu z niemieckimi fanami. Dla krytyków serialu był to oczywiście jasny sygnał, że Shippey był dla Amazona niewygodny, nie zgadzał się z ich wizją i celowo naraził się na zwolnienie i ewentualne kary finansowe, by utrzyć im nosa. Tyle w tej teorii sensu, co w ocenianiu serialu przed jego obejrzeniem, ale w internecie teraz jak 20 lat temu liczą się emocje i szybkie wyroki.

ZA CZARNY NA BAJKĘ

Te padały też pod adresem „Rodu smoka” – dostało się zwłaszcza cytowanemu powyżej aktorowi Steve’owi Toussaintowi, który zdaniem niektórych nie może jako czarny Brytyjczyk grać postaci, którą ktoś wyobrażał sobie jako białą...

Gdy zapytałem o to Toussainta, opowiadał, że gdy w dzieciństwie oglądał z kolegami filmy i seriale science fiction z wyłącznie białą obsadą, żartowali, że skoro przyszłość wygląda tak białą, to ich czekać musi straszny los. „Co oni nam zrobią, co dla nas planują?!” – panikowali w żartach, lecz potem nachodziła ich gorzka refleksja, że skoro ludzi podobnych do nich nie ma na ekranie, może oni sami nie zasługują, by być widzami?

– Nawet na planie podchodzili do mnie ciemnoskórzy statyści, mówiąc, jak ważne jest dla nich, że widzą moją postać, nie niewolnika czy żebraka, ale lorda zasiadającego z królem przy jednym stole. Dla nich to ważne, bo serial obejrzą też ich dzieci, które nie będą musiały już myśleć, że nie zasłużyły, by być widzami – mówił aktor.

Sam Tolkien też zżymał się na rasistów, choćby w jednym z listów odpowiadając na określenie jego Śródziemia jako duchowej spuścizny nordyckich mitów. „Tylko nie nordyckich, proszę! Personalnie nie lubię tego słowa, bo przez francuską etymologię jest skojarzone z rasistowskimi teoriami” – pisał.

ILE KOSZTUJE HOBBIT?

Ale omijając jawnie rasistowskie komentarze mówiące, jakiego koloru skóry mogą być potomkowie Valyrian w „Rodzie smoka” czy elfy i krasnoludy w „Pierścieniach Władzy”, największą wątpliwość przy tym ostatnim budzi kwestia praw do adaptacji dzieł Tolkiena. Ta zawiła historia w uproszczeniu prezentuje się tak: w latach 60. Tolkien sam sprzedął prawa do adaptacji „Władcy Pierścieni” i „Hobbita” wytwórni United Artists, która w 1976 roku odsprzedała je producentowi Saulowi Zaentzowi. Ten w 1978 roku stworzył animowanego „Władcę Pierścieni” w reżyserii Ralpha Bakshiego, ale praw on i jego firma nie pozbyli się nigdy. Dzierżawili je tylko studiom, które planowały nakręcić swoje wersje. Tak w latach 90. trafiły one wpierw do Weinsteina i Miramaxu, a potem New Line Cinema i ich właścicieli z Warner Bros. I wciąż do nich należą, a raczej są dzierżawione od spółki Zaentz Co. Gdzie w tym wszystkim Amazon?

Okazuje się, że Tolkien ani jego spadkobiercy nigdy nie sprzedali praw do serialu dłuższego niż 8 odcinków, jedynie na filmy. Gdy w 2017 roku, jeszcze za życia Christophera, syna pisarza i przewodniczącego Tolkien Estate, pojawiła się oferta kupna praw do serialu, w kolejce ustawili się Netflix, HBO i Amazon, ale tylko ci ostatni mogli wyciągnąć z portfela 250 mln dol. za bardzo ograniczone prawa.

Ograniczone, bo nie obejmują książki Tolkiena takich jak „Silmarillion” czy „Niedokończone opowieści”, lecz jedynie „Władcę Pierścieni” i dodatki pisane na jego marginesie. Zdaniem fanów to zdecydowanie zbyt mało, by stworzyć serial o Drugiej Erze. Ale jest jeszcze jedna umowa – członkowie Tolkien Estate biorą udział w produkcji, a twórcy mogą doraźnie prosić o wykorzystanie w adaptacji scen i postaci z książek, których licencja nie obejmuje. Wiadomo np., że w serialu pojawiają się opisane w „Silmarillionie” fragmenty z Pierwszej Ery, do których Amazon inaczej niż po prośbie praw by nie zdobył.

Fani, którzy lepiej od twórców i ich spadkobierców wiedzą, co wypada, a co nie, to jeden z odcieni gatekeepingu – zjawiska, w którym członkowie jakiejś niszy robią wszystko, by tylko ich hobby nie stało się zbyt popularne, bo przez to straci na domniemanej elitarności. Zamiast zachwycać się, jak na ekranie smoki palą strzechy, będą narzekać, że pod nie trafiły. ●

• **Kadr z serialu „Pierścienie władzy”**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



CO MNIE URZEKŁO?

Biblia z PKP

Potęga tej Księgi tak mnie zawładnęła, że po powrocie znad morza nie tknąłem już przygód Tomka

ANDRZEJ GOWORSKI

K

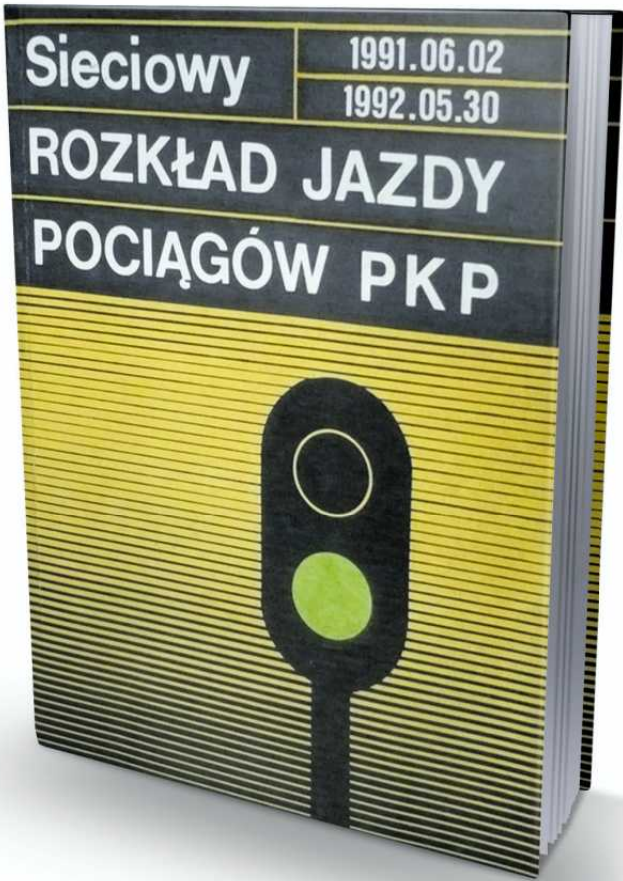
Księga. Urzekła mnie i uwiodła zarazem, bo najpierw zagadła, a później poprowadziła. Dostała się w moje ręce w okolicznościach dość prozaicznych, choć w tym przypadku trudno o inne. Był niełatwy dla wielu 1992 r., wiosna, pewnie koniec kwietnia. Niestety nie pamiętam miasta. Mógł to być mój rodzinny Bielski Podlaski lub mniejsza, „czerwona” Hajnówka, gdzie od zawsze działała placówka Orbisu i tam jeździliśmy kupować bilety z miejscówkami. Ale w początkach lat 90. i w Bielsku na rok, dwa pojawił się taki Orbis. Szybko zniknął, bo weszły komputery i na stacji można już było kupić każdy bilet.

...

Więc nie kojarzę miasta, za to widzę samo pomieszczenie. Matka wisi nad telefonującą specjalistką do sprzedaży biletów krajowych, czeka aktywnie, czy będzie dla nas miejsce, można by rzec, robi pressing, a ja dostrzegam właśnie Księgę. Stoi za szybą. Wielkie, opasłe tomiszcze z wrysowanym na okładce sygnalizatorem kolejowym i poziomymi pasami, budującymi perspektywę, nasuwającymi skojarzenia z dalami, oraz napisem: „Sieciowy rozkład jazdy pociągów PKP. 1991.06.02 / 1992.05.30”. Między nią a szybą wstawiono karteczkę z wypisaną odręcznie ceną. Była wyższa od naszych biletów z miejscówkami, ale matka, zwłaszcza matka, która samotnie wychowuje jedynaka, umie czytać w jego spojrzeniu. A poza tym, mimo że czasy były trudne, my płynęliśmy na fali; matka w bielskim laboratorium prowadziła firemkę, szukała lamblii w kale i gdy miała dobry humor, powtarzała: „gówno robię, mam pieniądze”. Więc po chwili Księga była już moja. A z nią całe imaginarium, które na lata zajęło moją wyobraźnię.

...

Dziś, kiedy nad tym się zastanawiam, myślę, że Księga była dla mnie kwintesencją tego, czym może być symbol w życiu człowieka. Jesteś oto dwunastolatkiem na wersalce, takiej ze sprężynami,



okrytej kapą z frędzelkiem, trzymasz w rękach coś wielkiego i nieporęcznego, gapisz się w wypisane tam rzędy, słupki, wszystko na czarno, na szarawym tle, a myślami jesteś w Lesznie, na dworcu. Zastanawiasz się, jak mogą wyglądać tam poczekalnia albo kasy, i kiedy już jako trzydziestolatek widzisz to w realu, a potem za stacją dostrzegasz pomnik szybowca, to nagle jesteś w dwóch światach naraz. Znow na tej wersalce w domu dzieciństwa, a przy tym siedzisz na fotelu z napisem PKP i nosem wodzisz po chłodnej szybie.

Księga miała moc bilokacji, odśloniła mi wielki świat, porządkując go i oswajając na swój sposób. Rzecz jasna nie pomyślałem tak, otwierając ją już na spokojnie w domu; myśl ta zakiełkowała mi w głowie dopiero po wielu latach. Pierwsze, co dostrzegłem wtedy, to grubo ponad tysiąc tabel z kolumnami wypełnionymi godzinami przyjazdów i odjazdów pociągów. Kartkowałem ją jak Biblię, przy czym z Biblią, oprócz gabarytów, łączył ją również taki sam papier i w starszych jeszcze rozkładach, np. z roku 1985, w stopce stoi wprost: „Papier biblijny rola 84 cm”. Czasami puszczałem stronicę kciukiem, tak aby fryga-

ły, tworzyły się chaotyczne animacje z tych tabel i rzadko tylko, na początku i końcu, przelatywały passusy zapisane tekstem, jak w normalnej książce.

...

Już pierwszego dnia policzyłem, ile minut potrwa nasza podróż do Krakowa, i poszukałem, korzystając z prostego schematu połączeń, alternatywnych dróg i pociągów. Przed zaśnięciem przyszło mi do głowy, że można przecież obliczyć średnią prędkość, ale tu napotkałem problem. Prędkość podróży bez przerw na przesiadki i oczekiwanie czy całosci, od wyjazdu do przyjazdu? Do późna w nocy sumowałem kilometry i dzieliłem to przez minuty. Zadziwiły mnie niskie wartości i dziś kołaczę mi się w głowie, że pośpieszne na trasie Białystok–Warszawa jeździły ze średnią prędkością 70 km na godzinę, a ekspresy z Warszawy do Krakowa bodaj dziewięćdziesięciu kilku, zaś cała podróż z oczekiwaniami przebiegałaby z prędkością ledwie 50 km na godzinę. Lubiłem rekordy, choć niechętnie wdawałem się w rywalizację, i tu znalazłem pole do popisu. Liczyłem, która trasa jest w Polsce najszybsza (Warszawa–Poznań), która najdłuższa (licząc bodaj 1050 km trasa Przemyśl–Świnoujście). Do-

wiedziałem się też, że przewóz samochodu na ławecie z Gdyni do Krakowa kosztuje ok. 200 tys. zł. Spędzałem z Księgą godziny i na takich odkryciach mijały mi tygodnie.

...

Latem mieliśmy w zwyczaju jeździć na Półwysep Helski i za sprawą Księgi kolejna podróż nie była już taka jak wcześniej. „Włóczęga północy”, jak nieformalnie zwano pociąg Białystok (Suwałki)–Szczecin, ruszał wieczorem i około czwartej rano przyjeżdżał do Gdyni. W przedziale nie spałem całą noc i sprawdzałem, jak wygląda trasa do Elku, której prędkość i kilometrą miałem w pamięci. Tu dodam, że mój rozkład był już wtedy nieaktualny, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Faktycznie niewiele się zmieniał, pojawił się gdzieś nowy pociąg lokalny, jakiś skasowano, przesunięto odjazd, ale czasy podróży pozostawały bez zmian. Rozważałem zatem, dlaczego przez Mikołajki i Orzysz jedziemy wolniej, co jest w Morągu i Palsku, że znow zwalniam, i jasne było, że od Tczewa będzie lepsza trasa; Pomorze zawsze kojarzyło mi się z czymś zindustrializowanym. Później mieliśmy przesiadkę w Gdyni i jeszcze jedną, w Redzie. Tam, stojąc twarzą do peronów, a plecami do dworca, widzisz zalesione wzgórza ze sporą łachą piana, na której rozbłyskuje poranne słońce. Nawet dziś, gdy myślę o tym detalu ojczystego krajobrazu, czuję niewytłumaczalne wzruszenie i wiem, że zadziałała tu potęga Księgi. A takich miejsc pamiętam więcej.

...

Księga, jak każdy pasożyt, rozrastała się, dominowała, zawładnęła swojego wyznawcę i po powrocie znad morza nie tknąłem już przygód Tomka, nie ciekawiło mnie, kim jest dumny człek herbu Abdank. Czytałem tylko ją. Jeśli aura pozwalała, siadałem w otwartym oknie, uważając, żeby kółeczko na haczyk (skrzydła i dziś zamykają się tam na haczyki) nie wbiło mi się w tyłek, i odjeżdżałem. Wtedy też odkryłem dla siebie infografiki przy nazwach stacji w tabelach. Znak koperty, czyli poczty, jakoś mnie nie interesował, ale chętnie sprawdzałem, która miejscowość ma kieliszek, a więc bar na stacji, a która skrzyżowane sztucce i w realu czynną całą dobę restaurację.

Wiele lat później właśnie dlatego wysiadłem w Inowrocławiu, bo wiedziałem, że nawet o drugiej w nocy będę mógł tam zjeść zupę. Nie mogłem jednak wiedzieć, że sokiści, formalnie – Straż Ochro-

ny Kolei, będą szukać okazji, żeby kogoś w tym barze sprowokować. Wracając jednak do tamtego lata, gdy Księga zaczęła we mnie żyć własnym życiem, odkryłem również pociągi międzynarodowe i zamarzyłem o kuszetkach, sypialnych i kontrolach paszportów, przeprowadzanych wprost w coupé, w którym jest mała łazienka i szafka.

Jesienią z Księgą chadzałem do szkoły i rano, przed lekcjami, sprawdzałem, gdzie najdalej zawiezie mnie pociąg z Białegostoku, a gdzie z Warszawy. Krajowy przewoźnik realizował wtedy połączenie nie tylko z Moskwą, Berlinem i Pragą, ale i Paryżem, Amsterdamem, a nawet Niceą. Oczywiście prześledziłem je wszystkie, obliczyłem, co trzeba, zapisując wyniki ołówkiem na marginesie.

Kartki wylatywały, łatwo się przedzierały, zwłaszcza w plecaku, gdy już jako licealista na trzkański Kozi Wierch wchodziłem w kalesonach. I z takich samych pobudek, dla żartów, kpiny z tego, co jest, w schronisku wyciągałem i ją, Księgę. Pojechała ze mną jeszcze w podróż, kiedy zdawałem egzaminy na studia do Szczecina i Poznania. Ale niebawem porzuciłem pociągi na rzecz wojaży autostopem i ostatecznie Księga została w starym domu, w Bielsku Podlaskim. A tam babcią z matką musiały długo się jej przyglądać. Obie miały dużo czułości dla przedmiotów, które kiedyś były dla mnie drogie. Choć bez okładki, poklejona, ostatecznie rozpadła na dwie, a później trzy części, kusila je swym pragmatyzmem. Strona po stronie panie Goworskie brały „Sieciowy rozkład jazdy pociągów PKP” do rozpalać ognia. W końcu biblijny papier niestety służył do robienia skrętów z tytoniu, więc czemu nie wykorzystać go do rozpalki pieców kaflowych, które – jak pisał Białoszewski – podobne są do bram triumfalnych. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub cokolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

Bezcennie zwiewna Afrodyta

Te wystawy nie mają ze sobą nic wspólnego, a ci artyści – może tylko to, że obaj byli ludźmi, twórcami biegunowo różnymi.

Jarosław Mikołajewski

Obydwa obchodzą też własnie rocznice. Antonio Canova (1757-1822) – urodzin, Bruno Schulz (1892-1942) – urodzin i śmierci.

Żeby obejrzeć Canovę, skierowałem się w drodze na włoskie wakacje do rodzinnego Treviso (urodził się dokładnie w podtreviszańskim Possagno), gdzie miasto urządziło swojemu „Zaszczytowi” (jak piszą) dużą wystawę w Museo Luigi Bailo. Warto, naprawdę, choć znakomita większość wystawionych rzeźb to nie marmury, lecz gipsy, a Canovę może najlepiej oglądać w Rzymie, w galeriach i kościołach, a nawet w kawiarni Tadolinich, które pokazują tę najjaśniejszą, najbardziej wysublimowaną stronę człowieka, jego natchnienia, formy i powołania.

Znakomitą wartością tej wystawy jest wielość, która sprawia, że przypatrując się szczegółom, zwiędzający odnosi wrażenie kąpieli w morzu białej wody, jak piana Morza Jońskiego. Takiej, która prawie zaciera kontury poszczególnych dzieł.

Postaciami Canovy są figury mistyczne, alegoryczne, portrety starożytnych – wszystkie ujęte w chwili największego patosu, ale również liryzmu. Bezcennie zwiewna i delikatna jest Afrodyta (Wenus), która wyszła z morza i skrywa się przed wzrokiem podglądaczy i zwykłych, niechcianych świadków. Poraża śpiącym pięknem Endymion, poddający zmysłowej kontemplacji brzuch, ramiona, skąpo osłonięte ciało, które artysta oddaje w całym krajobrazie wklęsłości i pagórków mięśni. Jakże zasmucone, melancholijne są panny żałobne na płaskorzeźbach wkomponowanych w nagrobki, opierające czoła o postumenty lub ocierające łzy własną szatą.

Wyjątkowo dramatyczne przedstawienia są dwa. Umierający koń, w drastycznym upadku, oglądający się za sobą jak w ludzkim filmie z minionego życia. I Maria Magdalena z oderwaną ręką, w płaczu, który przeobraża jej twarz w twarz mężczyzny.

Że upodobania zmieniają się z wiekiem, dowiadu-

ję się między innymi z własnego stosunku do trevisańskiego mistrza, którego kiedyś uważałem za zwyczajnie nudnego, a teraz – za cudownie melancholijnego. Jak Canova, tak na pełny rozkwit urody, chłopięcej czy panieńskiej, mógłby patrzeć przemijający doktor Aschenbach ze „Śmierci w Wenecji”, kontemplujący anielskiego Tadzia.

Jeśli sztuka Canovy rodzi się z fascynacji harmonią, prace Brunona Schulza rodzi dramatyczna obsesja miłości i pożądania. Oglądam je w Kordegardzie na Krakowskim Przedmieściu 15/17, w niepokojąco trafnym wyborze (głównie z „Xięgi bałwochwalczej”) kuratorki Katarzyny Haber.

Nicią przewodnią Schulzowego cyklu i jego przedłużenia o Lucasa Cranacha Starszego jest nagość. W tej pierwszej części – zmysł poniżenia i stopy. Bycia kobiecym podnóżkiem, samoupokorzenia za pomocą i pośrednictwem upokorzenia przez kobietę czy dziewczynę. To ona, wydaje się, że na jego życzenie, knebluje bosą stopą rozłożonego mężczyznę. To ona wystawia się na jego poniżenie, poddając mu jedną stopę do całowania, drugą opierając na jego barku. Jak na „Zazdrości” Edwarda Muncha męż-

czynna o rysach samego Schulza patrzy przerażonym, zdemaszkowanym wzrokiem, podczas gdy za nim tancerki świdrują i zawirowują nogami przestrzeń. Stóp całowanie, pełzanie, stopobranie na kształt archeologa, który zobaczył właśnie w ziemi kuszący skarb Montezumy... Końskie demony pochylone nad nagą pupą i krocem, z erotycznej fantazji, gdzie to, co kochane i osobiste, wchodzi w podniecającą grę z własną zwierzęcością. Portret pary na spacerze, na którym własna niskość szydzi z siebie w zestawieniu z postawnością partnerki... Doprawdy, trzeba być odważnym, żeby ujawnić tak skrycie hołubione koszmary, pełniące funkcję najśłodsze snu.

Myśląc o stopach Schulza, wracam nad katalogiem do stóp Antonia Canovy. Wieńczące muskularne łydki gladiatorów i atletów, twarde stawiane u mężczyzn, zawieszane w powietrzu u kobiet jak chorągiewki, podane są nie do ląknienia, lecz do onieśmielającego podziwu. Dobrze wiedzieć, że ten nasz plastyczny, dynamiczny element, podstawa naszego ciała, nie tylko spełnia funkcję z dziedziny fizyki, lecz także marzenia i zachwyty. ●



• Antonio Canova, „Kąpiel Wenus”

FOT. EAST NEWS

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki Jakuba
Szymczaka „Ja łebków
nie dawałem. Procesy przed
Żydowskim Sądem Społecznym”



II wojnę światową przetrwało w Polsce ledwie kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Zaraz po zakończeniu wojny rozpoczął działalność Sąd Społeczny przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce. Był to sąd niezwykle – nie mógł skazać na więzienie ani grzywnę, mógł potępić, wydalić ze społeczności żydowskiej. Wyroki nie dotyczyły przestępstw, lecz spraw zasadniczych, dobra i zła, granicy walki o przetrwanie.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Jakuba Szymczaka „Ja łebków nie dawałem. Procesy przed Żydowskim Sądem Społecznym” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

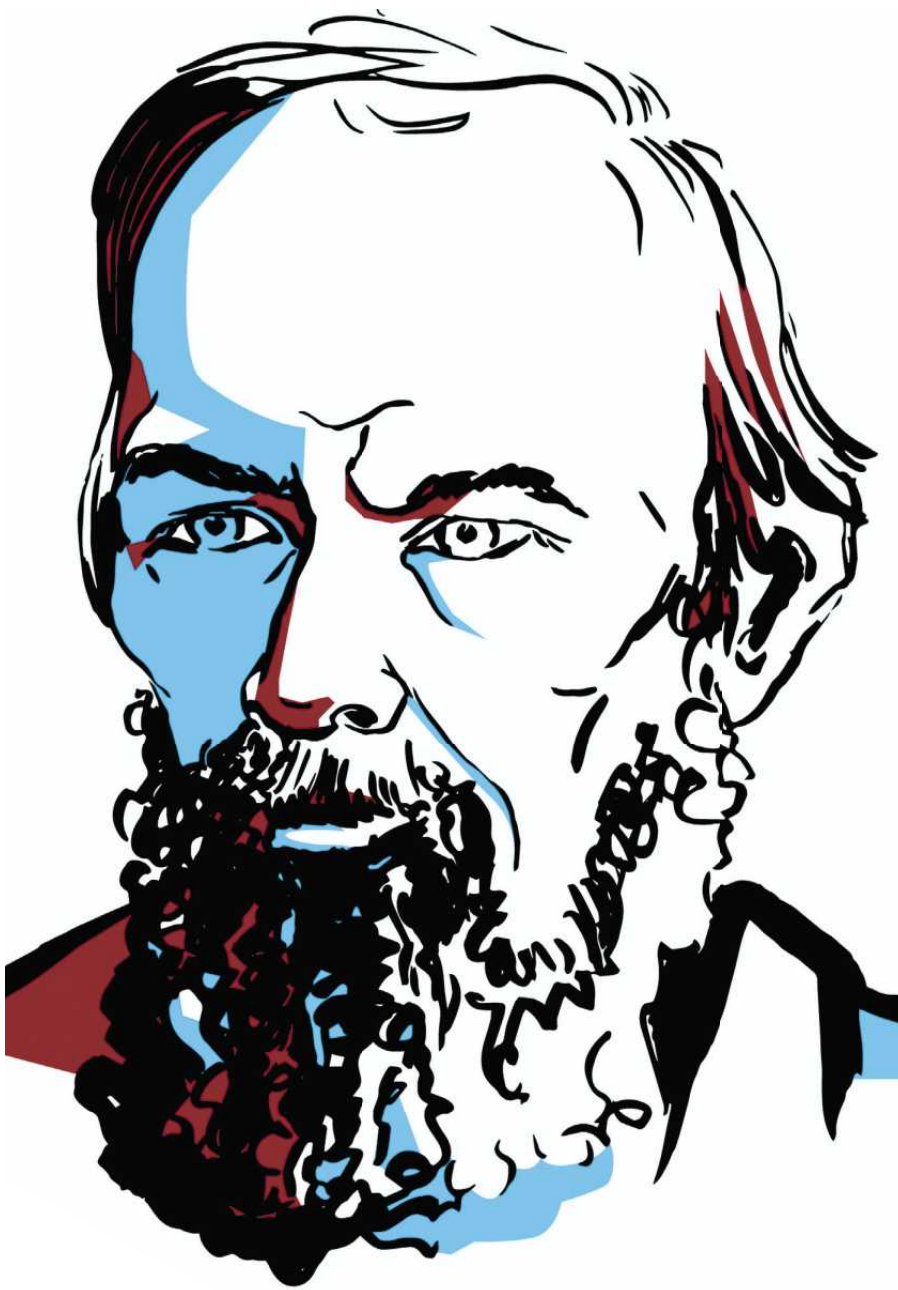
JSNDP22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931



CO BY W BUCZY ZROBIŁ STAWROGIN?

**Dostojewski odpowiedzialny
za działalność biesów?**
Tak. Ale nie za Gułag i Kołymę

Grzegorz Przebinda*

Dwa, jak wiadomo, fundamentalne pytania rosyjskiej inteligencji, wywodzące się jeszcze z połowy XIX w., brzmią dziś szczególnie ostro i aktualnie: „Kto winien?” i „Co robić?”.

Pierwsze z nich to źródłowo tytuł powieści Aleksandra Hercena z 1846 r., stawiającego sobie i rodakom dramatyczne pytanie o przyczyny archaicznego despotyzmu w Rosji Mikołaja I. A i dzisiejsi Rosjanie – ci oczywiście, którzy obecną wojnę Rosji przeciw Ukrainie uznają za jedną z największych katastrof geopolitycznych XXI w. – zadają sobie pytanie, czy jest efektem imperialnej konieczności dziejowej, czy raczej wynikiem ze zbrodniczego woluntaryzmu śmiertelnie chorego na imperium człowieka.

Drugie pytanie, „Co robić?”, to oczywiście tytuł powieści z 1862 r. Nikołaja Czernyszewskiego, bardzo notabene przez Ukraińców do dziś szanowanego za zrozumienie dla ich narodowej odrębności. Dziś w Polsce i Ukrainie lubi się jednak przypominać i jednocześnie potępiać innych rosyjskich twórców na czele z Fiodorem Dostojewskim i Lwem Tolstojem.

Jakiś czas temu opublikowałem w „Wyborczej” artykuł „Znam coraz więcej uczciwych Rosjan”, gdzie wyraziłem przekonanie, którego nie wyprę się nigdy: „Za Buczę i Mariupol nie są odpowiedzialni Dostojewski ani Tolstoj. Ani sprawiedliwi Rosjanie, którzy działają przeciw Putinowi nie od dziś. A i tak zbierają cięgi za to, że są Rosjanami”.

Prof. Andrzej de Lazari, z którym, mimo różnic poglądów, znam się 30 lat, podjął ze mną częściową, acz istotną polemikę:

„Także znam wielu uczciwych Rosjan, którzy chcą być Europejczykami, a nie brutalnymi Eurazjatami, toczącymi wojnę w imię mitycznego »rosyjskiego świata«, i wspieram Grzegorza, gdy tych uczciwych broni. Zgadzam się również z nim, że pacyfista Lew Tolstoj, nauczyciel Mahatmy Gandhiego, wykluczony z prawosławnej Cerkwi za swoje poglądy, w żadnej mierze nie jest odpowiedzialny za rosyjskie zbrodnie w Buczy i Mariupolu.

Nie zgadzam się natomiast, by winę za te zbrodnie zdejmować z Fiodora Dostojewskiego. Mówię tu, rzecz jasna, o pośredniej winie rosyjskiego ideologa skrajnego nacjonalizmu, a nie o winie autora »Zbrodni i kary«.

»Moralnym autorytetem dla Rosjan powinien stać się Fiodor Dostojewski, jego zaś światopogląd podstawą nowej ideologii kraju«. Takie wnioski oficjalne media wyciągnęły z osobistego udziału Putina w otwarciu Moskiewskiego Domu Dostojewskiego trzy miesiące przed najazdem na Ukrainę. Obecność Putina w tym muzeum miała być swoistą kontynuacją jego wystąpienia na plenarnej sesji Klubu »Waldaj«, w którym zarysował ideologię »zdrowego konserwatyzmu« dla Rosji”.

Oczywiście Dostojewski święty nie był – po wielokroć odnosiłem się krytycznie do skrajnego nacjonalizmu autora „Biesów”, zauważonego skądinąd już przez jego młodszego admiratora Władimira Solowjowa: „W żadnym wypadku nie możemy pochwalać napaści Dostojewskiego na »żydów«, Polaków, Francuzów i Niemców, na całą Europę, na wszystkie obce wyznania”.

Gdy w 1992 r. sam opublikowałem książkę o Solowjowie, stwierdziłem tam autorytatywnie: „Sam Dostojewski, jeśli wierzyć wspomnieniu jego współczesnego, wykazywał niekiedy wątpliwości co do moralnej oceny terroryzmu. My zaś możemy dodać, iż Dostojewski – jako chwalcza carskiego despotyzmu i imperializmu (w „Dzienniku pisarza”) – był w znacznie większym stopniu odpowiedzialny za działalność biesów aniżeli surowo przezeń osądzeni [liberalowie] Granowski i Turgieniew” („Włodzi-

mierz Solowjow wobec historii”). Dziś uściślę: „odpowiedzialny za działalność biesów” – tak! – ale konkretnie za Gułag i za Kołymę – absolutnie nie! Odpowiedzialność za wzmacnianie wielkorosyjskiego prawosławnego nacjonalizmu – tak! – ale konkretnie za Buczę – absolutnie nie!

Tym bardziej że Dostojewski jako pisarz i myśliciel to zjawisko po stokroć wielowymiarowe – pod wielkim wrażeniem jego twórczości pozostawał m.in. Karol Wojtyła, a i Czesław Miłosz zajmował się światem idei Dostojewskiego i nim samym wręcz przez całe życie, nigdy go zresztą do końca nie zgłębiając. Ponad 20 lat temu mówił Miłosz: „Pokusa silnego państwa rosyjskiego jest tak żywa dla umysłów Rosjan, że wydaje mi się, iż można sobie wyobrazić Dostojewskiego jako wyznawcę stalinizmu”. Jednak sześć lat wcześniej pisał w „Tygodniku Powszechnym”:

„Dostojewski stawiał (...) diagnozę, namiętną, bo dyktowaną przez miłość do Rosji, ale też ważną dla całej ludzkości w erze naukowego przełomu. Zapewne, trzeba było być Rosjaninem, żeby domyśleć do końca skutki obalenia duchowej hierarchii i zapytywać: »Jeśli nie ma Boga, to jaki ja kapitan?«. Niemniej i nierosyjscy czytelnicy mogli znaleźć u tych rezonerów własne myślowe niepokoje, jedynie zdumiewająco wyjaszkrawione. Wykładać Dostojewskiego, kiedy to, co zapowiedział, dokonało się na Solowkach, w Workucie i na Kołymie, w Oświęcimiu i Treblince. Może moi słuchacze nie chwyтали związku pomiędzy ideami i ich następstwami w praktyce, ale ja dostatecznie wiedziałem, że istnieje”.

Dostojewski występuje w tym ostatnim Miłoszowym fragmencie wyłącznie jako „prorok”, ostrzegający przed ludobójczymi totalitaryzmami, ale przecież nie ich propagator. Dziwię się, że takie potwornie uproszczone tezy budzą dziś ów wielki entuzjazm rzeszy polskich i ukraińskich przeciwników wojny Putina, mimo że ani o centymetr nie przybliżają one zrozumienia genezy tej zbrodniczej interwencji wojennej Rosji. Ze swej strony jestem dogłębnie przekonany, że akurat to, co wydarzyło się w Buczy, zostało już przez Dostojewskiego przedwstępnie potępione. Oto mój dowód, niechby i pośredni.

WTeatrze Nowym w Rydze odbyła się właśnie premiera spektaklu „Post Scriptum” w reżyserii Alvisa Hermanisa, z główną rolą Czulpan Chamatowej. Jest to pierwszy spektakl aktorki po tym, gdy porzuciła Rosję po serii swych antywojennych wypowiedzi. A oto ogólna treść tej nie tylko scenicznej historii.

Moskiewska nauczycielka Nadia – której prototypem była jedna z realnych kobiet, opisana niegdyś przez Annę Politkowską – czyta w swoim mieszkaniu wypracowania uczniów. Jest całkowicie samotna – syn i mąż zginęli jesienią 2010 r. w Teatrze na Dubrowce, podczas spektaklu „Nord-Ost”, przerwane atakiem terrorystycznym i potwornie nieudolną akcją służb specjalnych Rosji.

Jedno z uczniowskich wypracowań dotyczy głośnego rozdziału „U Tichona” z „Biesów” – w swoim czasie notabene zastrzymanego przez cenzurę carską – gdzie bohater powieści Nikołaj Stawrogin próbuje dokonać aktu ekspiacji wobec mnicha – za to, że zgwałcił wcześniej dziesięcioletnią dziewczynkę o imieniu Matrosza.

Aktorka Chamatowa też znajduje się na scenie zupełnie sama – gra bowiem zarówno nauczycielkę Nadię, jak i Stawrogina oraz mnicha Tichona. W momencie kulminacyjnym o. Tichon nabiera gorzkiego przekonania, że akt żalu i pokuta są dla Stawrogina absolutnie niemożliwe. I straszliwie go to przeraża.

Chamatowa interpretuje to tak, że Stawrogin i Tichon to dwa oblicza zarówno historycznej, jak i dzisiejszej Rosji: „Powiedzialem podczas prób Alvisowi, że groza, jaką odczuł Tichon, była efektem jego świadomości, iż Stawrogin nigdy się nie pokaja. I właśnie, by się nie pokajać, popełni przed

tym jeszcze cięższą zbrodnię. A Stawrogin – to Rosja. To ja tak powiedziałam, ale Alvis rozsądnie uważał, że Rosja to nie tylko Stawrogin. Tichon – to także Rosja. Stawrogin i Tichon to dwie składowe Rosji, w tym także i mnie – Czulpan Chamatowej”.

Fundamentalna pomyłka Dostojewskiego polegała oczywiście na tym, że Stawrogina uznawał on za „europejską narośl” na zdrowym ludowo-prawosławnym ciele Rosji. Jednak nawet i taki błąd nie może być powodem do przypisywania dziś Dostojewskiemu winy za zbrodnicze czyny żoldactwa rosyjskiego na przedmieściach i w okolicach Kijowa. Tym bardziej że oprawcy ani Dostojewskiego, ani nikogo innego w swym życiu dobrowolnie nie przeczytali. I nie jest bynajmniej przypadkiem, że uważny i utalentowany pisarz Ziemowit Szczerek, który niedawno odwiedził właśnie Buczę, poczynił tam również i taką bezcenną obserwację: „– Był taki jeden w Buczy – mówił wcześniej Leś, użhorodzki pisarz, który w Kijowie mieszka – co miał księgarnię. I całą okupację, kurwa, przeżył w spokoju, bo Ruscy do księgarni nawet nie weszli”.

Mój stary i dobry druh Andrzej de Lazari, obwiniając pośrednio o Buczę Dostojewskiego, z Tolstoja jako pacyfisty winę szczególnie zdejmuje. Inaczej natomiast uczyniła jakiś czas temu, też w „Wyborczej”, wybitna ukraińska pisarka Oksana Zabuzko, deklarując: „Jeśli zaakceptujesz tezę Tolstoja, gratulacje. Jesteś gotów na przybycie rosyjskich wojsk”. A co to za teza, dowiadujemy się pośrednio z akapitu po śródtytule „Kogo zmasakrował kochanek Anny Kareniny”:

„Wszyscy pamiętamy, że Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, ale mało kto, że jej zrozpaczony kochanek pojedzie walczyć na Kaukazie, czyli zafundować tamtejszym narodom to samo, co dziś oficerowie Putina Ukraińcom. Co zrozumiałe, czytelnik sympatyzuje z Wrońskim, a nie mimochodem wspomnianymi ludami kaukaskimi, z którymi idzie na wojnę. Owa optyka »wybiórczej empatii« jest integralną cechą rosyjskiego imperializmu, a co za tym idzie i literatury rosyjskiej, która zawsze była jego beneficjentem”.

A jednak warto, choćby i z niechęcią, przeczytać w miarę uważnie to, co się krytykuje. Nie mógł Aleksy Wroński wyjechać w 1876 r. na wojnę na Kaukaz, bo ten – a chodzi tu oczywiście o Kaukaz Północny z Czeczenią, Inguszetią i Dagestanem – był już przez Rosję podbity 20 lat wcześniej. Wiosną 1876 udał się on natomiast, jako ochotnik, na wojnę bułgarsko-turecką, która w latach 1877-78 przekształciła się w zwycięską batalię wojenną Rosji z coraz bardziej słabą i osamotnioną w Europie Turcją.

Późny Lew Tolstoj żadnej wojny już oczywiście nie popierał, utożsamianie go zatem z Wrońskim – a już szczególnie tym „udającym się na Kau-

kaz” – to dowód na socrealistyczne pojmowanie literatury, gdy pisarza odsądza się od czci i wiary za „nieproletariacką postawę” jego bohaterów. Tak potraktowano choćby zdolnego pisarza Jurija Olesę za obraz inteligenta Kawalerowa w powieści „Zawiść” (1927)...

Tolstojowi natomiast za jego pacyfizm podczas wojny 1877-78 czynił gorzkie wyrzuty w „Dzienniku pisarza” Dostojewski. Oczywiście sam był gorącym orędownikiem tej wojny Rosji z Turcją i apelował o wejście wojsk carskich do samej tureckiej stolicy. „Konstantynopol musi być nasz” – apelował w „Dzienniku...”. Jednak wojska carskie – mimo że przebywały już w czarnomorskiej osadzie San Stefano, dosłownie o rzut kamieniem od Stambułu (zwanego wtedy równoległe Konstantynopolem), a oficerowie rwali się, aby zawiesić dwugłowego orla na murach dawnego Carogrodu – otrzymały telegraficznie z Petersburga zakaz wkroczenia do stolicy Turcji. Stało się tak głównie za sprawą Anglii, która nie chciała nadmiernego osłabienia Turcji, tak że wejście wojsk carskich do jej stolicy uznalaby za casus belli z Rosją.

Ogólnie tamta wojna, nie licząc „wyrzutków” w stylu Tolstoja, cieszyła się ogromnym poparciem elit rosyjskich, w tym i całego społeczeństwa Rosji, na ile ono oczywiście istniało. Traktowano ją bowiem powszechnie jako zwycięski już ostatecznie finał walki o wolność dla narodów bałkańskich, dążących do wyzwolenia spod wielowiekowej zależności od Turcji.

Znamienne, że nawet taki znany aż do dziś myśliciel rosyjski Władimir Solowjow (1853-1900) rwał się wówczas na front do Rumunii, zaopatrzywszy się już na drogę w rewolwer. Ale wtedy to nie Rosja dokonywała zbrodni wojennych, ale Turcja – przeciwko której pojechał właśnie walczyć do Bułgarii kochanek śp. Anny Kareniny.

Potworne tureckie masakry podczas kwietniowego powstania w 1876 r. w Bułgarii wywołały zresztą ogólnoeuropejskie potępienie, dokładnie tak jak dziś „rosyjska Bucza”. Nieprzypadkowo bohater „Azazela” Akunina gazety z opisem „bestialstw baszybuzuków” w tym kraju nie uznaje za dobrą lekturę przedobiednią. Tureckie zbrodnie, w tym na dzieciach i na kobietach, będą niedługo kontynuowane w tureckiej Armenii.

Nie szukajmy zatem winowajców współczesnej Buczy aż w rosyjskiej literackiej klasyce XIX w. Nie przybliży nas to ani o milimetr do przykładowego ukarania prawdziwych oprawców.

Podoba mi się natomiast Francja, która już dawno wysłała pod Kijów do Buczy odpowiednich specjalistów. Ci zaś – miast cytować błędnie Tolstoja albo porównywać teksty Dostojewskiego z „Mein Kampf” Hitlera – przekopują w pocie czoła centymetr po centymetrze skrwawioną buczańską podkijowską ziemię, odkrywają w czaszkach zabitych otwory po strzałach z najbliższej odległości, badają DNA ofiar i sprawców... I katalogują to wszystko dla potrzeb – mam taką twardą nadzieję – nowej Norymbergi.

Oby trafił tam również – prócz oczywiście Władimira Putina, Siergieja Szojgu, Siergieja Ławrowa, Dmitrija Miedwiediewa, Margarity Simonjan i Marii Zacharowej – także i ten żołnierz rosyjski, który chwalił się pod koniec lutego (w rozmowie przechwyconej przez niemiecką federalną służbę wywiadu BND), że zabił właśnie w Buczy ukraińskiego rowerzystę w podeszłym wieku. ●

***Grzegorz Przebinda** – ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. Autor m.in. książki „Włodzimierz Sołowjow wobec historii”, Kraków 1992.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Żuraw, samolot, rakiety

24 maja radość wiosennego lasu w Starym Olsztynie,
pod kopułą chmur przemyka panteistyczny żuraw,
hieroglif przyrody, nad nim huk odrzutowca
w kierunku bałtyckiej Rosji, sto kilometrów i granica,
dla ruskich rakiet to nieduża odległość.

Polska to nie ptica ani zagranica.

Nigdy nie myślałem, że wyglądając lotu żurawia,
bać się będę przelotu rakiet, huku odrzutowców.

Ukraiński żołnierz trzyma blisko siebie synka,
który go piąstkami okłada po twarzy;
pożegnanie na dworcu z rodziną, która schroni się w Polsce.
Możliwe, że żołnierz bohater nie żyje.
Niemożliwe, ale Rosja morduje Ukrainę.

Rozmawiamy, jedząc lody na warmińskim rynku.

Mój 70-letni rówieśnik przyjął uchodźców z Charkowa:

„To, co opowiadają, nie mieści się w głowie,
gdyby nas zaatakował Putin, to wywożę rodzinę do Norwegii,
wracam i zaciągam się do obrony, byłem w wojsku
i wiem, jak się strzela. Przynajmniej tak zginę,
zabijając chociażby jednego nazistę Rosjanina.
Inaczej bym bezbronny oszalał. Ukraińcy teraz,
rzecz niesłychana, są naszymi europejskimi przyjaciółmi,
walczą za nas, ale i my nie odpuścimy zbrodniarzom”.

Zgadzam się z nim, a byłem kiedyś żarliwym pacyfistą,
w PRL-u miałem wybór: koszary, szpital, więzienie,
wybrałem psychiatryk zamiast garnizonu:

„Dacie mi karabin, to was zastrzelę i samego siebie!”.

Wystarczyło na odroczenie, a potem na kolejne szajby.

Nienawidziłem wojny, ale i tego, że polskie wojsko
było wojskiem sowieckim. Kiedy urodzili się synowie,
nie bawili się w wojnę jak ja w dzieciństwie na podwórku,
kiedy nikt nie chciał być szkopem albo kacapem,
ktoś musiał, bo Polska miała wygrać z wrogami,
przynajmniej w tym pruskowschodnim mieście,
zdobywanym przez Sowietów Kopielewa i Sołżenicyna.

Synowie mają mi za złe, że ich poetycko wychowałem,
kiedy świat pokazał apokaliptyczną naturę historii;
teraz boję się o wnuki, o ich obiecaną przyszłość,
osacza nas zło absolutne i wzywa do losu tragiczne dobro.

Ukraiński żołnierz obejmuje dwuletniego synka,
który go piąstkami z płaczem okłada po hełmie.
Możliwe, że obrońca ojczyzny już nie żyje.

Niemożliwe, aby Ukraina umarła,
razem obronimy niepodległe życie.

24 maja 2022



FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Kazimierz Brakoniecki** – ur. w 1952 r., poeta i eseista, tłumacz i reżyser, animator kultury i sztuki. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, mieszka w Olsztynie. Współtwórca Wspólnoty Kulturowej „Borussia”; w latach 1995-2018 dyrektor samorządowego Centrum Polsko-Francuskiego w Olsztynie.

Być może przyczyną wojny Rosji
przeciw Ukrainie jest
zbrodniczy woluntaryzm śmiertelnie
chorego na imperium człowieka

Adam Michnik **poleca**

RUSKIE SZCZĘŚCIE NIE ZNA GRANIC

Od inwazji na Ukrainę Putin jest potworem, metafizycznym złem.
Ale tylko dla Zachodu

Wiktor Jerofiejew*

Patrząc na zachowanie się w Ukrainie armii Putina, na to, jak usprawiedliwia swoją militarną obecność i jak widzi zwycięstwo, pytamy bynajmniej nie retorycznie o ruskie szczęście. Bo pod sztandarami zwycięstwa nad Ukrainą znów wschodzi słońce ruskiego szczęścia właśnie. Złe słońce dla wrogów ruskiego miru i pospólne szczęście ogromnej większości rosyjskiego ludu.

Dziś Putin, jak swego czasu Stalin, steruje nawą ruskiej szczęśliwości. Potrzebuje zwycięstwa za wszelką cenę. Z racji charakteru, a nie przypadkiem, zasiadł na tronie rosyjskiej historii. Esteci uznają co prawda, że nie umie usiąść porządnie na krześle, podaje ciało do przodu, rozstawia nogi, jest w tym coś bardzo wsiowego. Tak po rewolucji siadywali czerwonoarmiejcy w zdobytch pańskich salonach. Pogromcy z czworaków, z uciśnionych klas i oszczanych bram.

Bo ci, którzy umieli siedzieć w fotelu, nie pasowali ludowi. Nie pasował Gorbaczow z żoną Raisą Maksimowną, bo wyobrażali sobie ruskie szczęście jako kulturowe zbliżenie z Europą, wakacje we Włoszech. Lud nie cierpiał zwłaszcza Raisy, nie potrzebował jej szczęścia.

Nie spодobał się też ludowi Jelcyn. Owszem, pił jak Ruski, czym mało różnił się od ruskiego muzyka, ale oddawał punkt po punkcie, próbując, tak to widział lud, podliznąć się Zachodowi, aż runął jego tron. Owszem, znalazł sobie w końcu następcę, który miał ochronić go przed prokuratorem i ocalić rodzinne szczęście.

Od inwazji na Ukrainę Putin jest potworem, diabłem, metafizycznym złem – dla Zachodu, ale nie dla rosyjskiego narodu. Odkrył tajemnicę ludowego szczęścia, bo sam pochodzi z ludu. Zrozumiał, że ani komfort, ani standard życia, ani przyjaźń z Zachodem nie są dla Rosjan priorytetem. Rosjanin ma inną miarę szczęścia.

Ruski mir – ład i świat – dzieli się, jak wiadomo, na dwie nierówne części. Dla Europy Rosja to Czechow i Pasternak, wielka tradycja kultury, która walczyła z władzą i padała ofiarą rosyjskiego państwa. Trudno o wielkiego rosyjskiego artystę czy pisarza, który byłby w pełni lojalny wobec władz. Nawet najposłusznijši konformiści w środku czasem aż się gotowali.

Ale kiedy w Ukrainie wybuchła wojna, nagle okazało się, że naszą siłą jest estetyka klęski – rosyjska kultura zawsze przegrywała z państwem. Czasem na końcu był pluton egzekucyjny, czasem kompromis. Kiedy Putin stworzył upusty ludowego szczęścia, nasi wspaniali pisarze zamienili się w ludziki z papieru, które ot, wymiękły i się rozpadły.

W rosyjskiej kulturze opisał je zwycięzcy Czechow: „jakież to olbrzymie szczęście kochać i być kochanym”. Formuła ta pasuje w istocie do każdego narodu, każdej kultury. Ale zanurzając się w podświadomości rosyjskiego ludu, odkrywamy, że jego szczęście polega na okiełznaniu entropii, chaosu.

Parę lat temu na Targach Książki we Frankfurcie zawołał do mnie z widowni młody rosyjski emigrant: – Jerofiejew, a co to jest kultura? Siłąc się na lakoniczność, odpowiedziałem: – Kultura to walka z entropią.

Ruskie szczęście nie należy do sfery kultury, choć rosyjska kultura dość dokładnie je opisuje. Szczęściem Ruskich jest dominacja. Dla młodych przyjaciół Bezuchowa z „Wojny i pokoju” szczęście to hulanka, drwiny ze słabszych, awanturnictwo, łamanie wszelkich norm.

I o to właśnie chodzi. Ruskie szczęście to pogwałcenie wszelkich norm. Powiecie, że tak nie powinno się toczyć wojny, że to wykracza poza dobro i zło, ale ruskie szczęście nie zna granic rozpasania.

ludu podczas wojny domowej: cały ten sadyzm, braterstwo, tumiwizizm; genialnie przy tym diagnozuje istotę rosyjskiego błogostanu.

Ale nie musimy trzymać się XX wieku. Weźmy klasyka, wielkiego poetę i prozaika Michaiła Lermontowa. Jego „bohater naszych czasów” dowodzi, że prawdziwym szczęściem rosyjskiego oficera jest obrazić kobietę i zabić rywala.

Ale jest też odwrotny wymiar ruskiego szczęścia. Najważniejsze, by przekroczyć normę. Oblomow [główny bohater powieści Iwana] Gonczarowa to patentowany leń, szukający szczęścia w nicnierobieniu. Nie przypadkiem jego antytezą jest Niemiec Sztolc, który pragnie normalnych sukcesów, dla Oblomowa zgroza i obrzydliwość.

I jest kolejny sposób na ruskie szczęście – zostać świętym. Uciec od normalności w szczęśliwość, samopoświęcenie, jak Platon Karatajew z „Wojny i pokoju”, lub w totalne pijaństwo opiewane przez mojego imiennika Wieniedikta Jerofiejewa w poemacie prozą „Moskwa – Pietuszki”.

Jeśli syn wróci z Ukrainy
w trumnie, ojciec powie, że spełnił
patriotyczny obowiązek. **A za
odszkodowanie kupi sobie zamiast
syna mały rosyjski samochód**

Pod hasłem „jesteśmy najlepsi” – od tego się zaczyna i na tym kończy rosyjska ideologia – nie musimy liczyć się z wrogiem. Ani z własnymi stratami, bo jak słusznie mówi pieśń, „cena krwi nie znaczy nic”. A jeśli syn wróci z Ukrainy w trumnie, ojciec powie, że spełnił patriotyczny obowiązek, i będzie szczęśliwy. Mało tego, za odszkodowanie kupi sobie zamiast syna mały rosyjski samochód i będzie nim jeździć.

Ale to przecież nie nowina. Dlaczego Armia Czerwona pobiła armię białych arystokratycznych oficerów? Bo była upojona przyzwoleniem, które dostała od bezwzględного świata. Dlaczego wspierany przez Mikołaja II wielki ruch czarnoseńców bawił się w pogromy Żydów? Bo dawało im to kopa. Jeden z najwybitniejszych w świecie pisarzy XX wieku Andriej Platonow w powieści „Czewengur” – akcja rozgrywa się [w tytułowym mieście] na południowych rubieżach Rosji, blisko ukraińskiej granicy – pokazuje, czym naprawdę jest szczęście

Czas zestawić szczęście ruskie z europejskim. W Europie szczęście to ponadnormatywność. Wszystko idzie zgodnie z planem, aż tu nagle sięgamy szczytu – w finansach, w pracy, w miłości. Na szczycie nijak usiedzieć, ale on jest widoczny, zrozumiały.

Europejskie i rzecz jasna niemieckie szczęście ma kilka podtypów:

Szczęście rodzinne, czyli rodzinna harmonia.

Szczęście finansowe, czyli dostatek.

Szczęście metafizyczne, czyli odnalezienie Boga lub jego namiastki.

Czechow, pamiętamy, chciał naśladować Europę – nawiasem mówiąc, jego babcia była Ukrainką, nazywał siebie żartem ukraińskim pisarzem, a na wakacjach w ukraińskim obwodzie sumskim wypowiadał się całkiem pochlebnie o kulturze codziennej Ukraińców.

Inny przykład. Mój rówieśnik, żydowski pisarz emigrant Friedrich Gorenstein ostatnie lata życia spędził w Berlinie, gdzie spotkaliśmy się, kiedy wystartowała pierestrojka. Szliśmy Kurfürstendamm w porze

lunchu, berlińczycy pożywiali się na świeżym powietrzu.

– Tak chciałoby się – wyznał wielki pisarz – złapać ten talerz i cisnąć o bruk.

Uśmiechnął się błogo. To też ruskie szczęście.

Rosjanie nigdy nie przeszli europejskiej szkoły. Myślę, że Turcy i Irańczycy są pod wieloma względami bliżej Europy. Jako narody handlowe nawykowo przestrzegają umów. Rosjanie zaś karmią się metafizyką wątpliwości. Złe im i niewygodnie w normalnym świecie. Ciągnie ich entropia, na której chcą budować nowy świat. To utopiści z rozbieganą wyobraźnią.

Ruski mir wcisnięty jest między dwa światy, Europę i Azję. Rozdarte też jest ruskie szczęście.

Rosjanin jest szczęśliwy, ilekroć niszczy. Mgliste rozumie, że ze światem jest coś nie tak. Metafizyka wątpliwości, przypadłość Iwana Karamazowa. Ale Rosjanin nie osiąga granicy zrozumienia.

Leninowi wydawało się, że osiągnął. Zburzyć świat i stworzyć nowy.

To praca wyobraźni. Wyobraźnia Rosjanina nie zna granic. Uwiodły go komunistyczne idee Lenina, zwykle normalne szczęście to dla niego nuda.

Cala rosyjska literatura wojowała z mieszczańskim szczęściem. Zadbała chata, kwiaty w doniczkach na parapecie, kotek żywy i świnka skarbonka. Ale sielankę zburzył sam ów chłop, który chciał zabawić się z młodą żoną syna, i poeta Aleksander Błok, który za rewolucji 1917 r. wołał: „Tak, my – Azjaci! My – dzicy Scytowie/ Z pożądliwymi skośnymi oczami!” (przekład Mieczysława Jastruna).

Kto więc przyzczał do Europy ruski lud? Sporo zdziałał Piotr I. Obcinał facetom długie brody, uznali go za antychrysta. Sporo zdziałał też Gorbaczow. Ale u nas demokracja nie przetrwała ani w 1917 r., ani za Gorbaczowa.

Rosja to nieskończona wyobraźnia. Stąd strach i posłuszeństwo – nie tylko geny, także wyobraźnia.

I nagle nowe wgrzyzło się w ludzką naturę. A wtedy Stalin włączył wątek metafizycznego komunizmu, próbując przemienić ludzką naturę. Poprawić ją. Wielki terror. Szczęście wielkiego terroru.

I tylko Puszkין mądrze zauważył, że nie ma szczęścia w świecie. Ale jest pokój, wola i chęć.

Co więc ostatecznie zwycięży, pogwałcone europejskie normy czy bezlitosny rosyjski Czewengur? Przyjrzyjmy się uważniej słońcu ruskiego szczęścia. ●

przeł. **Sergiusz Kowalski**



FOT.
TOMASZ URBANEK
/DDTVN/EAST NEWS

*Wiktor Jerofiejew – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (Wyd. Agora). Tytuł tekstu – „Wyborcza”

Aktywizm nie musi być luksusowy

Posiadamy prawa pozwalające wpływać na rzeczywistość. I każdy może z nich korzystać

Bodnar*



Tegorocznemu Tour de Konstytucja towarzyszy motto Henryka Wujca:

„Nigdy nie jest tak, że nie mamy żadnego wpływu. Nawet jak czuję się bezradny, bezsilny, to nigdy to nie usprawiedliwia tego, żebym nic nie zrobił”. W czasie kolejnych przystanków często do tych słów wracamy. Wskazujemy uczestnikom, na czym ich zaangażowanie obywatelskie może polegać.

Dwa lata od śmierci Wujca warto się zastanowić, co to zdanie dzisiaj oznacza. Bez wątpienia jest to nawiązanie do „Siły bezsilnych” Václava Havla, ale nie tylko w wymiarze podkreślenia mocy tych, którzy teoretycznie nie powinni mieć większego wpływu na zewnętrzne okoliczności polityczne i społeczne. Henryk Wujec przede wszystkim nawołuje do działania. Podkreśla, że nawet kiedy czujemy, że rzeczywistość wokół jest nieprzyjająca, to każdy z nas powinien działać, reagować, pomagać, okazywać solidarność i wspierać słabszych.

Z Konstytucji RP wynika, że mamy kilka podstawowych praw i wolności politycznych pozwalających nam na to, abyśmy byli aktywnymi obywatelami nie tylko od święta, czyli w dniu wyborów.

Do najważniejszych należą wolność słowa, wolność organizowania pokojowych zgromadzeń, wolność zrzeszania się, prawo dostępu do informacji publicznej, prawo do petycji. Warto zauważyć, że także na szczęblu europejskim posiadamy prawa pozwalające na wpływanie na rzeczywistość, jak choćby prawo dostępu do dokumentów wytwarzanych przez organy i instytucje unijne czy prawo do europejskiej inicjatywy legislacyjnej.

To może zabrzmieć jak truizm, że każdy z nas może z tych praw korzystać. Nie potrzebuje do tego organizacji, zaplecza, instytucji, zgody kogokolwiek. Można przywołać fantastyczne przykłady, kiedy jeden konkretny człowiek zmienia rzeczywistość dzięki umiejętnemu korzystaniu

z własnych praw i wolności obywatelskich. Bart Staszewski swoim happeningiem uświadomił wszystkim, jak szkodliwe są rezolucje przeciwko ideologii LGBT. Jakub Siczko zorganizował pomoc lekarzy na granicy polsko-białoruskiej. Elżbieta Podleśna stała się nie raz fizycznie i symbolicznie w sprzeciwie przeciwko faszyzacji życia publicznego. Krzysztof Izdebski wygrał sprawę ujawnienia przez Ministerstwo Sprawiedliwości algorytmów losowania sędziów. Kamil Mieszczankowski (znany na Twitterze jako „Bezczelny Lewak”) w kilka dni zebrał ponad 300 tys. zł na działanie prawne dotyczące dyskryminacji i szykanowania dzieci poczętych w wyniku in vitro w podręczniku W. Roszkowskiego do historii i teraźniejszości.

To tylko kilka przykładów z ostatnich miesięcy czy lat. Ale takich aktywistów, działaczy, a także zwyczajnych obywateli, którzy skutecznie korzystają z praw i wolności politycznych, jest znacznie więcej. Coś im doskwiera, uwiera ich, irytuje i podejmują określone działania. Często sporo ryzykują. Bo przecież może się nie udać (ile osób nie wierzyło w powodzenie Tour de Konstytucja?); bo mogą spotkać ich szykany ze strony władzy publicznej, korporacji czy niechęć rodziny lub znajomych; bo w środowisku, z którego się wywodzą, czegoś „nie wypada”; bo mogą się obawiać, gdzie może ich zaprowadzić droga uczestnictwa w życiu publicznym; bo ich życie prywatne może stać się przedmiotem zainteresowania mediów sprzyjających rządowi.

Dlatego należy podkreślić, że powyższe prawa i wolności nie są zastrzeżone tylko dla tych najbardziej zaawansowanych. Iga Kaźmierczak z fundacji Przestrzeń dla Edukacji w rozmowie z moimi studentami użyła sformułowania, że tego typu forma aktywności obywatelskiej to wersja „premium”. Nie każdego na nią stać, nie każdy może sobie na nią pozwolić. Natomiast siła naszego społeczeństwa obywatelskiego powinna polegać na tym, czy będziemy mieli także obywateli skłonnych się zaangażować na poziomie „basic” oraz „standard”. Moim zdaniem o tym właśnie mówił Henryk Wujec – jego apel skierowany był do każdego obywatela, a nie tylko do tych najbardziej zaawansowanych w sztuce życia społecznego.

To, że widzimy tych świetnych aktywistów i działaczy oraz ich sukcesy, nie powinno zwalniać nas z odpo-

wiedzialności obywatelskiej za to, co się wokół nas dzieje. Każdy z nas może znaleźć dla siebie formę zaangażowania na poziomie podstawowym lub standardowym, która da nam poczucie rzeczywistej dbałości o sprawę publiczną.

Wróćmy może do Tour de Konstytucja. Niedawno byłem gościem na przystankach w Gostyninie oraz Łowiczu. Ale aby taki przystanek mógł się odbyć, ktoś musiał wcześniej odpowiedzieć na apel Roberta Hojdy, zaprosić Tour do siebie, przygotować miejsce na zgromadzenie, zorganizować namiot, krzeselka, pomóc z nagłośnieniem, skoordynować przyjazd gości, poprowadzić debatę, zrobić reklamę na mieście itp., itd. Słowem – setki konkretnych działań, bez których takie spotkanie nie mogłoby się odbyć. Piękna, obywatelska praca zbiorowa, z której mieszkańcy poszczególnych miejscowości mogą być dumni.

Ale znów – Tour de Konstytucja to wyjątkowe wydarzenie. Takie lokalne miniświąto demokracji. Jednak obywateli, od których powinniśmy oczekiwać zaangażowania, jest znacznie

Nie każdego stać na aktywizm, bo co powie znajomy, rodzina – bo nie wypada, ale możemy działać na poziomie „standard”

więcej. Poza tym nie powinno to być także zaangażowanie odświętne, ale takie na co dzień.

Moim zdaniem zaangażowanie na poziomie „basic” zaczyna się wtedy, kiedy obywatel na bieżąco śledzi życie publiczne, sprawdza i weryfikuje newsy, przekazuje wiadomości swoim znajomym w mediach społecznościowych, czasami nawet może wesprze jakiś cel publiczny lub jakieś wydarzenie skomentuje. Słowem, nie żyje tylko i wyłącznie swoim życiem prywatnym (czy hobby), ale żywo interesuje się tym, co jest wokół niego. Zakładam, że jeśli obywatel rzeczywiście się interesuje, to prędzej czy później podejmie się innych aktywności w życiu publicznym.

Z kolei za poziom „standard” można uznać aktywność w organizacjach społecznych, udział w akcjach charytatywnych, w demonstracjach, wspieranie społecznościowe wybranych

celów publicznych, pomoc na rzecz uchodźców. Spójrzmy na statystyki udziału obywateli w zbiorce WOŚP w charakterze wolontariuszy czy na wyniki ostatniej zbiórki na bayraktara zorganizowanej przez Sławomira Sierakowskiego. Takich obywateli mamy w Polsce setki tysięcy. W ostatniej Paradzie Równości w Warszawie brało udział kilkadziesiąt tysięcy osób. Ale jest z pewnością wielu obywateli, którzy wolą swoje zaangażowanie publiczne zachować dla siebie. Nie mogą sobie pozwolić na pójście na demonstrację czy na podpisanie się imieniem i nazwiskiem pod konkretną darowizną. Szczęśliwie żyjemy jeszcze w państwie, w którym pomimo różnych przeszkód rodem z autorytarnych systemów jesteśmy w stanie aktywnie wpływać na rzeczywistość. Nikt nam nie broni organizować we własnych domach rozmów na tematy społeczne czy polityczne. Nikt nas nie ogranicza we wspieraniu niezależnego dziennikarstwa. W nieformalny sposób można także na różne sposoby okazywać solidarność tym, którzy walczą o naszą wolność.

Zbliżają się wybory parlamentarne.

Czas kampanii wyborczej to szczególny okres, kiedy wyjątkowo intensywnie będziemy korzystali z naszych praw i wolności politycznych. Tym razem musimy się także przygotować na weryfikowanie wszystkich ewentualnych nieprawidłowości wyborczych. Nie jesteśmy bezsilni. Nie jesteśmy bezradni. Od nas samych zależy, czy będziemy w tym czasie obywatelami zaangażowanymi na poziomie „basic”, „standard” czy „premium”. Henryk Wujec był działaczem w wersji „premium deluxe golden circle”. Nie musimy być Henrykiem Wujcem, ale przynajmniej skorzystajmy z jego mądrości. ●

*Adam Bodnar, dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji (07.2015 – 09.2021), członek rady programowej Tour de Konstytucja

JUŻ W SPRZEDAŻY

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA

wysokieobcasy
extra



DANUTA STENKA

Sześćdziesiątka mnie bawi i cieszy

TEMAT NUMERU

Radość wieku średniego

AKCJA „Weekend Zniżek”

Ekstrarabaty do ponad 2200 sklepów



GRATIS Naturalny podkład
Soraya Plante



PLANETA ZWIERZĄT, CZASAMI LUDZI

DRZEWO PRZETRWANIA

Gdyby zabudowania nagle zniknęły, nasze orzechy, przyzwyczajone do nich, mogłyby się połamać.

Stanisław Lubieński

Wiosną na naszym wiejskim podwórku wichura połamała starą, pamiętającą niemieckich gospodarzy gruszę. Drzewo było wysokie, mocarne konary sięgały daleko za płot posesji. Grusza była piękna o każdej porze roku – zimą wyglądała jak ze scenografii gotyckiego horroru, w letniej gęstwinie liści wydawała się okazem zdrowia i vitalności. Ale pozory mogą mylić, w pniu postępowal niewidoczny dla nas rozkład. Grusza złamała się w połowie, poniżej miejsca, gdzie sterczał uschnięty kikut po upiłowanym kiedyś potężnym konarze. To pewnie tam drzewo było osłabione, w tym miejscu przepływ wody i wartości odżywczych między koroną a korzeniami został przerwany. Może gdyby zawczasu przyrzal się gruszy fachowiec, drzewo stałoby do dziś?

Człowiek mądry bywa po szkodzie, poprosiłem więc Julię, certyfikowaną inspektorkę drzew, by rzuciła okiem na dwa orzechy, teraz największe drzewa na działce. Oba mają niecałe 10 metrów wysokości, a rozległe, parasolowate korony dają cień w coraz bardziej uciążliwe upały. Z tego chłodu korzystają poza nami dziesiątki ślimaków wstężyków, które przeczekują dzień przyklejone do pnia. Pień patrolują długonogie kosarze, a w kikutach obłamanych kiedyś gałęzi mieszkają czarne mrówki kartonówki. Do tego na obu drzewach powiesiłem skrzynki lęgowe, które były już schronieniem dla rodzin mazurków, bogatek i szpaków. Widzę tylko to, co duże i wyraziste, tysiące organizmów, które żyją na naszych orzechach, oczywiście nie dojrzą nigdy.

Każde drzewo jest wyjątkowe, bo ukształtowane przez miejsce, w którym rośnie – począwszy od gleby, z której kielkuje nasiono. Otoczenie decyduje o jego wysokości, pokroju, kształcie i nachyleniu pnia, układzie konarów i gałęzi. Każde ma wolę przetrwania i walczy o życie mimo przeciwności losu. Drzewa rosną w naszym klimacie właściwie wszędzie, nawet w najbardziej

nieprzyjaznych miejscach. To imponujące, że brzozy potrafią kielkować w rynnach starych budynków, w miejscach, gdzie nawiało po prostu trochę ziemi i liści. Gdyby z polskich miast wyprowadzili się ludzie, powróciłby tam las. Pierwsze wkroczyłyby pionierskie brzozy, wszędobylskie topole i pewnie pochodzące z Ameryki Północnej klony jesionolistne.

Ekspertyza dendrologiczna, którą przeprowadza Julia, wymaga detektywistycznej drobiazgowości. Niczego nie można przegapić, każdy szczegół może być istotny. Oczywiście na początku trzeba ustalić, z jakim pacjentem mamy do czynienia. Gatunki drzew bardzo różnią się chociażby zdolnością gojenia ran czy umiejętnościami samoobrony przed rozkładającymi drewno grzybami. Następnie trzeba zmierzyć obwód pnia, wysokość drzewa i wielkość korony. Wszystkie te dane pozwalają wstępnie ocenić, z jakimi problemami drzewo może się mierzyć. Obwód mówi nam coś o wieku drzewa, to istotne o tyle, że inaczej dba się o drzewa młode, dojrzałe i sędziwe. Moje orzechy są w wieku średnim. I pozostaną w nim jeszcze przez kilkadziesiąt lat.

Przyjrzyjmy się. Z której strony wieje wiatr? Czy drzewo jest osłonięte? Na naszej działce dmucha z zachodu, na szczęście od tej strony orzechów broni dom i warsztat sąsiada. Gdyby zabudowania nagle zniknęły, nasze orzechy, od lat przyzwyczajone do tego wiatrochronu, mogłyby się połamać. Drzewa wzmacniają się w miejscach, na które działają duże siły, duże ob-

ciążenia. Inwestują w nie. Adaptowanie się do nagłych zmian zajmuje im sporo czasu, warto o tym pamiętać, bo kiedy usuniemy jedno drzewo, to jego sąsiedzi z pewnością odczują zmianę.

Korona i pień to oczywiście nie wszystko, rzadko niestety pamiętamy o korzeniach. W darmowych, dostępnych w internecie „Standardach prac na drzewach i w ich otoczeniu” przeczytamy, że podczas prac budowlanych należy zabezpieczyć drzewa w odległości równej rzutowi korony (czyli tam, gdzie sięga okap liści) plus półtora metra. Taka odległość nazywana jest strefą ochrony drzewa. W sytuacjach, w których nie da się spełnić tego wymogu, pod żadnym pozorem nie wolno przekroczyć obszaru wokół drzewa równego trzykrotności jego obwodu (mierzonego na wysokości 130 centymetrów). Dodatkowo wszystkie prace w obrębie korzeni powinno się wykonywać ręcznie albo technikami mało inwazyjnymi, takimi jak wydmuchiwanie ziemi sprężonym powietrzem.

Ile razy widzieliście państwo ekipy budowlane dokładające takich starań przy pracach ziemnych? Ja, niestety, nie widziałem. Owszem, zabezpiecza się czasem pnie deskami, ale co z tego, skoro pod drzewami jeżdżą ciężkie maszyny. Maszyny suszą i duszą – ubijając glebę, utrudniają wsiąkanie wody i pobieranie tlenu przez znajdujące się płytko pod ziemią delikatne korzenie włośnikowe. Do-

datkowo koparki uszkadzają często umieszczone głębiej korzenie, które działają jak kotwice, stabilizując drzewa w gruncie. Tak okaleczone nie tylko pożyją krócej, ale przede wszystkim będą bardziej narażone na przewrócenie. Przewracające się (niby) bez powodu drzewa to ulubione straszaki leniwych służb miejskich, gminnych czy drogowych, które najchętniej sprowadziłyby zieleni do roli symbolicznej ozdoby albo cienkich badyli, które wymienia się co roku.

Gdyby z polskich miast wyprowadzili się ludzie, powróciłby tam las – pierwsze wkroczyłyby pionierskie brzozy

Mariusz, treeworker, współpracownik Julii, wspinał się na linach na orzechy i wyłamał suche badyle. Susz, czy też jak mówią leśnicy posusz, to normalna rzecz, każde drzewo rezygnuje ze zbędnych gałęzi, na których nie rozwijają się liście czy igły. Zwykle spadają na ziemię przy większym wietrze, ale nie zaszkodzi zrzucić je wcześniej. Obyło się bez większych prac w koronach, nie usunęliśmy ani jednej żywej gałązki. Moje orzechy, jak ocenia Julia, są w dobrej kondycji, ale ich stabilność jest osłabiona. Jeden ma wypróchnienie w pniu, a drugi tzw. zakorek, czyli gojącą się ranę w rozwidleniu konara (znaleźliśmy w niej kawałek starego, wrosniętego sznurka).

Moje orzechy trzeba będzie skontrolować ponownie w ciągu dwóch lat. Nie zawsze wystarczy tradycyjna, metalowa sonda do badania stanu korzeni i gumowany młotek do opukiwania pnia (próchno dudni w głuchy sposób). Umówiliśmy się na bardziej szczegółowe badania tomografem akustycznym, który pozwala bezinwazyjnie sprawdzić zasięg wypróchnienia wewnątrz drzewa.

Dostałem zalecenia – młodsze mu z orzechów, temu z zakorkiem, mam wysypać pod koroną przekompostowane zrębki. To będzie dla niego jak zastrzyk energii potrzebnej do gojenia rany. Mam też przysypać odsłonięte przy jakichś pracach korzenie i usuwać liście (rozwija się na nich jakiś rdzawy grzybek). W czasie rozpędzającej się katastrofy klimatycznej każde drzewo jest cenne. Często możemy pomóc drzewom stosunkowo niedużym kosztem i małym nakładem sił, a taka poprawa warunków z pewnością przedłuży ich życie.

A czasami wystarczy po prostu nie szkodzić. ●

FOT. SHUTTERSTOCK

ZAPOMNIANE ARCYDZIEŁA

PRZEBUDZENIA NIE BĘDZIE

Czy można brać od innych pieniądze, gardząc nimi? Któż bogatemu zabroni

Marcin Zegadło

FOT. EAST NEWS



Można, i to całkiem przyjemnie. Nie zaszkodzi również „odrobina luksusu”. Czy ktoś umarł od nadmiaru i zbytku? Czy nie można nudzić się w stylowych wnętrzach, sycąc wzrok wszechogarniającą drożyzną, na którą nie zwracamy uwagi, ponieważ przywykliśmy do niej jak do malowniczego pejzażu za oknem? Czy można brać od innych pieniądze, jednocześnie gardząc tymi, którzy je dają, a przede wszystkim – gardzić pieniędzmi? Oczywiście, że można. Któż bogatemu zabroni.

Dino ma 35 lat. Artysta malarz. Jeżeli artysta, to oczywiście „niespełniony”. Być może jako artysta Dino nie potrafi stworzyć niczego znaczącego, dlatego zamiast tworzyć, postanawia niszczyć. Wygodnie być „niespełnionym”, kiedy jest się bogatym. Tak się składa, że Dino jest bogaty. Ma pieniądze i matkę snobkę. Dino spróbuje opowiedzieć o tym językiem wypranym z emocji. To język cynicznego typu. Tyle że ten „cyniczny typ” zdradzi Dina z nim samym. Dino to ktoś, nad kim kontrolę przejęła maniera. Dino – narrator – nie czuje się w obowiązku informować czytelnika o wszystkim. Zaglądamy do jego świata na tyle, na ile pozwoli nam jego narracja, zawsze w granicach naszej poznawczej kompetencji. Zresztą Moravia to również dzieciak „spod klosza”. Pochodzi z zamożnej włoskiej rodziny. Przez wiele lat utrzymywał go ojciec – architekt. To ojciec finansuje jego pierwszą powieść „Obojętni”, którą Moravia – jak głosi legenda – pisze znudzony, w pościeli poplamionej atramentem. Wdzięczny obrazek. „Nuda” ukazuje się w roku 1960. W 1963 roku zostaje zekranizowana. Nieprzypadkowo tytuł filmu to „Pustka”.

Zawile relacje rodzinne, pieniądze, które mają kupić przywiązanie i tworzyć zależności. To wszystko ma znaczenie drugorzędne. Istotna jest historia miłosna. Tyle że miłość ma tutaj wymiar wyłącznie symboliczny, jest skrótem myślowym. Dino to trochę typ Dickiego z „Utalentowanego pana Ripleya”, którego z właściwym sobie wdziękiem wykreował Jude Law. Ta sama blaza, obojętność, brak empatii, kapryśność i wreszcie znudzenie, narcyzm. Dino wie, że miota się, próbując uniknąć nieuniknionego. Nuda dopada go za każdym razem, kiedy podejmuje przed nią bezowocne próby ucieczki. Tym razem miało być podobnie, kiedy Dino wdawał się w romans z nastoletnią Cecylią, kochanką zmarłego artysty malarza, któremu pozowała do aktów. Czy ten romans odmienni jego życie, czy sprawi jedynie, że rozbewstwiony dandys mizogin rozbije się o samego siebie, o swoją słabość, którą dotąd postrzegał jako siłę. Co wydarza się między dwojgiem ludzi, kiedy w miejscu nieobecnego uczucia pojawia się wyłącznie pożądanie? Czy seks jest w stanie wypełnić pustkę, która staje się dla Dina wypełniona? Owszem – jest. Ale czy to wystarczy? Co, jeśli nie chcesz umierać, jednocześnie nie potrafiąc już żyć? Zdefiniujmy: „Czułem, że nie mam ochoty spotykać ludzi, ale nie chcę przebywać w samotności; (...) nie chcę ani spać, ani czuć, nie nęci mnie seks ani brak seksu (...) przepelniała mnie odraza, obrzydzenie, przerażenie”.

A więc nuda, która nie jest opozycją dla rozrywki. Co, jeśli ktoś, nad kim chcesz przejąć kontrolę, na to nie pozwala? Co, jeśli ktoś, z kogo chcesz uczynić „przedmiot”, niespodziewanie i wbrew tobie staje się podmiotem. Cecylia wymyka się Dino-wi w chwili, w której pojawia się zazdrość. Czy można znaleźć się w posiadaniu kogoś, kto miał stać się po prostu twoją bezwonną

zabawką? Dino należał do świata, w którym mówiło się do innych: „Jesteś dla mnie niczym”. Cecylia sprawiła, że świat Dina zmienia się i teraz Dino chce krzyczeć: „Jesteś dla mnie wszystkim”.

Tłem wydarzeń są Włochy, które wydają się w „Nudzie” umowne, widmowe. Moravia tylko szkicuje scenografię. Ulicom brakuje imion, samochody nie mają marek, alkohole i papierosy nie mają swoich nazw. Tak jakby autor wiedział, że każdy szczegół odbierze tej prozie ponadczasowy charakter. Jakby chciał powiedzieć: ta historia może przytrafić się także tobie.

U bohaterów Moravii niespodziewanie zjawiają się uczucia, których ze wszystkich sił starali się unikać lub których mieli nie doświadczać. Dina spotyka zazdrość, czyli życie nabiera barw. Staje się realne i przychodzi po niego z niepokojem, napięciem i lękiem – wytrąca z rutyny. Nieważne, z jakiego powodu się nudzi. Ważne, że ogarnia nas nuda. Czytając Moravię, nie sposób nie przypomnieć sobie o Houellebecqu i jego krytyce zblazowanego, bezideowego Zachodu widzianego jako miejsce, w którym coraz trudniej wytrzymać, jeżeli nie przez nudę, to z całą pewnością przez banal i miałość „zachodniej” codzienności, przez pozór i tekturowość tego świata, jego taniłość w kontekście rządzących nim wartości. Powieść Moravii jest dzieckiem swojego czasu. Z dzisiejszej perspektywy może wybrzmieć ona cokolwiek mizoginicznie. Ostatecznie u Moravii to mężczyzna „nawróci się na uczucia”.

Zatem jak czytać dzisiaj Alberta Moravię? Świat od lat był bezpiecznym miejscem. Nudził się na potęgę, tonąc w przedmiotach, które stwarzał marketing. Świat nurzał się w wykreowanych potrzebach i „niezbędnych przyjemnościach”, stroniąc od jakiegokolwiek autorefleksji. Współczesność odwracała głowę od istotności, a życie miało być pasmem przyjemności, których mieliśmy doświadczać, przesiadując na Facebooku i Instagramie, przekonani o własnej nieśmiertelności. Jedyłą rzeczą, której powinniśmy się bać, miała być nuda. To jej za wszelką cenę należało unikać. Usługodawcy i producenci prześcigali się w tworzeniu ofert mających pozwolić nam „nie myśleć”. Na przykład wakacje typu all-inclusive w egzotycznym miejscu. Gdzieś, gdzie poza monitorowanym terenem hotelu ktoś trzymany jest pod lufą, a ty odpoczywasz w basenie i sącąc darmowe drinki, cieszysz się słońcem, udając, że o niczym nie wiesz.

Pandemia, która skonfrontowała beztroski i wyjałowiony z wartości świat z ostatecznością, być może okazała się doświadczeniem, którego współczesny człowiek nie ogarnął.

Czy po chwilowym przebudzeniu w ubiegłym roku, dziś, u progu „trzeciej fali”, nie powinniśmy zobaczyć w bohaterach „Nudy” siebie? Ludzi, którzy nie potrafią na dłużej się zatrzymać, którym brakuje skupienia? Kogoś, kto ostatecznie zawsze dąży do przyjemności, nawet jeśli odbywa się to cudzym kosztem. Czy zapowiadana zmiana wywołana granicznym doświadczeniem śmierci milionów ludzi nie nastąpi i jak zwykle przejdziemy nad światem

tem do porządku dziennego, a kiedy twój sąsiad będzie umierał pod respiratorem, ty szukał będziesz w sieci nowego smartwatcha? Martwi nie mają racji, a przecież trzeba jakoś żyć. Ostatecznie jesteśmy już tym wirusem znudzeni. Dlaczego mielibyśmy się czuć winni i odpowiedzialni za innych. Rzeczywistość, w której przez dziesięciolecia byliśmy (jesteśmy?) namawiani do utrzymywania wysokiej prędkości, wyrzuca nas niespodziewanie poza nawias. Co teraz? Paradoksalnie bohater Moravii – Dino – również uważnie zaczyna przyglądać się sobie z perspektywy szpitalnego łóżka. Nuda. To właśnie ona dopada nas podczas kolejnych lockdownów? Ziewamy nad cudzym grobem przekonani, że wszystko się jakoś ułoży, wciąż zabijamy czas, uciekając w przyjemności, podkręcając tempo, jakbyśmy mieli tego czasu w nadmiarze. Być może przestroga, która płynie z powieści Moravii, nie jest to, że przestaliśmy mieć kontakt z innymi ludźmi, być może przestaliśmy mieć kontakt sami ze sobą, a przede wszystkim przestaliśmy komunikować się z własnymi uczuciami.

Czy po dziesięcioleciach od chwili powstania „Nuda” Alberta Moravii to wciąż ostra fotografia społeczeństw żyjących chwilą, obraz ludzi, którzy odwracają się od innych, koncentrując uwagę na pustce doraźności i szumie rozrywek? Moravia proponuje nam nasze odbicie w „wysokiej rozdzielczości”. Wyluskajmy z niej siebie. ●

„Nuda”, Alberto Moravia, z przedmową Haliny Kralowej, W.A.B., Warszawa 2010, przełożyła Monika Woźniak



W DRODZE NA SZCZYT

Autorem wielu haseł jest **Joanna Dzikowska**

FOT. AGATA JAKUBOWSKA

Piszą Państwo, że bardzo im się przyjemnie rozwiązuje „Weekendówki”, choć są trudne. Że umilają Wam wakacje i urlopy i że generalnie dobrze, że są. I, co tu dużo ukrywać, miło nam się robi po takich słowach. Dziękujemy!

Dlatego też nie zwalniamy tempa i jedziemy dalej. A tempo w tematyce, której dotyczyć będzie dzisiejsza „Weekendówka”, jest bardzo istotne. A o czym dziś będzie?

Otóż 20 sierpnia 1980 roku włoski himalaista Reinhold Messner dokonał pierwszego solowego wejścia na Mount Everest. Wyczyn to absolutnie kosmiczny, tym bardziej że włoski himalaista dokonał tego bez użycia tlenu z butli, w swoim ulubiony alpejskim stylu, który wyklucza też stosowanie poręczówek.

Messner, który jako pierwszy człowiek zdobył Koronę Himalajów i Karakorum, czyli wszystkie 14 ośmiotysięczników Ziemi, to twardy zawodnik. Już jako pięciolatek wspinał się z ojcem na mierzący ponad 3 tys. m szczyt Sass Rigais w Dolomitach. Ale sam przyznawał, że solowe wejście na Mount Everest, i to bez dodatkowego tlenu, wyczerpało go jak nic w całym życiu. Ostatnie metry wspinaczki opisał jako „niekończącą się torturę”. „Na szczycie byłem tak wykończony, że po prostu runąłem w śnieg i zasnąłem. Na szczęście po godzinie nabrałem sił na tyle, by się podnieść i ruszyć z powrotem”.

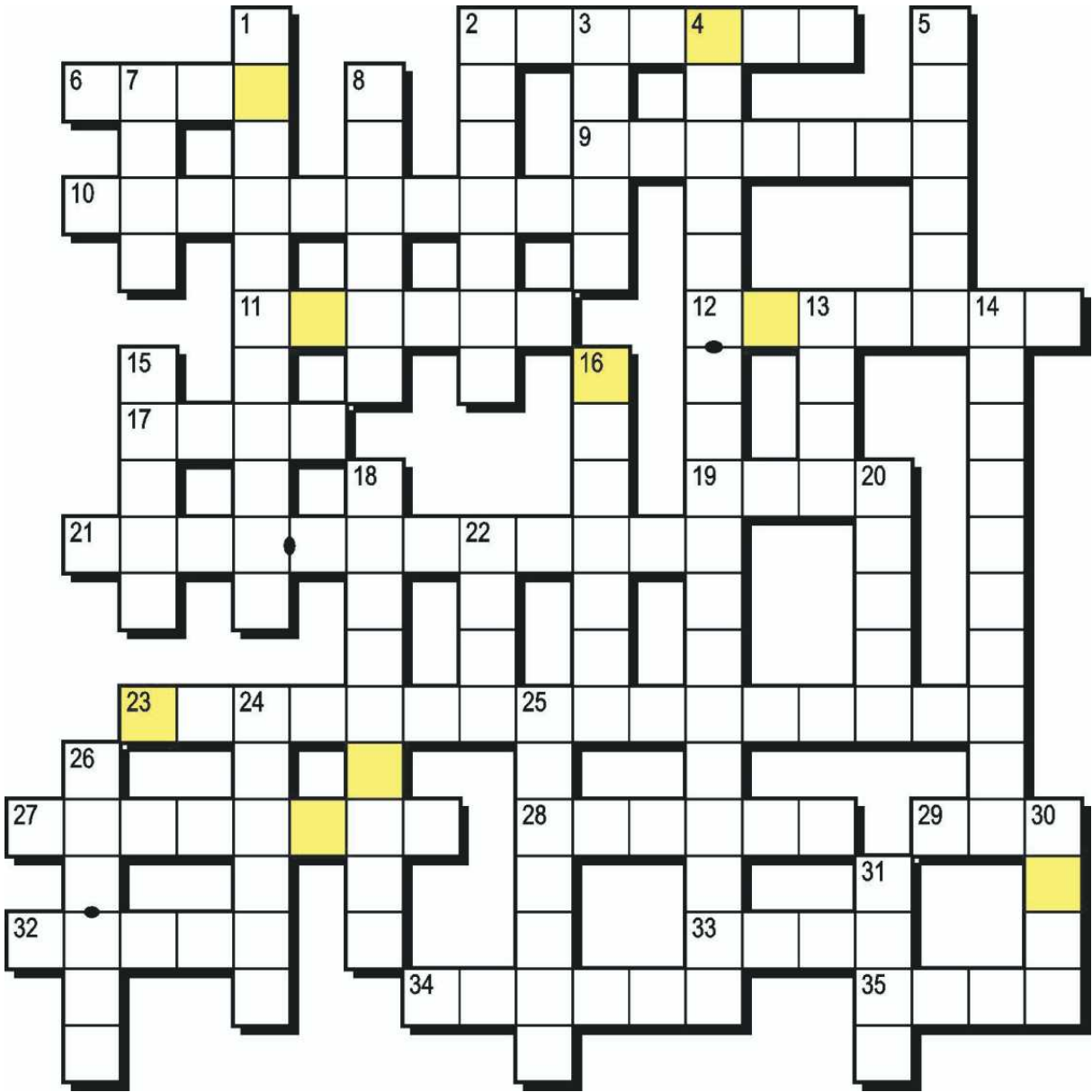
Nena Holguin, ówczesna partnerka Messnera, ledwo go rozpoznała, gdy Włoch wreszcie zszedł na dół. „To nie był ten sam człowiek, który ruszał na atak szczytowy cztery dni wcześniej” – wspominała.

Nic dziwnego, że Messner nazwał to solowe wejście „wisenką na torcie” swej kariery.

Tradycyjnie zaprosiliśmy do pomocy w układaniu haseł gościa specjalnego. Dziś jest to **Joanna Dzikowska**, dziennikarka i reporterka „Gazety Wyborczej”, która w 2021 roku była nominowana do nagrody Grand Press za „Himalajską ruletkę” – rozmowę z Wojciechem Kurtyką, która ukazała się w „Wolnej Sobocie”.

Joanna spisała się na pewno nie gorzej niż Messner, ułożyła mnóstwo haseł, przy niektórych naprawdę trzeba będzie pogłówkować, by je rozwiązać, ale satysfakcja będzie taka, jak przy stanięciu na szczycie góry. ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 14 z 13.08: **SZARLATANERIA**

HIMALAIŚCI

Hasła Joanny Dzikowskiej oznaczono inicjałami (JD). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 2)** ósmy szczyt Ziemi (8163 m n.p.m.)
- 6)** pierwszy, drugi, trzeci po drodze na szczyt (JD)
- 9)** brat od liny (JD)
- 10)** poetka, autorka wiersza „Z nieodbytej wyprawy w Himalaje”
- 11)** ... Cichy, wraz z Krzysztofem Wielickim dokonał pierwszego zimowego wejścia na Mount Everest (1980 r.)

- 12)** dzięki niemu plecak lżejszy (JD)
- 17)** ...purna albo imię pierwszej Polki, która skompletowała Koronę Ziemi (JD)
- 19)** Broad ..., dwunasta góra świata
- 21)** himalaista, który patrzy „spod zamrzniętych powiek” (JD)
- 23)** nasza zimowa specjalność (JD)
- 27)** przydomek Tomka Mackiewicz – himalaisty, który zginął podczas wyprawy na Nanga Parbat
- 28)** Szerpa, który wszedł z pszczołarzem na Mount Everest (pisownia z „k” w środku) (JD)
- 29)** „Tu – ni księżyc, ni ziemia i ... zamarzają”, opis Himalajów w wierszu poetki z określenia 10 poziomo

- 32)** „... Pod Poległym Alpinistą”, powieść braci Strugackich
- 33)** na dole wolna, w górach – przeżycia (JD)
- 34)** ... ekstremalne; zaliczamy do nich himalaizm
- 35)** skorupiaki uczepione lodu (JD)

Pionowo:

- 1)** najwyższa góra świata
- 2)** pierwszy w himalajskiej koronie (JD)
- 3)** w godle ma Czumolungmę i rododendrony (JD)
- 4)** szpej w plecaku himalaisty (JD)
- 5)** ... Ziemi, czyli zestaw najwyższych szczytów poszczególnych części świata

- 7)** powrót do niej bywa trudniejszy niż wejście na szczyt (JD)
- 8)** ostatnia góra Jerzego Kukuczki (JD)
- 13)** część świata z Himalajami, Karakorum, Pamirem
- 14)** nazwisko polskiej himalaistki, pierwszej kobiety na szczycie K2 i pierwszej Europejki, która zdobyła Mount Everest
- 15)** imię postaci z określenia 14 pionowo
- 16)** pakowane przed wyruszeniem z obozu
- 18)** decyduje, kto będzie zdobywał szczyt (JD)
- 20)** zmieniają himalaistę w czworonoga (JD)
- 22)** poręczówki

- 24)** tron Śiwy (JD)
- 25)** ... anioła stróża (albo ... trzeciej osoby), obserwowane u himalaistów wspinających się samotnie
- 26)** technicznie najłatwiejszy ośmiotysięcznik do zdobycia (JD)
- 30)** a może lokum ma pod K2?
- 31)** ... ducha, czyli wytrzymałość fizyczna i psychiczna człowieka, odporność na przeciwności losu

Byłe do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play